

Włodimir
Bukowski

**ZRODZIŁIŚMY SIĘ,
BY WCIELIĆ W ŻYCIE
ŚWIAT KAFKI**

Piotr
Lisiewicz

**MATKA
TRĘDOWATYCH
Z AK**

NOWE PRAWO NIEZALEŻNOŚCI



MARX
ENGELS
LENIN

PRAWDZIWA HISTORIA SPADKOBIERCY KOMUNY

CZERWONY
ARYSTOKRATA
**Aleksander
Kwaśniewski**



ISSN 1895-4960
cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.pravisto.net nakład 14 330 indels 211060 #164 12/2019
ILUSTRACJA MARUSZ TROLIŃSKI NA PODSTAWIE ZDJEĆ: MARCIN PEŁĄCZAKA POLSKA, TOMASZ ADAMOWICZ GAZETA POLSKA

Ilustracja Mariusz Trolński



Czerwony wampir. Jak byliśmy opozycją totalną przeciw ... / 4



fot. Dariusz Kozma/Gazeta Polska

Na marginesie społeczeństwa / 18



fot. Marek Zakrzewski/PAP

Matka Trędowatych z Armii Krajowej / 28



fot. Candy Web

Diabeł lubi bałkańską sambę / 56



fot. Stefan Czerniecki

Miasteczko, które dobrze, że jest / 74

Spis treści

▶ TEMAT NUMERU

Piotr Lisiewicz

Czerwony wampir. Jak byliśmy opozycją totalną przeciw prezydentowi Kwaśniewskiemu

4

Dorota Kania

Czerwony król III RP

8

Ryszard Czarnecki

O Aleksandrze Kwaśniewskim

– zapiski na czerwonym marginesie...

13

Antoni Rybczyński

Dyrektor Kwaśniewski. Burisma, Biden, brudna kasa

14

▶ IDEE

Małgorzata Matuszak

Na marginesie społeczeństwa

18

Ewa Polak-Palkiewicz

Pani domu na posterunku

22

▶ HISTORIA

Piotr Lisiewicz

Matka Trędowatych z Armii Krajowej

28

Dariusz Jarosiński

Łańcuch śmierci

34

Magdalena Złotnicka

Daktyl, Dzierżyński

i syberyjscy zesańcy

40

Agnieszka Kowalczyk

80 lat temu. Z kalendarza roku 1939

46

Włodimir Bukowski

Zrodziliśmy się, by wcielić w życie świat Kafki

52

▶ KULTURA

Olga Doleśniak-Harczuk

Antoni Opaliński

Diabeł lubi bałkańską sambę

56

Andrzej Szpula

Jaki straszny lud!

62

Sylwia Kołodyńska

„Infra”: krzyk przez balet

66

Krzysztof Karnkowski

Pasożyty azjatyckiego tygrysa

68

▶ ŚWIAT

Stefan Czerniecki

Miasteczko, które dobrze, że jest

74

Hanna Shen

Wybory na Tajwanie

– gra o najwyższą stawkę

82

Antoni Rybczyński

Moldawski eksperyment

86

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

92

oprac. Antoni Rybczyński

Służby specjalne,

które przejęły władzę w Rosji,

nie są przez nikogo kontrolowane

94

Stale rubryki



Katarzyna Gójska

Kwaśniewski – gorliwy patron klawisz

NA POZĄTEK

3



Małgorzata Matuszak

Czym jest... Wigilia

KATECHIZM INTELIGENTA

55



Marek Kalinowski

Wszystkie oblicza miłości

DO GRAJĄCEJ SZAFY...

70



Ryszard Czarnecki

Pocztówka z Nairobi

CZARNECKO TO WIDZĘ

71



Krzysztof Budka

Estorijskie rozwiązania, czyli słuszny kierunek

SŁOWEM O GOSPODARCE

72



Olga Doleśniak-Harczuk

Zdławiona rewolucja na 100-lecie rewolucji

Z GLOBALNEGO TYGŁA

90



Marcin Wolski

Dwie drogi

PAPKULTURA

98



Tomasz Sakiewicz

Siła Polonii

OSTATNIE SŁOWO

99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
POLITYKA CYWILIZACJA HISTORIA

**NOWE
PAŃSTWO**

miesięcznik

wydawca

SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA

02-056 Warszawa

ul. Filtrowa 63/43

e-mail: redakcja@niezalezna.pl

www.panstwo.net

ZESPÓŁ

Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Krzysztof Karnkowski, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Tomasz Terlikowski, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Grzegorz Wierchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI

Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY

Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY

Mariusz Trolński

DTP

Aleksander Razcarkow

KOREKTA

Irena Biśta-Kanciála

INFORMACJA O PRENUMERACIE

tel. +48 22 290 29 58

prenumerata@panstwo.net

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

09 1240 1024 1111 0010 4263 9001

Druk LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.

ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska

NA POCZĄTEK

KWAŚNIEWSKI

– gorliwy patron klawiszy

Nie byłoby PRL bez polskich komunistów. Żadna armia sowiecka na długo by się tu nie ostała. Z naszego państwa można było zrobić więzienie tylko dlatego, że ochoczo zgłosili się do niego strażnicy, a nawet kaci. Żądanie rozliczenia wszystkich uczestników systemu zniewolenia naszego kraju jest najbardziej racjonalnym i oczywistym postulatem, jaki można postawić po odzyskaniu wolności.

Wyobraźmy sobie więzienie. I niewinnych ludzi przetrzymywanych w nim przez całe lata. Różnie traktowanych – raz lepiej, innym razem gorzej. W pewnym momencie coś się zmienia – strażnicy ściskają im ręce i zachęcają do wyjścia, wcześniej otwierają bramy. Próbują nawiązać konwersację z osadzonymi: – Wiele lat spędziłeś razem, bywało różnie – tłumacz – ale to był nasz wspólny dom. Wy grabiliście spacerniak i myliście podłogi, my zapewnialiśmy wam bezpieczeństwo i środki do życia. To był taki czas, ale nie wracajmy do tego. Było, minęło – klepią osadzonych po plecach i dodają: – Wybierzmy przyszłość.

Kto w takich okolicznościach dałby się namówić za zapomnienie oraz brak refleksji na temat lat spędzonych w niewoli? Kto zrezygnowałby z dochodzenia swoich praw, ze sprawiedliwości, z ukarania winnych niesłusznej odsiadki, a przynajmniej napiętnowania ich publicznie? To proszę sobie wyobrazić, że dokładnie tego oczekiwano od Polaków po 1989 roku. Do machnięcia ręką na przeszłość namawiali ci, którzy uznali, iż z organizatorami i zarządcami zbiorowego więzienia o nazwie PRL można się dogadać i można ich – w imieniu całego społeczeństwa – rozgrzeszyć.

Aleksander Kwaśniewski jest jedną z twarzy tego niebywałego wręcz procesu. Będziego kwintesencją niesprawiedliwości i kłamstwa. Ale on mógł się w Polsce wydarzyć tylko dlatego, że więzienni strażnicy zbudowali sobie ochraniające ich zaplecze medialno-biznesowe, dzięki któremu byli w stanie przez całe dziesięciolecia III RP dyscyplinować i kontrolować bardziej krnąbrne grupy niedawnych wię-

niów. Jednym słowem jakaś część aparatu ograniczania – bo już nie wprost terroru – przetrwała i stała się częścią nowej rzeczywistości. A dodatkowo pełnienie funkcji więziennego strażnika nie było powodem do co najmniej wstydu. Przez lata wypracowano nawet opowieść gloryfikującą tych, którzy odbierali wolność. Że pracowali dla Polski, że takie były czasy i okoliczności, na które oni – biedni – nie mieli wpływu. Wręcz w tych trudnych warunkach dwili się i troili, by współobywateli, tych więźniów, ochronić. A przecież to wierutna bzdura. Nie byłoby PRL bez polskich komunistów. Żadna armia sowiecka na długo by się tu nie ostała. Z naszego państwa można było zrobić więzienie tylko dlatego, że ochoczo zgłosili się do niego strażnicy, a nawet kaci. Żądanie rozliczenia wszystkich uczestników systemu zniewolenia naszego kraju jest najbardziej racjonalnym i oczywistym postulatem, jaki można postawić po odzyskaniu wolności. Jest zrozumiały, ludzki i po prostu sprawiedliwy. Sędziowie orzekający polityczne wyroki w czasach komunistycznego zniewolenia nie mają prawa pozostać w wolnym kraju na swoich stanowiskach. Ale przecież nie tylko o nich chodzi. Oni są najbardziej jaskrawym przykładem – bo ich obecne kariery są efektem działań antywolnościowych, które nie zostały poddane żadnej ocenie ani nawet upublicznione. W najnowszym numerze naszego miesięcznika przypominamy afery związane ze wspomnianym już byłym prezydentem. Ale opisujemy także jego rolę w budowaniu postkomunizmu i pokazujemy, w jakie przedsięwzięcia – jako były prezydent RP – angażuje się dziś Aleksander Kwaśniewski. ■

Wcześniejczy pobyt we francuskim areszcie stał się kopalnią anegdot, które koledzy będą mogli opowiadać do późnej starości. Oto jeden z nich tuż przed rozprawą odbywającą się w trybie przyspieszonym znalazł się w metalowej klatce wraz z pewnym Rosjaninem. W podstawówce uczył się rosyjskiego, więc mieszaną słów polskich i rosyjskich dogadali się bez problemu. – Szto ty sdielał? – dopytywał się Wania. – Ja priezidenta jajkami obrzucił – wyjaśnił kolega z dumą. – Priezidenta? Jajkami?! Ty giero! – nie mógł wyjść z podziwu Wania. Jak objaśnił, jakby ktoś u nich obrzucił prezydenta jajkami, mogliby go niezwłocznie „ubić”. Sam Wania ociągał się długo z wyjaśnieniem, za co on z kolei siedzi. Gorątkowo zapewniał, że w porównaniu z tak godnym szacunku przestępcą z górnej półki on sam jest nikim i niczego wielkiego w życiu nie osiągnął. W końcu, dociskany, wyjaśnił skromnie: – Ja ruska mafia.

► **„Jestem w pierdlu, laska mi nie uwierzy”**

Tajemnicą życzliwości zarówno francuskich strażników, jak i licznych

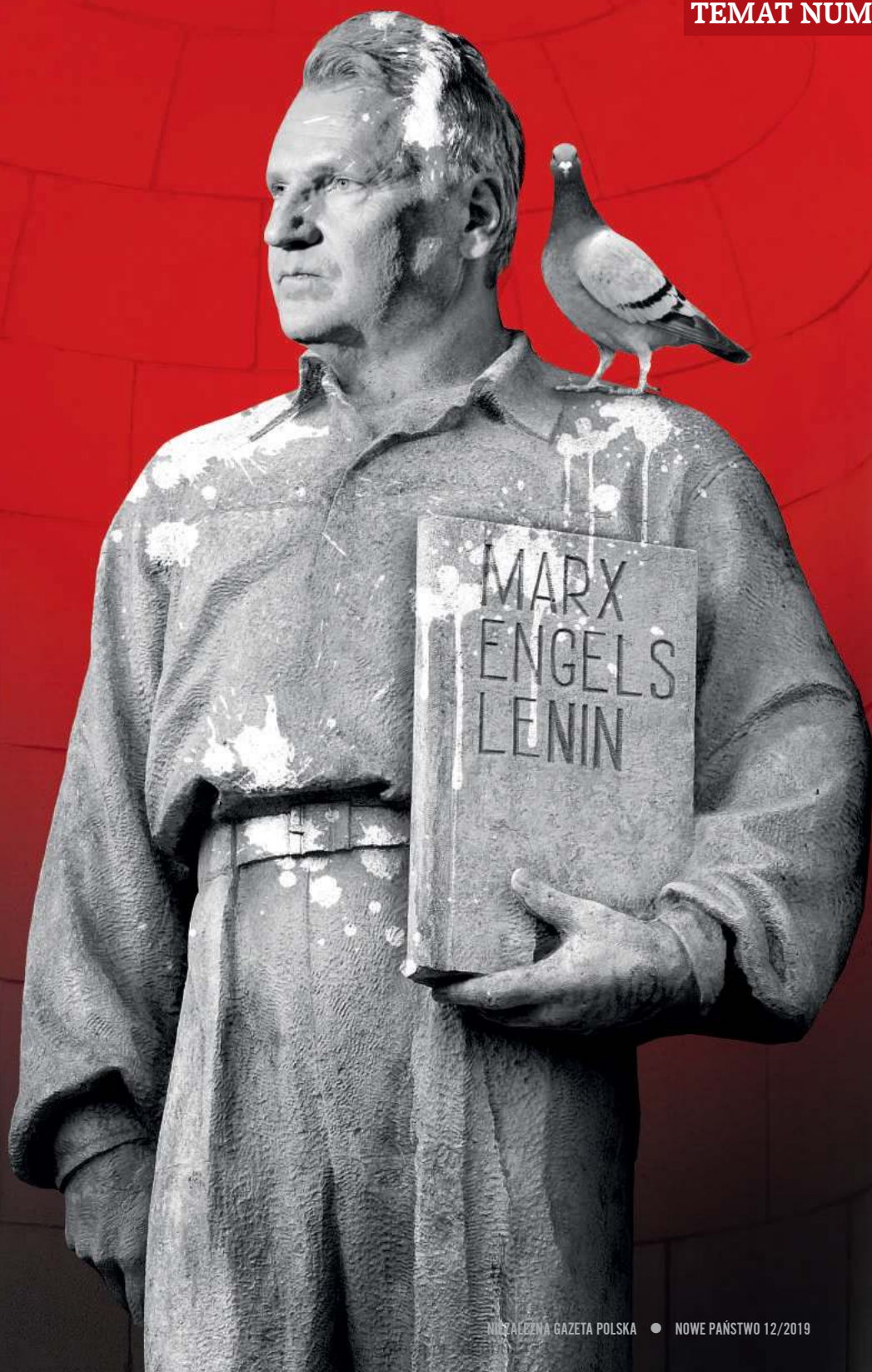


Piotr Lisiewicz

„To polscy patrioci. Vive la Pologne!” – ogłosił z błyskiem w oczach Murzyn, strażnik w paryskim więzieniu, który 1997 roku prowadził na rozprawę czterech dwudziestoparoletnich Polaków. Moi koledzy, którzy przed francuskim teatrem obrzucili jajkami Aleksandra Kwaśniewskiego, stanęli przed sądem w wyniku nacisków polskiej dyplomacji. Francuscy śledczy twierdzili, że nie mają na jajka paragrafu, jednak Jan Wojciech Piekarski, szef protokołu dyplomatycznego (według akt IPN TW „Saim”), zeznał, że skorupki jajka utkwily w jego uchu, uszkadzając słuch na okres dłuższy niż siedem dni, przez co nie mógł pracować. I francuskie służby udały, że wierzą w tę wersję.

CZERWONY WAMPIR

Jak byliśmy opozycją totalną przeciw prezydentowi Kwaśniewskiemu



i różnokolorowych więźniów dla polskich aresztowanych był fakt, że jeden ze strażników był Polakiem, wygnanym z ojczyzny w latach 80. Rodak komuny nienawidził jak cokolwiek innego na świecie. I tak wszyscy strażnicy i więźniowie dowiedzieli się, że młodzi Polacy obrzucili jajkami skończonego łajdaka i kanalię, przedstawiciela reżimu, który strzelał do robotników.

„Bravo Polacco” – powtarzali w celi Murzyni i Arabowie. A gdy jeden z rzucających jajkami wyjaśnił im, że na suficie nad swoim łóżkiem odnalazł stary polski napis, również ów napis był przez nich wskazywany palcami z nabożnym „Bravo Polacco”. Napis ów głosił: „Śląsk Wrocław tu był”.

Na wyżyny oratorskich umiejętności wzniósł się przydzielony kolegom francuski obrońca z urzędu, który widząc długowłosego studenta z rozpuszczonymi włosami (zgubił gumkę), surowo gromił oskarżyciela: – Prokurator nazwał mojego klienta terrorystą. A mnie mój klient przypomina raczej Jezusa!

Najbardziej zaś przestraszonym spośród oskarżonych był kierowca, który przywiózł ich do Francji, o ksywie „Śloniu”. Polityką nigdy się nie interesował, na Kwaśniewskiego... glosował, jednak nasłuchawszy się po drodze o jego bezceństwach, po spożyciu pewnego trunku, również wziął udział w akcji. „Jestem w pierdłu, laska mi nie uwierz” – powtarzał nieszczęśnik porwany przez wiatr historii.

► Święty Jan Paweł II: w Paryżu powiedzcie, że jesteście z Poznania

A po wyroku w zawieszeniu był tryumfalny powrót do Poznania „nabiałowych terrorystów”, potępionych w międzyczasie uchwałą polskiego Sejmu. I Juwenalia na poznańskiej Cytadeli, gdzie każdy student chciał postawić piwo bohaterom. Szczególnie dla młodszego brata jednego z nich, również honorowanego przez imprezowiczów za zasługi rodzinne, nie skończyło się to dobrze, ale do domu mimo wszystko udało mu się dotrzeć.

Kilka tygodni później, 3 czerwca 1997 roku, do Poznania przybył Jan Paweł II, który zachęcał poznaniaków do przyjazdu do Paryża, a konkretnie na Światowe Dni Młodzieży. I padły słowa: „Kiedy pojedziecie do Paryża, to wszystkim mówcie: My jesteśmy z Poznania! (pauza) My jesteśmy stąd, skąd się Polska zaczęła od Mieszka I i Bolesława Chrobrego. My stamtąd jesteśmy! I zawsześmy o tę Polskę dbali, żeby się trzymała”. Czy można było słowa te interpretować jako aluzję do paryskiej awantury? Wszyscy znajomi przekonani byli, że tak, a znając zarówno rodzaj poczucia humoru papieża, jak i jego drobiazgową wiedzę o aktualnych wydarzeniach w Polsce, niczego nie można wykluczyć.



W każdym razie urzędujący prezydent Kwaśniewski przez lata bał się przyjeżdżać do Poznania. Byliśmy wielcy.

► Bunt pokolenia

Każde pokolenie ma swój bunt. Nie zawsze obejmuje on całą generację, niekiedy jego niewielką część, ale odciska swój ślad na świadomości ogółu. I wychowuje ludzi zdolnych wprowadzać zmiany w wieku dojrzałym.

Nasz bunt w czasach medialnego quasi-monopolu wroga nie mógł nawet marzyć o powszechnym charakterze, to były czasy odbijanych na ksero albo risographie gazetek o ograniczonym zasięgu oraz rozklejanych po nocach plakatów przy pomocy kleju z maki, a nie dającego gigantyczne możliwości internetu. Naszym atutem był za to bardzo trafny wybór wroga, czyli postkomunizmu, którego twarzą był Aleksander Kwaśniewski. Najważniejszą organizacją pokoleniową tego czasu była Liga Republikańska, na czele z Mariuszem Kamińskim, dziś, jakkolwiek abstrakcyjnie by to dla nas brzmiało, ministrem spraw wewnętrznych. Wychowała ona szereg znaczących dziś postaci życia publicznego. Również redaktor naczelna „Nowego Państwa” i jej mieszkanie odegrały ważną rolę w budowaniu klimatu ówczesnej kontestacji... Ale były też organizacje nieco młodsze, gdy chodzi o średnią wiek, jak moja Akcja Alternatywna Naszość czy Radykalna Akcja Antykomunistyczna Wojciecha Wybranowskiego, a także odmłodzona, choć wywodząca się jeszcze z walki z komunistyczną Federacją Młodzieży Walczącej, którą organizował wówczas Sebastian Kwiatkowski (brat Krzysztofa).

► Plagiatorzy z KOD-u

Tu dygresja. O naszej kontestacji z tamtego czasu mówi się dziś mało, by jej dość radykalne formy nie stały się usprawiedliwieniem dla obecnych działań KOD-u czy Obywateli RP. Co nas różniło od nich? Na zdjęciach na pierwszy rzut oka widać, że byliśmy wtedy młodszy średnio o 30–40 lat od obecnych działaczy

KOD-u. Kontestacja prowadzona przez starych i bogatych, tracących przywileje, choćby nieograniczona brakiem pieniędzy, nigdy nie odniesie podobnego skutku co autentyczny bunt młodych gniewnych, brak środków rekompensowany pomysłami i zaangażowaniem – kostiumami kompletowanymi w komisach z mydłem i powidłem, w lumpeksach i w sklepach z tanimi, przeterminowanymi farbami w sprayu.

Ale nie ten zewnętrzny sztafaż jest najważniejszy, gdy chodzi o tę różnicę. Najważniejsze było opowiedzenie się po stronie dobra lub zła, nawet nie prawicy i lewicy. Jednym słowem, blokada rocznicy smoleńskiej, nawet bardzo dowcipna, nie będzie nawiązywać do happeningów Pomarańczowej Alternatywy z lat 80., lecz do – również dowcipnych, zdaniem niektórych – konferencji Jerzego Urbana z tamtego czasu, który z wielką swadą wyśmiewał spiskowe teorie o zabitych opozycjonistach.

► Cvasula. The Red Vampire

Dlaczego to Aleksander Kwaśniewski, czyli „CVASULA. THE RED VAMPIRE”, ze ściganych przez prokuraturę plakatów Ligi Republikańskiej, a nie na przykład Leszek Miller stał się ikoną wroga w naszej kontestacji? Kwaśniewski symbolizował postkomunę w wersji najbardziej obłudnej. Miller nie zaprzeczał specjalnie, że jest komunistą. Kwaśniewski udawał polityka wyluzowanego, nowoczesnego i europejskiego. Bredził nawet, że za komuny czytał... paryską „Kulturę”. Ale nie tylko. Wraz z żoną, porównywaną przez nas do gwiazdy disco-polo Shazzy, mieli być nową arystokracją! Mówił o tym niedawno w „Wywiadzie z chuliganem” malarz, poeta i publicysta Maciej Mazurek: „Na dworcze zobaczyłem okładkę „Vivy». Na kąpię Biedermeier Kwaśniewski z prezydentową Jolantą. Obok pies. I podpis »Spotykają się każdej nocy«. To nie była parodia, oni tak na poważnie, uznali się za nową arystokrację. Te »nowe« elity postanowiły korzystać z bogactwa symbolicznego nagromadzonego przez tradycję. Pozować na arystokratów. Pławić się w tym, maskując swoją pustkę duchową”.

Miller wywodził się z aparatu siemieżnego Związku Młodzieży Socjalistycznej (ZMS), Kwaśniewski z aparatu Socjalistycznego Związku Studentów Polskich (SZSP). Już gdy chodzi o nazwę tej organizacji, jego środowisko usiłowało manipulować, mówiąc, że wywodzi się z ZSP, bez przydomku „socjalistyczny”.

Wyjaśnijmy, że SZSP powstało w 1973 roku, a ZSP to wcześniejsza nazwa tej organizacji z czasów, gdy nie była aż tak mocno upolityczniona, kojarząc się bardziej z klubami studenckimi, koncertami czy kulturą. SZSP było skomunizowane o wiele mocniej i to z niego pochodzili Kwaśniewski i jego świta. Pseudoluzacy z SZSP, którzy w końcówce PRL byli wyśmiewani przez rówieśników, a w III RP przejmowali władzę nad biznesem, kulturą, mediami, uczelniami, byli zjawiskiem najbardziej obsłizłym, zakłamanym, cynicznym.

No a poza tym Millera nie wkurzało przypomnienie mu komunistycznego rodowodu, a Kwaśniewski był wściekły. O akcje przeciwko Millerowi nie płuła się też „Gazeta Wyborcza”. Wrogowie Kwaśniewskiego stawiali się jej wrogami.

► Domknięcie postkomunizmu

Lata od 1989 do obalenia rządu Jana Olszewskiego w 1992 roku były czasem, gdy nowy porządek ubekistanu jeszcze nie okrzepł. Dużo było chaosu. Istniały przejawy wolności, które potem w III RP były nie do pomyslenia. Wychodziło sporo gazet lokalnych, niekontrolowanych przez ubekistan czy międzynarodowe koncerny. Przeważnie biedujących, bo nowa oligarchia nakładała embargo na reklamy na ich łamach. Trochę wolności było w lokalnych radiach, trafiały się lokalne niekontrolowane pisma kulturalne. Zdarzały się nawet nie-

liczne samorządy, w których do głosu dochodziły lokalne legendy opozycji. Policja była niepewna, co jej wolno: wystarczy powiedzieć, że jeśli jakiś kibic piłkarski pobił policjanta, inni policjanci spuszczały mu jak za komuny „łomot”, ale nie... stawiali mu za rzutów karnych.

Po obaleniu Olszewskiego pętla powoli zaciskała się, a domknięciem systemu po przejęciu władzy przez postkomunę – SLD i PSL – była prezydentura Kwaśniewskiego. Rok 1995 to był tryumf tych najbardziej oślizłych. Załamanie legendy Polaków jako narodu na tyle wyjątkowego, aby nie można go było ogłupić medialnymi manipulacjami. Okazało się, że owszem, nie można nas złamać, ale obecną polską wspólnotę ogłupić jak najbardziej można.

To był jeden z najczarniejszych momentów w historii III RP. A potem? Potem, tak jak wiele lat później, po Smoleńsku, wśród Polaków starych i młodych wypełniły się słowa, że „w sercach szlachetnych nieśczęście i poniżenie kraju jest zawsze źródłem patriotyzmu”. ■



Dorota Kania



CZERWONY KROŁ III RP

Przez cały okres publicznej działalności Aleksandra Kwaśniewskiego co pewien czas pojawiały się pytania dotyczące podejrzanych kontaktów, wątpliwych decyzji i niejasnych aliansów. W tle byli szemrani biznesmeni, służby specjalne mające korzenie w PRL-u i wschodni oligarchowie.



FOT. TOMASZ HAMPAJ / GAZETA POLSKA

Przez lata Aleksander Kwaśniewski i jego żona Jolanta byli objęci medialną ochroną, mało tego – przez 10 lat prezydentury byli stylizowani niemalże na parę królewską. Prasa „drugiego obiegu” opisywała nieprawidłowości i stawiała pytania odnośnie do związków Kwaśniewskiego z biznesem, co spotykało się najczęściej z milczeniem mainstreamu. Tymczasem kontakty Aleksandra Kwaśniewskiego i jego żony Jolanty są naprawdę ciekawe – w latach 90. pojawiła się informacja o ich spotkaniach z Aleksandrem Żaglem i Andrzejem Kuną – biznesmenami z tzw. układu wiedeńskiego, w którym przecinały się drogi ludzi KGB i najbogatszych polskich biznesmenów, m.in. nieżyjącego dziś Jana Kulczyka. To on, podobnie jak Aleksander Kwaśniewski, był jedną z głównych postaci tzw. afery Orlenu – w czasie spotkania w Wiedniu z rosyjskim szpiegiem Władimirem Ałganowem Kulczyk miał powoływać na swoje wpływy u prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego w sprawie korzystnej dla Rosjan prywatyzacji Rafinerii Gdańskiej. Podczas prac komisji pojawiła się informacja, że Kwaśniewski wystawił Kulczykowi pełnomocnictwo do rozmów z Rosjanami: Jan Kulczyk nie chciał mówić na ten temat, zaś Aleksander Kwaśniewski odmówił stawienia się przed komisją śledczą. Posłom z komisji śledczej przesłał list, w którym powołał się na ekspertyzy konstytucjonalistów, że prezydent nie może być przesłuchiwany przez komisję.

Za czasów prezydentury Kwaśniewskiego były organizowane wielkie fety, na których goszczący na nich biznesmeni wrzucali do specjalnie do tego celu przeznaczonych wazonów pieniądze w kopertach jako datki na fundację Jolanty Kwaśniewskiej. Ile – nie wiadomo, ponieważ pytania dziennikarzy dotyczące tego tematu pozostały bez odpowiedzi.

► Agenci w pałacu

Pierwsze potężne uderzenie przyszło w sierpniu 1997 roku, po publikacji w dzienniku „Życie” tekstu Jacka Łęskiego i Rafała Kasprowa pt. „Wakacje z agentem”. Artykuł ukazał się 24 sierpnia 1997 roku i przez następne dni pojawiały się kolejne materiały dotyczące afery, której ujawnienie wywołało prawdziwe polityczne trzęsienie ziemi. Dziennikarze opisali wczasy Aleksandra Kwaśniewskiego z rosyjskim szpiegiem Władimirem Ałganowem w pensjonacie „Rybitwa” na terenie Centralnego Ośrodka Sportu we Władysławowie-Cetniewie w 1994 roku, kiedy Aleksander Kwaśniewski był przewodniczącym Klubu Parlamentarnego SLD. W czasie publikacji był już prezydentem. Nazwał artykuł „stekiem bzdur” i zapewnił, że nigdy nie spotykał się z Ałganowem; w odpowiedzi „Życie” opublikowało serię zdjęć przedstawiających prezydenta z radzieckim szpiegiem. Kwaśniewski natomiast pozwał „Życie” do sądu. Argumentował, że nie mógł przebywać 12 sierpnia 1994 roku we Władysławowie-Cetnie-

wie, bo tego dnia przyjmował w stolicy delegację parlamentarzystów z Tajlandii. Dowodem w sprawie była m.in. dokumentacja zachowana w BIG Banku Gdańskim, kierowanym przez Bogusława Kotta, znajomego prezydenta Kwaśniewskiego. Ostatecznie dziennikarze sprawę przegrali, chociaż sąd uznał, że dochowali staranności dziennikarskiej przy zbieraniu materiałów do tekstów.

W momencie publikacji nie było do końca wiadomo, jak jest „umeblowana” kancelaria prezydenta Kwaśniewskiego – nie działał jeszcze Instytut Pamięci Narodowej, a funkcjonariusze komunistycznej bezpieki byli prawdziwymi władcami tajnych informacji na temat agenturalnej przeszłości otoczenia Kwaśniewskiego. Dopiero po latach okazało się, że roilo się tam od różnej maści TW i byłych funkcjonariuszy m.in. Wojskowych Służb Informacyjnych. Mało tego – okazało się, że Aleksander Kwaśniewski był zarejestrowany przez Służbę Bezpieczeństwa jako tajny współpracownik o pseudonimie „Alek”. W marcu 1999 roku oświadczenie lustracyjne prezydenta, wraz z oświadczeniami wysokich urzędników jego kancelarii, zostało wysłane do Rzecznika Interesu Publicznego (nie działał jeszcze IPN, a lustracją zajmował się właśnie RIP). Zgodnie z procedurą RIP sędzia Bogusław Nizieński przed wyborami prezydenckimi w 2000 roku wniósł z urzędu sprawę lustracyjną przeciwko Aleksandrowi Kwaśniewskiemu.

Przed sądem zeznawali m.in.: kpt. Zygmunt Wytrwał, inspektor Wydziału VII Departamentu III MSW, i gen. Krzysztof Majchrowski, dyrektor Departamentu III MSW. Zeznania pobrano w domu ze względu na jego stan zdrowia. 8 sierpnia 2000 roku do jego domu pojechali: sędzia Paweł Ways, Rzecznik Interesu Publicznego Bogusław Nizieński i obrońca Kwaśniewskiego mec. Czesław Jaworski. Przesłuchanie dotyczyło pracy Kwaśniewskiego w mediach, kiedy to został pozyskany jako TW. Dwa miesiące później, w październiku 2000 roku, gen. Majchrowski zastrzelił się, zostawiając list pożegnalny. Prokuratura Rejonowa Warszawa-Mokotów, która prowadziła śledztwo, nie dopatrzyła się udziału osób trzecich.

Zygmunt Wytrwał ujawnił, że miał agenta w kierownictwie redakcji „Życia Warszawy” oraz „źródło piszące” w „Sztandarze Młodych”. Przyznał, że w 1982 roku dokonał „zabezpieczenia operacyjnego” Aleksandra Kwaśniewskiego, ale nie poinformował go o tym fakcie i nie nadał mu żadnego pseudonimu. Stwierdził, że przychodził do redakcji „Sztandaru Młodych”, przedstawiał się sekretarce własnym nazwiskiem, ale nie mówił, że jest z SB. Pochodzące od Kwaśniewskiego informacje spisywał i w formie służbowych notatek przekazywał swojemu przełożonemu do akceptacji.

10 sierpnia 2001 roku Sąd Lustracyjny uznał zeznania kpt. Wytrwał, iż Kwaśniewski nigdy nie współpracował, za wiarygodne i co za tym idzie – oświadczenie lustracyjne Kwaśniewskiego za zgodne z prawdą.

Kiedy 31 marca 2009 roku prezes Instytutu Pamięci Narodowej Janusz Kurtyka stwierdził, że Kwaśniewski „w latach 1983–1989 był rejestrowany przez bezpiekę jako TW „Alek” przez Departamenty II i III MSW” i zapowiedział naukową publikację na ten temat, były prezydent nazwał IPN „instytutem kłamstwa narodowego” i dodał: „Nie byłem komunistycznym aparaczką. Nie pełniłem nigdy jakichkolwiek funkcji w PZPR. Oburzającym kłamstwem jest stwierdzenie, że w latach 83–89 byłem zarejestrowany jako TW „Alek”.

Tydzień po wystąpieniu prof. Kurtyki „Rzeczpospolita” poinformowała, że 1 lutego 2001 roku, pięć tygodni po objęciu przez Kwaśniewskiego ponownie urzędu prezydenta, kpt. Wytrwał rozpoczął pracę w Banku Współpracy Europejskiej, w którym wówczas udziały miał Aleksander Gudzwat (zmarł 14 lutego 2013 roku). Miał go tam rekomendować szef doradców Kwaśniewskiego, Andrzej Gdula. Po odejściu z BWE, które nastąpiło 31 stycznia 2002 roku, Zygmunt Wytrwał trafił do spółki EuroPolGaz, w której udziały miał... Aleksander Gudzwat.

► Fundacje i wątpliwe kontakty

W 2004 roku, gdy Aleksander Kwaśniewski pełnił jeszcze urząd prezydenta, powołał jako fundator Fundację „Amicus Europae”. Miała ona prowadzić działalność radiową i telewizyjną, a także związaną z filmem, planowała też powołanie agencji informacyjnej. Faktycznie fundacja zaczęła działać dopiero po zakończeniu prezydentury Kwaśniewskiego. W 2007 roku okazało się, że jednym z jej darczyńców jest ukraiński oligarcha i zięć byłego prezydenta Ukrainy Leonida Kuczmy, Wiktor Pińczuk. Przekazał on rok wcześniej fundacji Kwaśniewskiego 892 822 zł (pozostali darczyńcy ofiarowali w sumie 5 tys. zł). Jeszcze w 2007 i 2008 roku Pińczuk miał zasilać fundację, ale nie wiemy, czy i jakie kwoty wpłynęły. „Amicus Europae” miał przygotować dla Pińczuka plan działań Ukrainy celem wejścia do Unii. Okazało się również, że Kwaśniewski zasiada w zarządzie fundacji Pińczuka „Yalta Europe Strategy”.

W 2016 roku w skład Rady Fundacji „Amicus Europae” w 2016 roku wchodził: przewodniczący Aleksander Kwaśniewski (zarejestrowany jako TW „Alek”), wiceprzewodniczący Adam Daniel Rotfeld (KO „Rauf”, „Ralf”, „Rod”, „Serb”) i członkowie: Marek Siwiec (zarejestrowany jako TW „Jerzy”), były szef BBN, Stanisław Ciosek, były członek Zespołu Trzech (1986–1989) przygotowującego demontaż komunizmu i kierownik Wydziału Administracyjnego (Społeczno-Prawnego) KC nadzorującego resorty siłowe, sądownictwo i cenzurę (1.12.1985–2.07.1986), Stanisław Marek Jaśkiewicz (przynależność do współpracy z organami bezpieczeństwa), podsekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Leszka Millera i Marka Belki, Stanisław Pawlak (KO „Sławek”, „Wierusz”).

Skąpe akta fundacji w KRS niewiele mówią, a o pieniądzach Kwaśniewskiego można było się dowiedzieć przy okazji „kontrolowanych skandali”, gdy ktoś pragnął zdyscyplinować byłego prezydenta. Jak wówczas, gdy „Gazeta Wyborcza” ujawniła, że Aleksander Kwaśniewski jest płatnym doradcą Nursułtana Nazarbajewa, kazachskiego dyktatora. Według nieoficjalnych informacji Nazarbajew przekazał prawie 5 mln zł na fundusz wyborczy Europa Plus. Ujawnienie tych danych nastąpiło w czasie, gdy Kwaśniewski nie chciał grać w jednej drużynie z Januszem Palikotem, na co naciskano na lewicę.

► Willa w Kazimierzu

W październiku 2007 roku światło dzienne ujrzały tzw. taśmy Gudzwatego, które nagrał szef ochrony biznesmena Marcin Kossek. Był to zapis dwu rozmów Józefa Oleksego z Aleksandrem Gudzwatem, które miały miejsce 14 września i 2 października 2006 roku w biurze Bartimpeksu w Warszawie. Oleksy opowiadał Gudzwatemu o niewyjaśnionym pochodzeniu majątku „małego kręta” – jak nazywał – „Olusia Kwaśniewskiego”.

„Kupili przecież w Kazimierzu całe wzgórze od Jaska Wólka. To jest ten artysta. Byłem tam. Piękne. Ale ich sprawa, ja nikomu nie zazdroszczę. Tylko że gdyby ktoś się zawziął, to apartament u Krauzego to jest minimum 4,5 mln zł. Przecież to jest 400 m, tam chodzi po 11 tys. metr, to policz sobie, ile to kosztuje, ten 400-metrowy apartament. Dom w Kazimierzu – nie umiem tego wyceńić, ale na pewno jest to droga sprawa. Jazgarzew 6 ha działki z asfaltową drogą, zrobioną do samego domu przez pola. I to nie jest wszystko. Ma tego majątku trochę. Jak zderzysz jego wynagrodzenia prezydenckie, a nawet Joli dochody, no to co z tego, że ona ma 100 tys. za ten program w telewizji [TVN Style], by się wstydziła tam występować.

– Miesięcznie? – dopytywał Aleksander Gudzwat.

– Nie, do grudnia. Za całość kontraktu. I robi takie pierdoły. Raz oglądaliśmy to z Majką i więcej nie oglądam. Siędzi wyfiokowana Jola i przez 15 minut czy więcej siedzi obywateli, jak jeść bezę. Teraz on [Kwaśniewski – red.] ma dołączyć jeszcze na kolejne 10 tys., ale nie uzbiera, żeby nie wiem, jak się naharował, to nie uzbiera tyle, ile potrzebuje na wylegitymizowanie tego”.

Po ujawnieniu „taśm Gudzwatego” katowicka prokuratura wnieśliła śledztwo w sprawie majątku Kwaśniewskich. Prokuratorzy podejrzewali, że poprzez zakup nieruchomości legalizują oni dochody z nieujawnionych źródeł, przy okazji dokonując oszustw podatkowych. Na zlecenie prokuratury sprawą zajęło się Centralne Biuro Antykorupcyjne. CBA ustaliło, że Kwaśniewscy nie mieli takich legalnych dochodów, by jednocześnie zapłacić za apartament w Wilanowie (od Pirelli PeKaO Estate) oraz dom w Kazimierzu, którego właścicielką była Maria J.,

ekspartnerka Jana Wołka i przyjaciółka Jolanty Kwaśniewskiej.

CBA ustaliło, że w końcowych miesiącach prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego na konto Marii J. zaczęto wpłacać w ratach kwoty, które w sumie opiewały na 830 tys. dolarów, czyli wówczas około 2 mln zł. Sprawą zainteresował się Urząd Kontroli Skarbowej w Lublinie. Do wpłacenia pieniędzy przyznał się bogaty biznesmen Marek M., ale jego zeznania okazały się niewiarygodne.

Z podsłuchu CBA dowiedziało się, że Maria J. zadzwoniła do Jolanty Kwaśniewskiej:

„Klient mówi, że 350 złotych za te buty to za drogo. Trzeba obniżyć cenę” – tłumaczyła. W drodze negocjacji Maria J. uzgodniła z Małeckim ostateczną kwotę 3,1 mln zł. W tym czasie Maria J. spotkała się z Jolantą Kwaśniewską na Kongresie Kobiet i po powrocie zgodziła się na transakcję. Jednocześnie zaproponowała, by półtora miliona zostało przekazane „pod stołem”, ażeby sprzedający zapłacił mniejszy podatek.

Następnie Maria J. zadzwoniła do Marka M.: „Słuchaj, Marek, nie wiem, czy wiesz, ale sprzedajesz swój dom”. „Sprzedaję mój dom? A, dobra” – odparł Marek M. z Budimeksu. Transakcji miała być dokonana 29 lipca 2009 roku. CBA zwróciło się do ministra sprawiedliwości – prokuratora generalnego Andrzeja Czumy – o wydanie zgody na przeprowadzenie zakupu kontrolowanego. Minister następnego dnia zgodził się na przeprowadzenie operacji. Ostatecznie do zakupu nie doszło, a sprawa została umorzona.

Śledztwo w sprawie „willi Kwaśniewskich” ponownie podjęto w grudniu w 2016 roku, a przedłużone zostało w maju tego roku. Pierwsze postępowanie zostało wszczęte 11 lat temu. Prokuratura rozpoczęła wówczas śledztwo, które miało wykazać legalność posiadanego przez Kwaśniewskich majątku. Prokuratorzy sprawdzili, jak zakupione były domy w Wilanowie i Kazimierzu Dolnym oraz inne nieruchomości byłej pary prezydenckiej. Do tej pory w związku ze sprawą tzw. willi Kwaśniewskich przesłuchano ponad 50 osób i przeanalizowano kilkaset rachunków bankowych, a na przejrzenie czekają następne. Dotychczasowe ustalenia mają pokazywać ogromną skalę przeprowadzonych operacji finansowych – postępowanie jest bowiem prowadzone w sprawie „uchylania się ustalonych osób zobowiązanych od opodatkowania oraz podejmowania, wspólnie i w porozumieniu z innymi osobami, działań mogących utrudnić stwierdzenie przestępczego pochodzenia środków płatniczych”. Wskazano, że dotyczy ono prania pieniędzy pochodzących z przestępstwa.

► Fundacja pani prezydentowej

Od 1997 roku swoją fundację ma również Jolanta Kwaśniewska – „Porozumienie bez Barier”. Z założenia fundacja miała się zajmować doradztwem w prowadze-

niu firm i zarządzaniu, działalnością wydawniczą, a także działaniami związanymi z organizacją gier. Obsługę notarialną obsługiwała kancelaria prawna KNS, założona przez Andrzeja Kratiuka (KO „Krystian”), Ireneusza Nawrockiego (zarejestrowany jako KO „Kero”) i Andrzeja Całusa (zarejestrowany jako TW „Beta”). Kancelaria KNS mieściła się pod tym samym adresem co Stowarzyszenie Ordynacka. Prezesem Rady Fundacji „Porozumienie bez Barier” został Andrzej Kratiuk (KO „Krystian”), a w jej skład weszli: wiceprezes Wojciech Romuald Jędrzejewski i członkowie: Sergiusz Najar (KO „Sfinx”), Krzysztof Stefan Pietraszkiewicz, prezes Związku Banków Polskich, i Wojciech Sławomir Kaczorowski, rzecznik prasowy Banku Millennium (1990–2015). Jolanta Kwaśniewska jest prezesem Zarządu, a członkiem Krzysztof Marian Berzyński.

Wśród środków finansowych fundacji aktywa kształtowały się na poziomie 12 mln zł. Już po pierwszym roku działalności fundacja okazała się dochodowym przedsięwzięciem – osiągnęła 350 tys. zł zysku. Zatrudniała cztery osoby, a jej siedziba mieściła się w Pałacu Prezydenckim. Od 2004 roku „Porozumienie bez Barier” ma siedzibę przy al. Przyjaciół 8, w tym samym miejscu co „Amicus Europae”.

Według ostatniego dostępnego sprawozdania w 2014 roku sytuacja finansowa fundacji zmieniła się: przychody wyniosły 930 tys., a koszty 1 mln zł.

Według znajdujących się w KRS dokumentów „Porozumienie bez Barier” jest od 2004 roku organizacją pożytku publicznego i dzięki temu można na jej konto przekazywać 1 proc. podatku dochodowego. Fundacja w dokumentach przedstawiła, jak pozyskuje środki na swoją działalność: namawia do datków podczas spotkań z przedstawicielami firm, korporacji, banków. Współpracuje także z mediami. Organizowała również konferencje, umieszczając logo sponsorów na materiałach konferencyjnych w zamian za wsparcie finansowe. Na koniec 2006 roku fundacja miała na rachunku bankowym w Citi Banku Handlowym ponad 5 mln 300 tys. zł. Mimo wykazywanych w dokumentach finansowych strat, z roku na rok rosła suma zdeponowana na koncie bankowym fundacji w Citi Banku. Kim są sponsorzy fundacji – nie wiadomo. Jej władze z prezes Jolantą Kwaśniewską na czele skrzętnie ukrywają tę informację. Jednak według opowieści krążących w SLD napływ pieniędzy do państwa Kwaśniewskich drastycznie się skurczył. Dlatego jedyną szansą na odbudowanie pozycji finansowej, i co się z tym wiąże – politycznej, miała być partia Ruch Społeczny Europa Plus założona w 2013 roku, na której czele stanął Aleksander Kwaśniewski (TW „Alek”), a przewodniczącym został Marek Siwiec (TW „Jerzy”). ■

W tekście wykorzystałam informacje pochodzące z książki „Resortowe dzieci. Politycy”. Dorota Kania, Jerzy Targalski, Maciej Marosz, wyd. Fronda, Warszawa 2016.



Ryszard Czarnecki

O Aleksandrze Kwaśniewskim – zapiski na czerwonym marginesie...

Pierwsze naprawdę wolne wybory w III RP, czyli rok 1991. Jestem jednym z młodszych posłów (ale i tak o sześć lat starszym od tego najmłodszego, 22-latką z KPN-u z Poznania) i patrzę, jak zachowuje się w Sejmie SLD kierowane przez starszego ode mnie o 9 lat Aleksandra Kwaśniewskiego, byłego redaktora ITD. I ministra sportu.

Rządzić wtedy klubem SLD, wbrew pozorom, łatwo nie było. Co prawda stworzony przez ugrupowania solidarnościowe kordon solidarnościowy wymuszał jedność komunistów, ale z drugiej strony byli oni głęboko pęknięci. Mało kto pamięta, że późniejszy postkomunistyczny premier Włodzimierz Cimoszewicz publicznie szantażował klub postpezetpeeru, że opuści jego szeregi, jeżeli dalej będzie w nim również postkomunistyczny premier Leszek Miller. Chodziło o „moskiewską pożyczkę”. Co robił Kwaśniewski? Zrećźnie lawirował. Utrzymał jedność i czekał na lepsze czasy, które dzięki katastrofalnym błędom obozu post-solidarnościowego zaowocowały powrotem do władzy SDRP-SLD już po dwóch latach od wyborów A.D. 1991. Owe ignorowanie komunistów w zamierzeniu było dosyć głębokie.

W ramach działalności międzyparlamentarnej podjęto decyzję o wysłaniu delegacji z Sejmu Rzeczypospolitej do Australii i Nowej Zelandii. Na jej czele stanął prezes ZChN marszałek Wiesław Chrzanowski. Zgodnie z parytetami reprezentowany był każdy klub. SLD wystawiło swojego przewodniczącego – właśnie Aleksandra Kwaśniewskiego. Ówczesny szef Kancelarii Sejmu, pochodzący z Wrocławia Ryszard Stemplewski (w drugiej połowie lat 90. był ambasadorem RP w Londynie), spotkał się z liderem postkomunistów i zaczął mu wyraźnie sugerować, żeby zrezygnował z wyjazdu, bo jego obecność w składzie delegacji będzie źle przyjęta przez emigrację niepodległościową na Antypodach. Kwaśniewski jednak postawił się, do Australii pojechał, a dobroliwi Polacy nie uczynili mu w trakcie licznych spotkań posłów z rodakami żadnego despektu. Stemplewski, który jako żywo specjalnym antykomunistą nie był, sam nie wymyślił „Kwaśniewskiego”, stał za tym zapewne Wiesław Chrzanowski, któremu jednak nie wypadało podjąć takiej akcji ostracyzmu osobiście.

Mimo że SLD rządziła od 1993 roku – choć sprytnie – na zasadzie, że „nam mniej wolno”, nie wziął funkcji premiera, zostawiając ją Waldemarowi Pawlakowi, stojącemu na czele

rekordowej w historii PSL-u frakcji liczącej przeszło 133 posłów (sic!). Nie wierzone, by przedstawiciel SLD był w stanie wygrać wybory prezydenckie. Na kandydowanie ochotę miał Józef Oleksy, ba, obserwatorzy uważali, że ten absolwent niższego seminarium duchownego (rodzaj szkoły średniej bodajże prowadzony przez księży) dzięki unikaniu komunistycznej ortodoksji ma szansę zebrać więcej głosów od Kwaśniewskiego, nie mówiąc o Millerze. Jednak towarzysz Aleksander, który nie objął ani funkcji premiera, ani marszałka Sejmu (tę sprawował właśnie Oleksy), rezerwując dla siebie stanowisko przewodniczącego Komisji Konstytucyjnej, która miała przygotować pierwszą po okresie komunizmu Ustawę Zasadniczą, palił się do startu, choć powszechnie uważano za rzecz niemożliwą, by „komuch” wygrał w wolnej Polsce. Nie wiem, czy Kwaśniewski wierzył w zwycięstwo, na pewno na początku 1995 roku jeszcze nie. To przyszło z czasem. Ale w sytuacji narastającego konfliktu w SLD – Oleksy, który umiejętnie wykorzystywał stanowisko drugiej osoby w państwie do budowania własnej frakcji – Kwaśniewski uznał, że także ze względów wewnątrzSLD-owskich musi wystartować, aby potwierdzić swój prymat. Nie będę pisał o tym, co wszyscy pamiętają: że w debacie z Wałęsą, do której nieszczyśny sztab ówczesnego prezydenta RP dopuścił, kazał czekać na siebie urzędującej głowie państwa, co bardzo zdenerwowało Wałęsę – na tyle, że w debacie zupełnie puściły mu nerwy.

Warto wspomnieć inny manewr: interesujący i chyba w jakiejś mierze skuteczny – zamówienie w okresie wyborczym w wielu kościołach mszy świętej w intencji... Aleksandra Kwaśniewskiego. Odpowiadał za to szef koncesjonowanego w PRL-u ChSS, czyli Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego, Kazimierz Morawski. Była to gorsza odmiana PAX-u. Kwaśniewski w ten sposób pokazał, że, ależ skąd, nie jest wrogiem Kościoła i przy minimalnej różnicy drugiej tury między nim a Wałęsą właśnie ta sztuczka mogła zadecydować o wyniku wyborów...

Nie ma powodów, by mówić o Złoczewskim jako o człowieku Janukowycza. Powinniśmy pamiętać, że Petro Poroszenko także pracował w rządzie Azarowa, i nie jest w porządku szufladkować go jako człowieka starego reżimu.

Aleksander Kwaśniewski (2014)

Antoni Rybczyński

Dyrektor Kwaśniewski Burisma, Biden, brudna kasa

Ukraina to dla niego prawie drugi dom. Aleksander Kwaśniewski od lat ma nad Dnieprem wpływowych przyjaciół, szczególnie wśród oligarchów takich jak Wiktor Pinczuk czy Mykoła Złoczewskij. Polityczne kontakty i nazwisko byłego prezydenta Polski nie są tanie. Jednak pieniądze lubią ciszę, a tymczasem Kwaśniewski znalazł się w oku politycznego cyklonu w USA. Chodzi rzecz jasna o Burisma Holdings i związki Złoczewskiego z ludźmi Joe Bidena. Kto wie, czego dowiemy się jeszcze z przesłuchań za oceanem – także na temat ukraińskich powiązań Kwaśniewskiego.



fot. Zbyszek Kacmarek / Gazeta Polska

Zdominowana przez demokratów Izba Reprezentantów wszczęła dochodzenie w sprawie nacisków, jakie prezydent USA Donald Trump miał wywierać na prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskigo, domagając się, by władze w Kijowie wznowiły śledztwo w sprawie gazowej spółki Burisma Holdings. Ekipie Trumpa zależy bowiem na wykazaniu, a właściwie potwierdzeniu stawianych już wcześniej nieoficjalnie zarzutów, że Joe Biden – potencjalnie najgroźniejszy rywal Trumpa z ramienia Partii Demokratycznej – to polityk skorumpowany, który wykorzystał stanowisko wiceprezydenta USA, aby chronić syna przed śledztwem na Ukrainie. Pojawiają się również zarzuty prania pieniędzy przez firmę Huntera Bidena, są też informacje o mocnym lobbingu Złoczewskiego w środowisku amerykańskich demokratów, a w całej sprawie można również znaleźć nazwisko byłego prezydenta Polski. Co gorsza dla Kwaśniewskiego, także w kontekście przestępczych działań oligarchów związanych z obalonym prezydentem Wiktorem Janukowyczem.

► **Burisma i Złoczewskyj**

Burisma Holdings (Burisma Group) jest jedną z największych prywatnych spółek sektora naftowo-gazowego na Ukrainie. Powstała w 2002 roku, jest zarejestrowana na Cyprze. Burisma jest największym prywatnym producentem gazu na Ukrainie. Polityczne koneksje właściciela pomogły kiedyś w uzyskaniu licencji na eksploatację trzech kluczowych złóż węgłowodorów w kraju: Dniepr-Doniec, Karpaty, Azow-Kubań. Wszystkie te złoża są połączone z systemem gazociągów ukraińskich, co minimalizuje koszty transportu. Cała produkcja Burismy jest sprzedawana krajowym odbiorcom przemysłowym. Burisma Holdings współpracuje ze spółkami sektora ropy i gazu na Ukrainie, w Kazachstanie i Meksyku. Rozwija projekty geotermalne we Włoszech i Niemczech. Burisma Holdings jest kontrolowana przez – także zarejestrowaną na Cyprze – spółkę Brociti Investments Limited. Ta zaś jest własnością Mykoły Złoczewskiego. Przed 2011 rokiem współwłaścicielem Burismy był stary wspólnik Złoczewskiego, Mykoła Lisin. Zginął jednak w nie do końca jasnych okolicznościach: roztrząsał się lamborghini, jadąc ponad 200 km/h, nie wiadomo dlaczego ochroniarz jechał innym autem. Złoczewskyj i Lisin byli w latach 80. XX w. oficerami w sowieckiej armii. Po upadku ZSRS wyszli do cywila i założyli spółkę Infox. Handlowali metalami i paliwami.

W 2002 roku założyli spółkę Burisma Holdings, wchodząc w sektor wydobywania ropy i gazu. Firma szybko stała się jednym z największych producentów węglowodorów na Ukrainie. Złoczewskyj doskonale wiedział, że bez politycznych opiekunów w biznesie osiągnie niewiele. W latach 1998–2000 udało mu się znaleźć w Radzie Koordynacyjnej Przedsiębiorców przy prezydencie

Leonidzie Kuczmy. Szefem administracji prezydenckiej, „szarą eminencją” w otoczeniu Kuczmy był wtedy Wiktor Medwedczuk. Jeden z najbardziej prorosyjskich polityków na Ukrainie (do dziś zresztą), kum Władimira Putina. I oto w 2002 roku Złoczewskij wystartował w wyborach parlamentarnych z listy partii Medwedczuka. W latach 2003–2005 stał na czele Państwowego Komitetu Zasobów Naturalnych. Nikt nie zwracał uwagi na oczywisty konflikt interesów, wszak urzędnik Złoczewskij miał wpływ na sektor gospodarki, w którym interesy robił biznesmen Złoczewskij. Później Złoczewskij przeszedł do Partii Regionów i finansowo pomagał Wiktorowi Janukowyczowi. Ten odwdziczył się, powołując biznesmena na ministra ekologii (2010–2012). To właśnie ten resort wydawał licencje na eksploatację złóż ropy i gazu. Wtedy Burisma zaczęła rozkwitać – co nie dziwi, biorąc pod uwagę, że Złoczewskij-minister wydawał najlepsze licencje Złoczewskiemu-biznesmenowi. Niewątpliwie był jednym z oligarchów związanych z Familią, jak nazywano rosnący w siłę klan Janukowyczów (trzeci najpotężniejszy na Ukrainie, obok klanu Firtasza i klanu Achmetowa), ale nie pchał się do pierwszego szeregu, wiedział, kiedy ustąpić. Gdy naftowe interesy sprawiły, że terminal Illicziwsk stał się łakomym kąskiem dla potężniejszych, sprzedał go Grupie Prywat Ihora Kołomojskiego. Podobnie było później z naftowymi interesami Infox w obwodzie chersońskim – tutaj Złoczewskij i Lisin zaczęli współpracować z firmami oligarchy Ihora Jeremiejewa. W 2012 roku Złoczewskiego wypchnęli jednak z rządu rywale. Janukowycz umieścił go więc na stanowisku zastępcy sekretarza Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony (RBNiO) Andrija Klujewa. Sprawy skomplikowały się, gdy w lutym 2014 roku runął reżim Janukowycza. Kojarzony z nim Złoczewskij stracił stanowisko, ale co gorsza dla niego, nowa władza mogła próbować odebrać mu najlepsze aktywa biznesowe. Tak jak paru innym oligarchom związanym z Janukowiczem, którzy musieli uciekać z kraju. Złoczewskij postąpił inaczej. Polisę dla swych interesów wykupił nie na Wschodzie, ale na Zachodzie. Zaprosił do rady dyrektorów (organ nadzorczy spółki) Burismy kilku obcokrajowców. Jednym z nich był Aleksander Kwaśniewski.

► Firma z Cypru, dyrektorzy z Zachodu

Były prezydent Polski nie przypadkiem został zatrudniony przez Złoczewskiego. To była osoba znana w świecie, a jednocześnie z kontaktami na Ukrainie (choćby Wiktor Pinczuk, zięć Leonida Kuczmy, jeden z najbogatszych biznesmenów) – co ważne, po obu stronach barykad Euromajdanu. To Kwaśniewski i były przewodniczący Parlamentu Pat Cox w miesiącach poprzedzających rewolucję prowadzili misję mediacyjną, m.in. próbując namówić Janukowycza do podpisania umowy stowarzyszeniowej z UE. Uwagę zwraca, że Kwaśniewski

trafił do Burismy już w styczniu 2014 roku, a więc gdy jeszcze rządził Janukowycz, Złoczewskij zasiadał w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony, zaś na ulicach Kijowa strzelano do demonstrantów. Drugim dyrektorem Burismy z zagranicy został Hunter Biden, syn wiceprezydenta USA. Akurat jego ojciec zaczął odpowiadać za relacje USA z Ukrainą. Złoczewskij wyraźnie stawiał na dobre kontakty z rządzącymi wówczas za oceanem Demokratami. Kilka tygodni wcześniej, gdy Joe Biden składał wizytę w Kijowie, Burisma zatrudniła w radzie dyrektorów trzeciego obcokrajowca: Devona Archera, przyjaciela pasierba ówczesnego szefa amerykańskiej dyplomacji, Johna Kerry'ego.

Pierwszy raz informacja o zatrudnieniu Bidena i Kwaśniewskiego przez oligarchę i współpracownika Janukowycza pojawiła się w maju 2014 roku. Amerykański portal BuzzFeed pisał: „Dokumenty spółki na Cyprze pokazują, że syn Joe Bidena, R. Hunter Biden, został członkiem rady dyrektorów Burisma Holdings, która określa się jako największy prywatny producent gazu na Ukrainie, w dniu 18 kwietnia 2014”. Oczywiście wszyscy zwrócili od razu uwagę na to, że podczas gdy młody Biden pracuje dla jednej z ukraińskich firm, jego ojciec realizuje politykę amerykańską wobec Kijowa. Sprawę skomentował również Aleksander Kwaśniewski. Po pierwsze, podkreślił, że oprócz niego w radzie dyrektorów są jeszcze dwaj Amerykanie i jeden Brytyjczyk. Po drugie, rada ma charakter doradczy, a on sam odpowiada za prognozy i analizy polityczne. – Jestem byłym politykiem, który to, co ma, to jego wiedza, doświadczenie. I jeżeli ktoś jest tym zainteresowany, a są to ludzie poważni, to nie widzę powodów, by nie dzielić się tym doświadczeniem czy wiedzą. I jeżeli jeszcze są to pieniądze, które mogą zarobić, to też nie widzę w tym żadnego problemu – mówił były prezydent Polski. Kwaśniewski nie powiedział, ile mu płaci Złoczewskij. Wiadomo natomiast było, że Hunter Biden, bez doświadczenia w sektorze energetycznym i bez znajomości sytuacji na Ukrainie, został członkiem władz Burisma Holding z pensją – jak poinformowały amerykańskie media – „dochodzącą do 50 tys. dolarów miesięcznie”. A to nie wszystko. Jak ustalił John Solomon z portalu The Hill, „amerykańska spółka Huntera Bidena, Rosemont Seneca Partners LLC dostawała regularne transfery na jeden ze swych rachunków zwykle w wysokości ponad 166 000 dolarów miesięcznie, od Burismy, od wiosny 2014 do jesieni 2015, w tym samym okresie, gdy wiceprezydent Biden był głównym amerykańskim urzędnikiem odpowiadającym za Ukrainę i jej złożone relacje z Rosją”. Rosemont Seneca Partners LLC to odnoga spółki Rosemont Capital, założonej przez Archera i pasierba Kerry'ego, Christophera Heinza.

Niecałe dwa lata później Złoczewskij mógł sobie gratulować wyboru polisy. Gdy prokurator generalny Wiktor Szokin, nawiasem mówiąc zupełnie nieradzący sobie ze

zwalczaniem korupcji, wznowił śledztwo w sprawie Burismy, interweniował sam Joe Biden. Naciskał na zmianę prokuratora generalnego, grożąc wstrzymaniem amerykańskich gwarancji na kredyt 1 mld dolarów dla Ukrainy. Szantaż był skuteczny. Szkolnik został zdymisjonowany przez Radę Najwyższą 29 marca 2016 roku. Niecałe dwa lata później, na panelu Council of Foreign Relations w Waszyngtonie, Biden tak relacjonował tamte zdarzenia: „Powiedziałem im: nie damy wam miliarda dolarów. A oni mi mówią: nie ma pan takich pełnomocnictw, nie jest pan prezydentem, a prezydent mówił, że da. Odpowiedziałem: Zadzwońcie do niego. Mówię wam, że nie dostaniecie miliarda dolarów. Popatrzyłem na nich i powiedziałem: »Wyjeżdżam za 6 godzin i jeśli do tego czasu nie zdymisjonują waszego prokuratora generalnego, tego sukinsyna, nie dostaniecie pieniędzy«. I zwolnili go. I nominowali tego, który w tym momencie pasował”. 13 września 2016 roku sąd rejonowy w Kijowie nakazał prokuraturze generalnej zaprzestanie ścigania Złoczewskiego. Dochodzenie ws. unikania podatków prokuratura zamknęła. Nowy prokurator generalny Jurij Łucenko mówił, że Burisma spłacała wszystkie należności. O spółce znów na kilka lat zrobiło się cicho. Do czasu, gdy Joe Biden poważnie zaczął brać pod uwagę walkę z Trumpem o Białą Dom w 2020 roku. Gdy w kwietniu 2019 roku wybory na Ukrainie wygrał Wołodymyr Zełenski, ekipa Trumpa zaczęła intensywnie szukać nad Dnieprem haków na przeciwnika.

► **Milion brudnych euro**

Do kluczowej (ujawnionej później przez sygnalistę z CIA), telefonicznej rozmowy Trumpa z Zełenskim doszło 25 lipca. Amerykański prezydent prosił swojego ukraińskiego odpowiednika, by współpracował z jego osobistym prawnikiem Rudym Giulianim i amerykańskim prokuratorem generalnym Williamem Barrem. Trump zapowiedział, że skontaktują się oni z Zełenskim, i stwierdził, iż „słyszał o odwołaniu bardzo dobrego prokuratora”. Chodziło o dymisję Łucenki, który miał wcześniej zaferować ekipie Trumpa pomoc w zebraniu materiałów na Bidena. Zełenski odrzekł: „Nasz nowy prokurator to w stu procentach mój człowiek. Będzie zatwierdzony przez parlament we wrześniu. On przyjrzy się sytuacji ze spółką, o której pan wspomina”. Ruslan Riaboszapka ogłosił 4 października, że jego urząd przeprowadził generalny przegląd spraw zamkniętych przez poprzednika, w tym tych dotyczących Złoczewskiego. Dwa dni wcześniej w niezależnej rosyjskiej „Nowej Gazecie” pojawił się artykuł z informacjami bardzo kłopotliwymi dla Złoczewskiego, Bidena i... Kwaśniewskiego.

„Nowa Gazeta” powołuje się na akta śledztwa przeciwko Serhijowi Kurczenko, wpływowemu oligarską prokuraturę generalną już od 2014 roku (gazeta publikuje

fotokopie części tych akt). Kurczenko obecnie ukrywa się w Rosji, do 2014 roku uchodził za „skarbnika” klanu Janukowiczów. W jego sprawie śledczy zgromadzili już setki tomów dokumentów. Jeden z badanych wątków dotyczy zakupu przez oligarchę bazy przeładunku ropy naftowej w Chersoniu od Mykoły Złoczewskiego. Prokuratura uważa, że zakup ten sfinansowano z pieniędzy pochodzących z przestępstwa. Co więcej, z sumy uzyskanej od Kurczenki Złoczewskij dokonał następnie wypłat na konta członków rady dyrektorów Burismy, m.in. Bidena i Kwaśniewskiego. W każdym wypadku honoraria wypłacono z konta Burismy w Prywatbanku (wówczas należącym do oligarchy Ihora Kołomojskiego) z tytułu „usług konsultacyjnych”. Amerykanin Alan Apter otrzymał na rachunek w Citibanku łącznie 242 885 euro w okresie od 16 grudnia 2014 do 19 sierpnia 2015 roku. Równie 1 000 000 euro (w dniach 16 grudnia 2014 – 19 sierpnia 2015 roku) otrzymał na rachunek w PKO BP Aleksander Kwaśniewski – należy w tym miejscu wspomnieć, że wiosną 2014 roku były prezydent RP zapewniał, że całość podatku od wynagrodzenia w Burisma Holdings płaci w Polsce. Zaś między 18 listopada 2014 a 16 października 2015 roku z rachunku bankowego spółki Burisma na rachunek spółki Rosemont Seneca – reprezentującej interesy Huntera Bidena – przelano łącznie 3 404 712,82 dolarów. W przedstawionym przez „Nową Gazetę” dokumencie ukraińskiego śledztwa zarówno w odniesieniu do Bidena juniora, jak i Kwaśniewskiego wskazano, że przekazane im środki „pochodzą z przestępstwa”. Z akt śledztwa wynika, że w taki sposób doszło do legalizacji (prania) pieniędzy na sumę 12 899 896 420,79 hrywien, uzyskanych drogą przestępstwa. Równy tydzień po publikacji „Nowej Gazety” niezależny deputowany do Rady Najwyższej Ukrainy Andrij Derkach opublikował materiały śledztwa, które toczy się w związku z nadużyciami w Burisomie. Według Derkacza dokumenty, do których dotarł, opisują „przekazywanie pieniędzy od Burisma Group za działalność lobbystyczną – jak uważa śledztwo – osobiście Joe Bidenowi przez firmę lobbystyczną. 900 tys. dolarów zostało przelane na konto [...] amerykańskiej spółki Rosemont Seneca Partners związanej z Bidenem. Pieniądze te przelano za usługi konsultacyjne” – powiedział Derkach. Deputowany oświadczył, że przedstawiciele Burismy, wśród których znajduje się m.in. Biden młodszy i Aleksander Kwaśniewski, otrzymali ogółem „nie mniej niż 16,5 mln dolarów”.

Kwaśniewski już w 2014 roku tłumaczył, że rada dyrektorów nie jest związana z działalnością operacyjną firmy, ma jedynie „charakter doradczy”. Nie zmienił zdania także po wybuchu afery w związku z naciskami Trumpa w sprawie Burismy. I mimo publikacji wskazującej, że przynajmniej część honorariów od Złoczewskiego ma przestępcze pochodzenie. Jeszcze pod koniec listopada wciąż był członkiem rady dyrektorów Burisma Group. ■

Małgorzata Matuszak



NA MARGINESIE SPOŁECZEŃSTWA

Często spotykamy się ze stwierdzeniami, że żyjemy w trudnych czasach, w bardzo złożonych społeczeństwach, dlatego wielu ludzi nie radzi sobie z problemami natury osobistej czy społecznej. Że wielu z nich doświadcza wykluczenia społecznego definiowanego jako efekt różnego rodzaju upośledzeń społecznych, a samo wykluczenie społeczne stało się niepokojącym zjawiskiem nowoczesności. Niestety, ten problem nie jest niczym nowym. Przyznać jednak trzeba, że choć to kwestia stara, dopiero od jakiegoś czasu zaczęto patrzeć na nią kompleksowo i zastanawiać się, co zrobić, by jej zaradzić, a przeciwdziałanie wykluczeniu społecznemu jest obecnie jednym z najważniejszych zagadnień i celów europejskiej polityki społecznej.

► Czym jest wykluczenie społeczne?

W dokumentach Komisji Europejskiej termin „wykluczenie społeczne” został przyjęty po raz pierwszy w latach 80. XX wieku. W Strategii Zrównoważonego Rozwoju, dokumencie przyjętym w 2001 roku po Traktacie Lizbońskim, wskazano, że to „człowiek jest najważniejszym czynnikiem rozwoju – kapitałem ludzkim”, a ograniczanie wykluczenia społecznego i wszelkie formy przeciwdziałania temu zjawisku są priorytetem celów Wspólnoty. Od tamtej pory, w odpowiedzi na dominujące przekształcenia w Europie, termin ten, wraz z innymi nowymi, w dokumentach unijnych zaczął zastępować pojęcia takie jak „bieda”, „ubóstwo”, „trwałe bezrobocie”.

Pojęcie wykluczenia ewoluowało i do dzisiaj nie ma jednoznacznej definicji, czym jest. Zgodnie z Narodową Strategią Integracji dla Polski wykluczenie społeczne to „brak lub ograniczenie możliwości uczestnictwa, wpływania i korzystania z podstawowych instytucji publicznych i rynków, które powinny być dostępne dla wszystkich, a szczególnie dla osób ubogich”, czyli jest to „sytuacja uniemożliwiająca lub znacznie utrudniająca jednostce lub grupie zgodne z prawem pełnienie ról społecznych, korzystanie z dóbr publicznych i infrastruktury społecznej, gromadzenie zasobów i zdobywanie dochodów w godny sposób”.

Każda proponowana definicja zaznacza, że określa ono sytuację, w której dana jednostka będąca członkiem społeczeństwa nie może normalnie uczestniczyć w działaniach obywateli tego społeczeństwa, przy czym ograniczenie to nie wynika z jej wewnętrznych przekonań, ale znajduje się poza kontrolą wykluczonej jednostki. Jest to zjawisko wielowymiarowe, oznaczające w praktyce niemoż-

Okres bożonarodzeniowy to czas, w którym w sposób szczególny myślimy o osobach samotnych, opuszczonych i odtrąconych, cierpiących, o tych, którzy w życiu mają trudniej i wymagają pomocy innych. Ten czas jest szczególną okazją do budowania więzi międzyludzkich i zbliżania człowieka do człowieka, do otwarcia serca na Innego.

ność uczestnictwa w życiu gospodarczym, politycznym i kulturowym w wyniku braku dostępu do zasobów, dóbr i instytucji, ograniczenia praw społecznych oraz deprywacji potrzeb.

Grupami najbardziej narażonymi na wykluczenie społeczne są: osoby długotrwale bezrobotne, o bardzo niskich kwalifikacjach zawodowych, uzależnione, niepełnosprawne, chore psychicznie, opuszczający zakłady karne i poprawcze, kobiety samotnie wychowujące dzieci, ofiary patologii życia rodzinnego, starsze osoby samotne, bezdomni, dzieci i młodzież ze środowisk zaniedbanych oraz wychowujące się poza rodziną, osoby będące imigrantami oraz członkowie mniejszości narodowych (na przykład przedstawiciele społeczności romskiej).

► Równia pochyła

Prawdopodobieństwo dotknięcia wykluczeniem zwiększa się, gdy dana osoba posiada kilka

częściej w trzech następujących po sobie etapach: pierwszy to tzw. wątrość, czyli stan, w którym osoba, mimo iż została dotknięta rozmaitymi problemami, wciąż utrzymuje kontakty z resztą społeczeństwa. Drugim etapem jest „zależność od opieki społecznej” – tu pogłębia się trudna sytuacja osoby, która nie jest już w stanie samodzielnie poradzić sobie z sytuacją, pełni jeszcze niektóre role społeczne, ale jej uczestnictwo w społeczeństwie jest coraz słabsze. Na trzecim etapie następuje „załamanie więzi społecznej” – jednostka zostaje całkowicie wyłączona z głównego nurtu życia zbiorowego.

Problem wykluczenia społecznego polega na tym, że im dłużej proces ten trwa, tym trudniej go przerwać i odwrócić. Skutki i przyczyny popadnięcia w niego nakładają się na siebie i z czasem trudno je od siebie odróżnić. Osoby długotrwale bezrobotne, ubogie, uzależnione od pomocy społecznej, z czasem tracą zdolność radzenia sobie w tej trudnej dla nich sytuacji, grzęzną w niej, paradok-

OSOBY DŁUGOTRWALE BEZROBOTNE, UBOGIE, UZALEŻNIONE OD POMOCY SPOŁECZNEJ Z CZASEM ZATRACAJĄ ZDOLNOŚĆ RADZENIA SOBIE W TRUDNEJ DLA NICH SYTUACJI, PARADOKSALNIE NIECO PRZYZWYCZAJAJĄ SIĘ DO NIEJ I PRZYJMĄJĄ POSTAWĘ BIERNOŚCI I WYUCZONEJ BEZRADNOŚCI ŻYCIOWEJ.

cech charakterystycznych dla wyżej wymienionych grup społecznych równocześnie. Trzeba także dodać, że występowanie tych zjawisk nie zawsze musi prowadzić do wykluczenia. Zdarza się i tak, że człowiek „jakoś” funkcjonuje, radzi sobie w swojej sytuacji, jednak jakiś dodatkowy czynnik, subiektywny bądź obiektywny, spowoduje, że coraz trudniej mu się w niej odnajdywać i zaczyna popadać w coraz gorsze problemy, z którymi przestaje sobie zupełnie radzić. W sytuacji wykluczenia bądź narażenia na nią musimy pamiętać o tym, że choć mamy w niej do czynienia ze schematami, które możemy zauważyć w zdecydowanej większości przypadków, to jednak za każdym razem przede wszystkim musimy dostrzec człowieka i to, co się wokół niego dzieje.

W odróżnieniu od „statycznego” ubóstwa, wykluczenie społeczne jest procesem, długotrwałym i wielowymiarowym. Odbyna się poprzez tzw. stygmatyzację osoby bądź osób – czyli naznaczenie, nadanie im etykiety – narzucającą w ten sposób określoną perspektywę, w której zaczynają postrzegać siebie i swoją sytuację. Odbyna się to naj-

salnie nieco przyzwyczajają się do niej i przyjmują postawę bierności i wyuczonej bezradności życiowej. Sytuacja wygląda jeszcze gorzej w momencie, kiedy takie zachowanie jest „dziejiczone”, pewne wzorce postaw życiowych przekazywane są z pokolenia na pokolenie i utrwalane w formie takiego właśnie „stylu życia”, tzw. kultury ubóstwa. Często osoba taka, nawet jeśli chce wyjść z tego błędnego koła, w które wpadła, nie potrafi tego dokonać.

► Jak reintegrować?

Jeśli osoba pozostaje bezrobotna przez długi czas, czyli powyżej dwóch lat, mamy w jej przypadku do czynienia z różnorodnymi procesami, które bardzo trudno odwrócić, a niekiedy nawet nie da się tego zrobić, jeśli w międzyczasie pogłębił się problem powodujący wykluczenie i/bądź pojawił kolejny. Są to zarówno procesy natury psychologicznej, zdrowotnej, odzwyczajania się od pewnych nawyków właściwych dla osób pracujących, jak i – po prostu – problemy związane z utratą kwalifikacji – niewykorzystywane umiejętności zanikają. Z rynku pracy łatwo się wypa-

da, powrót jest o wiele trudniejszy. Dlatego pomoc kierowana do osób długotrwale bezrobotnych musi być kompleksowa, uwzględniać wszystko to, co przeszkadza danej osobie w podjęciu pracy. Złe nakierowana może paradoksalnie doprowadzić do pogłębiania się bierności tych osób. Same świadczenia socjalne, bez odpowiednich kompleksowych programów pozwalających wyjść z grupy marginalnej, nie przynoszą z reguły spodziewanych efektów długoterminowych. One są ważne, szczególnie dla tych, dla których są jedynym możliwym źródłem dochodu, którzy pracować nie mogą z przyczyn zupełnie od nich niezależnych, na przykład z powodu stanu zdrowia, niepełnosprawności czy wieku, jednak sedno tkwi w czymś innym. Wówczas nie można ich traktować jako jedynej możliwości wsparcia przy jednoczesnej nieaktywności na rynku pracy.

Jak więc pomagać? Przede wszystkim: mądrze. Na szczęście rządy krajów, dla których problem wykluczenia społecznego jest ważny, a należy do nich również Polska, wprowadzają wiele programów

uczestnicząca w takim programie nie będzie w stanie zmienić diametralnie swego życia, to doświadczenie, które w wyniku uczestnictwa w nim zyska, może okazać się czymś niezmiernie ważnym.

► Prawo do godnego życia

By proces wychodzenia z zapętlenia wykluczenia społecznego się powiódł, zacząć trzeba przede wszystkim od niwelowania negatywnych postaw, które te osoby często reprezentują. Podstawową barierą są w wielu przypadkach bowiem uwarunkowania psychologiczne, charakter i osobowość, a to najtrudniej zmienić. Często są to ludzie pełni agresji gromadzonej przez lata, z którą nie potrafią sobie poradzić i która manifestować się może na wiele sposobów. Trzeba pamiętać, że podstawowym problemem marginalizacji jest nie tyle sam brak dóbr i środków materialnych, ile poczucie braku możliwości wpływu na własne życie, poddanie się, nieumiejętność radzenia sobie z problemami róż-

NIEZWYKLE WAŻNYM OGNIWEM ZARÓWNO WALKI Z PRZYZCYNAMI WYKLUCZENIA SPOŁECZNEGO,
JAK I PROCESU WYCHODZENIA Z NIEGO, JEST RODZINA. ISTOTNA W TYM WZGLĘDZIE JEST TAKŻE ROLA
NAJBLIŻSZEGO OTOCZENIA.

mających na celu aktywizację osób długotrwale bezrobotnych. Prowadzi się wiele badań dotyczących poszukiwania nowych form przeciwdziałania i zapobiegania temu zjawisku. Tu nie ma łatwych rozwiązań, jednak warto ich szukać.

Istnieje wiele programów aktywizujących, oferujących kursy, szkolenia, staże, które dla zainteresowanych nie tylko są bezpłatne, lecz także za uczestnictwo w nich często wypłacane są stypendia. Nie są to oczywiście duże sumy, jednak istnieje szansa, iż udział w takim programie na nowo przywróci człowiekowi wiarę siebie, że może i potrafi pracować. Poza tym dla kogoś, kto nie ma żadnych środków, nawet te niewielkie są konkretnym wsparciem. Warto korzystać z tej formy aktywizacji zawodowej, która pomóc może w tym, by w krótkim czasie uzyskać nowe kwalifikacje zawodowe bądź przypomnieć sobie zapomniane umiejętności, a dodatkowo z pomocą specjalistów wejść na nowo na rynek pracy. Trzeba tylko poszukać lokalnych programów, ośrodków ekonomii społecznej, z pewnością pracujący w nich ludzie postarają się znaleźć jakieś rozwiązanie. Nawet jeśli osoba

nego rodzaju, a także niewystarczające uczestnictwo w życiu społecznym. Wykluczenie społeczne ma charakter stygmatyzujący, a to niezwykle ciężkie brzemie.

Podkreślić trzeba także to, że niezwykle ważnym ogniwem zarówno walki z przyczynami wykluczenia społecznego, jak i procesu wychodzenia z niego, jest rodzina. Istotna w tym względzie jest także rola najbliższego otoczenia.

Okres bożonarodzeniowy to czas, w którym w sposób szczególny myślimy o osobach samotnych, opuszczonych i odrzuconych, cierpiących, o tych, którzy w życiu mają trudniej i wymagają pomocy innych. Ten czas jest szczególną okazją do budowania więzi międzyludzkich i zbliżania człowieka do człowieka, do otwarcia serca na Innego. Każda inicjatywa, dzięki której potrzebujący otrzyma pomoc, nawet wyłącznie doraźną, jest niezwykle ważna i potrzebna, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Warto jednak pomyśleć o osobach wykluczonych inaczej: co zrobić, by pomóc im z tego zapętlenia wyjść, by oni sami zobaczyli w sobie ludzi, którymi są, którymi mogliby się stać. ■



Ewa Polak-Palkiewicz

PANI DOMU NA POSTERUNKU

Solange Hertz, drobna kobieta o ujmującej powierzchowności, była jedną z największych w naszych czasach obrończyń rodziny. Zawsze w swoich tekstach wykazywała się żelazną konsekwencją: „Jeżeli żona – to matka; jeżeli matka – to żona” – to jej hasło.



Rodzina jest potęgą, dopóki rodzice są wewnętrznie wolni – twierdziła amerykańska pisarka Solange Hertz. Rodzina bowiem jest obecnie jedynym miejscem, w którym „rzeczy warte zrobienia nadal są traktowane poważnie” – jak mawiał Chesterton. Dlatego matka może uszyć córce sukienkę, którą mogłaby kupić „w zalanym masową produkcją supermarkecie za ułamek kosztów i czasu, jakie musi poświęcić na jej wykonanie” – mówi Solange. Niepodzielni monarchowie, jakimi są w istocie rodzice, z natury rzeczy są także artystami, i uszyta w domu sukienka nie ma ceny. To dlatego z rodziną nie da się „wejść w dialog”. Rodzinie godnej tego miana nie da się niczego narzucić. Nie da się przekupić jej błyskotkami.

Nie jest to pogląd dziś popularny. [...]

► Na twardym gruncie rzeczywistości

Solange Hertz (1920–2015), drobna kobieta o ujmującej powierzchności, była jedną z największych w naszych czasach obrończyni rodziny. Przypominała żołnierza stojącego na warcie, skupionego i czujnego, gotowego do oddania strzału lub powalenia celnym ciosem przeciwnika. Amunicją były jej książki i artykuły. Broniła nimi bardziej swojej misji, swojego serca niż swojego ziemskiego królestwa, rozciągającego się pod Leesburgiem w stanie Wirginia, na kilkudziesięciu arach ziemi pokrywającej wyniosłe wzgórze wokół rezydencji z kamienia z 1790 roku. Ta „gospodyni domowa”, jak zawsze o sobie mówiła, była świadoma wielkości misji złeconej jej przez Boga. Nie tylko wobec najbliższych, lecz także wobec innych kobiet i rodzin.

Autorka artykułów publikowanych w konserwatywnej katolickiej prasie o „powołaniu gospodyni domowej” należała do istot obdarzonych w nadmiarze tym, co nazywamy zdrowym rozsądkiem czy *sensus catholicus*. Nie potrafiła „ściemniać”. Nie była pełna wątpliwości i wahań co do swej podstawowej roli w rodzinie. Nie uważała za stosowne, by sączyć delikatnie nieśmiałe obiekcje co do kondycji współczesnej rodziny i lansowanego przez niezliczone instytucje modelu „kobiety dynamicznej”, „kobiety sukcesu”, „wyzwolonej”, „asertywnej”, dla której rodzina jest zawsze tylko kulą u nogi. Stawała na twardym gruncie rzeczywistości. W jednej z książek opowiedziała historię przywiezioną przez misjonarza ks. Raymonda De Jaeghera o chińskiej wiosce o tym, jak „mała, dobrze wyszkolona banda komunistów przejęła kontrolę nad chińską wioską bez jednego wystrzału”,

bowiem przy perfekcyjnym opanowaniu metody zawładnięcia umysłem pojedynczego człowieka można osiągnąć ważne cele strategiczne. Celem wybranym przez lokalnych agitatorów stała się kobieta, która w tej wiosce stanowiła ważny punkt odniesienia, swoiste centrum, była bowiem, jak pisze Solange Hertz, „niezwykle kompetentną, cieszącą się szacunkiem żoną i matką licznego potomstwa. Nie marnując czasu wmówili jej rozliczne uzdolnienia i szybko przekonali, że popełnia błąd, tracąc czas w domu, podczas gdy mogłaby służyć całej wiosce, poświęcając się dla Chin, a nawet świata. Z czasem kobieta przyjęła stanowisko w szeregach całej bandy. W miarę jak jej zaangażowanie rosło, zaniedbywała dom, jej mąż zaczął szukać towarzystwa w pobliskiej herbaciarni, a dzieci zostały oddane pod opiekę dziadków i krewnych”.

[...] „Widząc taki przykład”, kontynuuje opowieść o wiosce Solange Hertz, „inne żony wkrótce uznały swój monotony los za nie do zniesienia i poszły jej śladem. Wioska zaczęła się rozpadać. Przełom nastąpił wówczas, gdy pierwsza gospodyni znalazła w sobie dość siły, by publicznie znieważyć swą teściową, którą zmuszono do dokonania przed całą wspólnotą aktu »samokrytyki« za tyranizowanie tak utalentowanej, a obecnie wyzwolonej już synowej. Dla Chinki było to najbardziej rażące zlekceważenie tradycyjnych norm. Skutkiem był chaos. Po zlikwidowaniu opozycji komunistyczna banda przejęła kontrolę nad całą wioską”. Nie trzeba dodawać, że świadek tych wydarzeń, ksiądz De Jaegher został wypędzony z Chin.

► Wojownik w domu z ogródkiem

Solange była zawsze w swoich tekstach nieprzejeżdżana: „Jeżeli żona – to matka; jeżeli matka – to żona” – to jej hasło. Nie potrafiła wzruszać się losem „samotnej matki”. [...] Solange była cietą na te żony i matki, które łatwo ulegały kuszeniu świata i wybywały przy byle okazji z domu, by spełnić swój najważniejszy obowiązek: „wyrwać się”, „pobyć wśród ludzi”, „odprężyć się”, „zadbać o siebie”. Dom – miejsce niegdyś wyśnione, wybrane, święte – stał się nudnym i uciążliwym jarmzem. Wyśmiewa się ze sloganu żerującego na kobiecej próżności: „Matka niemowlęcia zadbana, więc szczęśliwa”.

Ten śmiech jest gorzki, nie złośliwy. Podobny do tego, który ogarnia Vittorio Messoriego, gdy wspomina, że dziś siostry zakonne tak często nie przypominają nam już o poście, a należą do najbardziej poszukiwanych autorów książek z przepisami kulinarnymi („Post pozostawiono buddystom, wielbi-

cielom New Age, klinikom dbającym o zdrowie, w których płaci się – i to dużo – za to, że nie dają ci jeść”). Solange potrafi celnie zadrwić z hasła o potrzebie „ustawicznego kształcenia” (zwłaszcza kobiet), tak popularnego dziś z powodu głębokiemu poczucia niepewności, jakie towarzyszy ludziom dorosłym (nawet wykształconym, obytym w świecie). Niepewności co do darów i talentów złożonych we własnej naturze, niepewności co do swojego rozsądku, intuicji, rozumu. Ta mania „zdobywania nowych kwalifikacji”, nieustannego doszkalania się na kursach, fakultetach, letnich szkołach, „naukowych” weekendach, poczynawszy od szkoły „jak być mamą”, skończywszy na „uniwersytecie bycia babcią”, skutkuje przekonaniem, że kobieta musi mieć wypełnioną każdą chwilę, jakby była maszyną, która musi mieć jak najwięcej programów i być stale „podłączona do gniazdka”. Zdolna zarówno do pracy, jak i do remontów; odpowiednio prowadzona przez centralny mechanizm, bo inaczej zabrniewie w krzaki, zdziczeje. Ta atmosfera, która wpędza kobiety w kompleksy, budziła u Solange Hertz politowanie. Stąd biorą się pomysły na „szkoły żon”, „szkoły uczuć”. Czy od tego przybywa komukolwiek mądrości? Czy raczej unikalna ludzka mądrość, wzbogacona przez kobietę intuicję zostaje zablokowana? Kobieta czuje się coraz mniej pewna swojej kobiecości. Nie rozumie jej. Chce z nią walczyć.

► Bastion rządów osobistych

Rodzina, a w niej królująca kobieta, jest żyjącym organizmem powołanym do istnienia przez Boga. I jako taka jest ona „naturalnym wrogiem czystej organizacji” – przypomniała Solange. To nie materialna jedynie „komórka społeczna”, która może być wchłonięta przez silniejsze organizacje czy ruchy społeczne. Rodzina jest teokracją, „bastionem rządów osobistych”. Z niej płynie siła kobiety, mężczyzny, dzieci. Tymczasem rodziców „namawia się, by stali się prawdziwymi profesjonalistami, by ich rodziny rządziły się tak cenionym przez zsekularyzowane społeczeństwo zasadami wydajności i utilitaryzmu. Jednak nawet te zasady ustąpić muszą wobec pokusy pośpiechu, ponieważ diabłu nie zostało już wiele czasu. Wiadomo, czas to pieniądź, a prawdziwie wartościowa rodzina musi być dziś rodziną bogatą. Ubóstwo, niegdyś rada ewangeliczna, musi zostać wypłenione u swego źródła”.

„W obliczu tej propagandy »perfekcjonizmu« niewielu rodziców ma odwagę prowadzić zwykły dom, robiąc zwyczajnie i zarazem wspaniale rzeczy, warte tego, by je potraktować poważnie. [...] Wpusz-

zczając do domu ducha tego świata, rodzina wkrótce zaczyna dostosowywać się do wszelkich możliwych trendów, zmieniając się stosownie do zmian, jakim podlega społeczeństwo wedle najlepszych zasad marksistowskich... Ojcom i matkom wmówiono, że bez profesjonalnego kierownictwa nie są w ogóle w stanie prowadzić domu – do tego stopnia ekspertyza zajęła miejsce autorytetu. Degustatorzy dyktują nam, co ma trafić na rodzinny stół. Wmawia się nam, że jedynie zawodowi katecheci potrafią przekazać wiarę, na żywo czy z playbacku. Zawodowi cudzołóżnicy wdzierają się do sypialni, by uczyć rodziców, jak się mają »kochać«.

Może to wydawać się zbyt apokaliptyczne, ale spójrzmy wokół. Dziś wiele tzw. zamożnych rodzin z dziećmi mieszkających we własnych domach korzysta niemal wyłącznie z przywożonych do domu posiłków, a sterylne kuchnie z nowoczesnym sprzętem są jedynie dekoracją, urozmaicheniem monotonii granitowych czy marmurowych płaszczyn salonu-jadalni. „Sukces, jaki odniosła Maria Montessori w zakresie »inżynierii dziecięcej«, jest równie niezaprzeczalny jak wspaniały smak głęboko mrożonego sześciodaniowego obiadu” – sztydzi Solange Hertz.

Tymczasem normalna, tj. tradycyjna rodzina może sobie pozwolić, by być „nieekonomiczna i nieefektywna”, może w kuchni szaleć, śmieć, śmiać się do woli i gotować rzeczy zdrowe albo tuczące i ciężkostrawne, tanie lub bogate, wykwintne i oryginalne, tak samo jak kluski z makiem i groch z kapustą. „posłuszna jest bowiem wyższemu prawu”. Atmosfera zwykłego rodzinnego domu to nie jest atmosfera idealnego, wymuskanego wnętrza, gdzie wszyscy są bezapelacyjnie szczęśliwi, bo mogą oddawać się – wspólnie i we własnych pokojach – niczym nieograniczonej konsumpcji, a potem zgodnemu segregowaniu odpadów. Temu pragnieniu nowoczesnego stylu życia, a zarazem stworzenia nieskazitelnego wnętrza, gdzie nie ma bakterii (bo nikt już nie zajmuje się przygotowywaniem obiadu i gorącej kolacji, nikt nie przyjmuje gości domowym jedzeniem, od czego są fast foody i catering) przeciwstawia się w swoich książkach Solange Hertz.

W normalnym domu zawsze walają się na kanapie jakieś skarpetki, spod sofy wystają czyjeś kaptcie, fotele obrastają w sierść kotów, w doniczkach usychają pelargonie, coś się psuje, coś cieknie lub będzie ciepło. Jest normalnie, bo prawdziwe panie domu nie koncentrują się na wszystkich materialnych szczegółach, nie tworzą sztucznej scenarii. Ich ambicje ulokowane są gdzie indziej.

„Są chwile, w których zaczynam mieć wątpliwość” – pisała w połowie lat 60. Solange – „czy nie przeceniam mojego powołania. Pewnego dnia nasze piętnastoletnie dziecko wybuchło: »Poddajesz mnie praniu mózgu. Jeśli pobędę tu jeszcze trochę, skończę jako gospodyni!« Byłoby to niedobrze, ponieważ owo piętnastoletnie dziecko jest płci męskiej. Lubi majsterkować przy maszynach, nieźle gra w koszykówkę, nienawidzi prac domowych i uważa, że dziewczyny są w porządku, o ile tylko znają swoje miejsce. Innymi słowy, na swój własny, nieoświecony męski sposób, jest całkowicie normalny. Nie było mi łatwo z nim rozmawiać, uważam jednak za swój obowiązek wyjaśnianie wszystkim, którzy chcą mnie słuchać, że powołanie gospodyni odnosi się w rzeczywistości do każdego”. Uwzględnianie w mądrym, twardym wychowaniu chłopców pewnych elementów kobiecych zajęć i sposobów reagowania było zawsze uznawane przez klasyczną pedagogikę za mądre i dalekowzroczne.

Solange Hertz – w waszyngtońskim gimnazjum prymuska, absolwentka filologii klasycznej (jako pierwsza w historii kobieta zdobyła stypendium w Georgetown University) – była matką pięciorga dzieci. Doczekała się 19 wnuków i 50 prawnuków. Jako matrona prowadziła prywatny samolot, którym latała na kongresy i spotkania, na które była zapraszana jako autorka książek („Na wielkiej skale”, „Myśl ich serca”, „Herezja gwiazdzistego sztandaru” i inne). Przywiązana do Kościoła katolickiego, którego broniła zwłaszcza w epoce rewolucyjnych wstrząsów, żarliwie studiująca w domu teologię i biblistykę, była osobą szczęśliwą, pomimo przedwczesnej utraty ukochanego męża Gustava Crane’a Hertza.

Uważała, że jako członkowie rodzaju ludzkiego „nawet mężczyźni są gospodyniami w stosunku do Boga, wobec którego wszystkie dusze są niejako rodzajem żeńskiego, prowadząc »domy« dla Boskiego Oblubieńca. Nikt nie może zaprzeczyć, że pod względem duchowym każdy człowiek musi być »niewiastą dzielną«, posłuszną i miłą tego Oblubieńca, odziewającą siebie i swe dzieci, karmiącą rodzinę i zarządzającą domem, uprawiającą swą winnicę, udzielającą jałmużny i »otwierającą swe usta z mądrością«”.

► Żona i matka, czyli królowa

Solange uważała, że powołanie do życia rodzinnego, do opieki nad dziećmi i prowadzenia domu jest czymś na kształt powołania do życia kontemplacyjnego. Okrzyczana jako główna „obrończyni

życia” w Ameryce była przede wszystkim osobą potrafiącą powiązać przyczynę ze skutkiem. Nie posługiwała się nigdy argumentem „prawa do życia nienarodzonych”. Wykształcona na grece i łacinie zwalczała jedynie pewną niebezpieczną mentalność ukształtowaną przez ekspertów „ukoronowanych jako lary i penaty ogniska domowego”, jak ich nazywa, wykazując, że ich sposób działania to uzurpacja tego domowego magisterium. „Żądając od swych wyznawców uwielbienia i zadośćuczynienia w zamian za najmniejszą oznakę życzliwości, w szybkim tempie uzyskują kontrolę nad całym ich [rodziców] życiem. Niektórzy otwarcie domagają się dziś ofiar z ludzi w formie przymusowej antykoncepcji i aborcji – i żądaniom ich czyni się zadość”. Walczą oni w ten sposób nie tylko z życiem biologicznym, materialnym, walczą z duchem, który daje życie. A przeznaczeniem rodziny

SOLANGE HERTZ NIE BYŁA PONURĄ
DOKTRYNERKĄ, JAK KTOŚ MÓGŁBY SĄDZIĆ,
I NIE UPIERAŁA SIĘ NIGDY, ŻE MIEJSCE
KOBIETY JEST WYŁĄCZNIE W DOMU.
DAWAŁA PRZYKŁAD ŻON I MATEK, KTÓRE
SPEŁNIAŁY MISJĘ WOBEC INNYCH.

„nie jest wytwarzanie profesjonalnych produktów, lecz dawanie życia istotom ludzkim”.

Czy może być lepszy sposób na zniszczenie kobiety niż „przekonanie jej, że jest ona w istocie tym samym co mężczyzna, że ma odgrywać w świecie dokładnie taką samą rolę? Diabeł musi przekonać ją, że tzw. obowiązki kobiety są w rzeczywistości średniowiecznym przeżytkiem, mającym źródło jedynie w uwarunkowaniach kulturowych, a nie w obiektywnej rzeczywistości”. Zapomina się dziś, że każda kobieta ma wpisany w swoją naturę kod macierzyństwa, ona „wie”, ona potrafi kochać swoje dziecko, nikt nie musi jej tego uczyć. We Francji „nieumiejętność bycia matkami” uważana jest za problem społeczny, masa specjalistów zatrudniona jest przy uczeniu młodych kobiet przewijania, opieki nad niemowlęciem, gotowania. Młode kobiety są „rozrywane” między rzekomą „potrzebą samorealizacji”, „spełnienia uczuciowego” a świadomością, że są tymi, bez których ich dziecko nie może się obejść. Problem zerwania

więzi dziecka z matką we wczesnym dzieciństwie występuje tak często dziś tylko dlatego, że matce wmówiono, że ona, by pozostać normalna, musi się bawić, mieć rozrywki, mieć swój świat. Inaczej umrze za życia, zamieni się w zasuszoną istotę oderwaną od rzeczywistości. Kiedyś poświęcenie się matek dla dziecka było najbardziej oczywistą postawą, czymś naturalnym. Dziś otrzymuje naukowy certyfikat.

Solange Hertz często podkreśla, że bycie matką to coś o wiele więcej niż rola społeczna. „Kobieta zamężna nie jest po prostu kobietą niezamężną plus mąż i dzieci. To całkowicie inna rzeczywistość”. Z powodu zaniku świadomości, czym jest macierzyństwo, kim jest żona i matka, kobiety tak często i łatwo przyjmują role męskie. Paradoksalnie to Mieszkowski może nam dziś przypomnieć, kim jest żona poślubiona w Kościele; gdy przyjął chrzest i nawrócił się, odprawił z miejsca swoje siedem „żon”. Dzięki sakramentowi małżeństwa kobieta przestała być „przedmiotem użycia” dla mężczyzny. Ten sakrament nauczył go, kim ona jest i kim jest on wobec niej. Marksizm usiłował – i czyni to nadal – wprowadzić konkurencyjność w relacjach kobiet i mężczyzn, walkę w miejsce wzajemnej czci i współpracy. Cała feministyczna epopeja to początek wielkiego starcia kobiety z mężczyzną. W jego wyniku kobieta staje się na powrót niewolnicą. Przede wszystkim niewolnicą uczuć, ale i przedmiotem użytku. Liczą się już nie obowiązki stanu, lecz obowiązki towarzyskie, zawodowe. „Stan”, „godność” to coś abstrakcyjnego, ważne są „role” i „funkcje”.

Miłość macierzyńska Matki Bożej – Jej mądrość jako Matki – jest odwzorowywana przez dobre matki, cierpliwe, ufne, kochające. Pozostające w życiu ukrytym. Niewyręczające się opiekunkami, nietwierdzące, że ktoś z zewnątrz lepiej wychowuje ich córki i synów. „Sączone przez media pochlebstwa popychają panią domu ku rzeczom, do których nigdy nie przybliżyłby jej przymus fizyczny” – pisze Solange. „Bezmyślne wypychanie matek z domów na harówkę, byle tylko powiększyć dochód gospodarstwa, okazało się niezwykle skuteczne w tworzeniu współczesnej aberracji społecznej znanej pod nazwą »pracującej matki«. Jak zwierzył mi się kiedyś pewien menedżer ubezpieczeniowy: »Gdybyście tak kazali gospodyniom siedzieć w domu i zajmować się dziećmi, moja firma mogłaby zwinąć interes«”.

► Dom, posłuszeństwo, powołanie...

Solange mieszkając na wsi – a tym były w istocie przedmieścia Leesbourga – była realistycznie

nastawiona do życia. Wiatr, zimno i upał, zwierzęta i rośliny, zajęci uprawą ziemi sąsiedzi – to dla pani domu było lepszym otoczeniem niż ulice i reklamy. „Świat” z jego ofertami atrakcyjnego życia wydawał jej się błady i anemiczny w porównaniu z prawdziwą walką, z prawdziwymi wyzwaniem, jakie znajdowała wśród bliskich. W domu i wokół niego. Wychowując dzieci, prowadząc dom i małe gospodarstwo – przez wiele lat już jako wdowa – obywając się bez sztabu sprzątaczek, kucharek i opiekunek do dzieci, zdobyła mnóstwo cennych umiejętności, ale przede wszystkim nauczyła się patrzeć na życie głębiej, widzieć zjawiska, a nie tylko wydarzenia. Wiedziała, że Bóg, obdarzając ją potomstwem, dał wyraz zaufania do niej. Zaufanie Boga to coś niewyobrażalnie wielkiego. On ma prawo oczekiwać, że swoje dzieci wychowa dla Niego. Dlatego domu (także domu czytelniczek) Solange broniła jak twierdzy (choć nigdy nie chciała odgrodzić się w nim od ludzi; była niezwykle towarzyską). Widziała w domowym zamknięciu wielki skarb, zwykle niedoceniany przez zabiegane aktyvistki: samotność.

„Naprawdę, każda gospodyni domowa, która potrafi otworzyć szeroko swą duszę przed Bogiem w osamotnieniu, jakie On jej daje, zdumiona jest obfitością otrzymanych łask. Pozostając w domu może rozwiązywać problemy wychowawcze, oszczędzać pieniądze, utrzymywać w równowadze budżet rodzinny, urządzać dom, uczyć psa i bawić dziecko. Zyskuje pochwałę z ust męża. Myślę, że jest tak dlatego, że w ten sposób przestaje ona być jedynie córką i staje się kobietą. Jej nieobecność redukuje dom do poziomu budynku, miejsca spokoju, zamiast małego Kościoła, jakim być powinien. Matki, które pracują poza domem, nie mogą wiedzieć, co się w nich naprawdę dzieje. Czego mogą nauczyć swe dzieci? Kto modli się za rodzinę podczas dnia? Kto będzie uspokajać burze, które świat wznieca w sercach jej członków?”.

Solange Hertz ubolewała, że kobiety dziś albo całkiem rezygnują ze swojej misji, albo próbują rozwiązywać wszystkie problemy rodzinne same (lub z pomocą „profesjonalnych” doradców). Nie potrafią ich tak naprawdę dzielić z mężczyzną, bo mu nie ufają; nie potrafią oddać ich Bogu. „Era maryjni, która zaczyna objawiać się nam w pełni chwały, wiąże się także z odradzaniem pewnych konkretnych herezji. Myślę, że w naszych czasach diabeł posługiwać się będzie głównie kobietą... Znaki czasu wydają się wskazywać, że pewien rodzaj zacieklego feminizmu stanie się jedną z największych współczesnych herezji” – pisała w połowie lat 70. „Jaki inny podstęp mógłby wybrać diabeł, usiłując

zrównoważyć wpływ męskiej »niewiasty i jej potomstwa«, które musi zniszczyć za wszelką cenę, jeśli ma zachować kontrolę nad światem?».

„Już obecnie psychiatrzy mają do czynienia z wielką liczbą dzieci z poważnymi zaburzeniami, mającymi problem z określeniem, które z rodziców jest w istocie matką, a które ojcem. I nic w tym dziwnego – ktokolwiek widzi oboje rodziców spieszących rano do pracy, zmywających naczynia, zmieniających opony i pieluchy, bez wątpienia ma prawo czuć się zagubiony”. Pisząc o chińskich komunistach i ich ataku na panią domu, dostrzegła w nich ucieleśnienie odwiecznego wroga rodzaju ludzkiego. „[...] nie tracili czasu na uciążliwe podchody. Jak wąż w Edenie uderzyli prosto w gospodynię, wiedząc, że jeśli ona ulegnie, rozpadnie się również podstawowa komórka społeczna, jak to się stało niegdyś w rajskim ogrodzie”.

W latach 60. Solange wraz z Gustavem i dziećmi mieszkali na Filipinach, w Manili. Gustav był tam przedstawicielem rządowej agencji. Później przeprowadzili się do Sajgonu. Tam w roku 1967, w czasie wypadu na motocyklu do pobliskiej miejscowości, mąż Solange został porwany i po dwóch latach zamordowany przez komunistyczną bojówkę. Solange wróciła sama z piątką dzieci do Stanów. Zbrodnia miała wielki rozgłos z uwagi na pozycję Gustava, choć była jedną z wielu, jakich dopuszczali się komuniści. Radiostacja Vietkongu podała, że „spłacił dług krwi wobec ludu wietnamskiego”. Poszukiwania Departamentu Stanu trwały wiele lat; w 2002 roku zostało odnalezione jego ciało i Solange mogła pochować męża.

► Misja matki

Solange Hertz nie była ponurą doktrynerką, jak ktoś mógłby sądzić, i nie upierała się nigdy, że miejsce kobiety jest wyłącznie w domu. Dawała przykład żon i matek, które spełniały misję wobec innych, jak św. Małgorzata Clitherow, czy też te, które prowadziły niewielkie sklepy czy przedsiębiorstwa, ale nie odbywało się to kosztem rodziny: matka św. Maksymiliana Kolbe, św. Teresy z Lisieux (prowadziła pracownię koronkarską) – św. Lidia – zarządzająca farbiarnią. Zajęcia te nie wymagały rozdzielenia matek i dzieci. Kobiety nie traciły z oczu rodziny. Dziś, zdaniem pisarki, nastąpiło całkowite odwrócenie celów. Większość matek prowadzi życie oderwane od życia rodzin. Życie rodzinne stało się dla nich dodatkiem do kariery. Czy można się dziwić, że »kobiety pracujące«, wracając do domu jak do pokoju hotelowego i nie chcą mieć dzieci? Jedno, dwoje to w ich mniemaniu już

„luksus”; na większy ich „po prostu nie stać”. Potrafią harować poza domem jak wół, dom jednak je męczy, irytuje. Czują, że prawdziwą rolę życiową mają do odegrania w tym elektryzującym, pełnym wigoru i sztucznych podniet świecie poza jego drzwiami.

Gdy kobieta przebywa w gwarze świata, często ulega jego presji, jej serce jest rozdarte. Tymczasem serce kobiety powinno pozostać całe, nienaruszone, niepodzielone – dla tych, którymi Bóg ją obdarzył, którzy zostali wspańlomoślną decyzją Boga jej powierzeni. Tak jak niepodzielone było serce Maryi. „Gdyby Ona sama czy ktokolwiek inny chciał działać poza Mistycznym Ciałem Chrystusa, zostałaby pozbawiony Bożej obecności. To właśnie wierność matczynemu powołaniu uczyniła Ją Królową męczenników. Gdyby usiłowała zachować swe życie, jak to czyni tak wiele Jej córek przez pogoń za karierą, która ma znaczenie jedynie dla nich lub dla świata, utraciłaby nie tylko swe życie, ale i nasze”.

„[...] głównym orężem gospodyni jest odosobnienie, odosobnienie doświadczane na stosunkowo małym obszarze, w otoczeniu osób, których liczbę określa sam Bóg. Odosobnienie jest jej najcenniejszym skarbem, jej najdotkliwszą torturą, a zarazem źródłem nieskończonych pociech. Daje jej ono głębokie zrozumienie rzeczywistości, zapewnia wiele czasu na modlitwę oraz nieskrępowany dostęp do wewnętrznego świata ducha. To, co rozpoczyna się jako najsurowsza pokuta, staje się ostatecznie jej największą rozkoszą, jeśli tylko potrafi przy niej wytrwać i jeśli ma powołanie do małżeństwa”.

Jak dziwne brzmią te słowa w epoce, gdy zarówno kobiety, jak mężczyźni są od rana do wieczora oszołomieni dźwiękami i informacjami, napływającymi już nie cienkim strumieniem, ale potężną rzeką. Solange stawia wszędzie znaki ostrzegawcze. Nie zostaliśmy bowiem obdarowani przez Stwórcę dziećmi i rodzinami tak przypadkiem. Nie jesteśmy trybami wielkiej maszyny życia toczącej się przez tysiąclecia... A tak często zachowujemy się jak biedak, który trzyma w ręku najcenniejszy diament. Ale ponieważ jest ignorantem, nie potrafi nawet w przybliżeniu oszacować jego wartości. Ciska go więc ze złością na morze i oddaje się zbieraniu porzrzucanych na plaży szklanych paciorków. ■

Fragment książki „Pamiętnik pani domu”, która ukaże się niebawem nakładem Oficyny Wydawniczej Volumen. Cytaty pochodzą z artykułów S. Hertz zamieszczonych na łamach magazynów „The Remnant” oraz „Triumph”.

„Boże, zbaw Polskę” – napisała na ścianie celi, gdy jako żołnierz Armii Krajowej została aresztowana przez Niemców. W 1946 roku nielegalnie uciekła z PRL, ukrywając się w schowku na węgiel na statku. Leczyła żołnierzy Maczka w Niemczech i Andersa w Anglii. A potem przez 43 lata zajmowała się chorymi na trąd w Ugandzie. Matka Trędowatych zmarła 5 lat temu, mając 103 lata. 10 października 2019 roku Episkopat Polski zgodził się na rozpoczęcie jej procesu beatyfikacyjnego.

**Piotr Lisiewicz**

Matka Trędowatych z Armii Krajowej



Kiedy w 1994 roku wróciła po niemal półwieczu do Polski, Akademia Medyczna w Poznaniu nadała jej tytuł doktora honoris causa. Gdy po uroczystości rozmawiała ze studentami, jeden z nich dla zgrywy rzucił, iż zaprasza ją na imprezę do akademika. Wszyscy potraktowali to jako mniej lub bardziej nieestosowny żart ze starszej pani.

► Zagłoba mówił, by smutki pozdychały z głodu

Doktor Norbert Rehlis w książce Małgorzaty Nawrockiej „Jej światło. O życiu i dziele Wandy Błęńskiej” wspominał: „Pamiętam, że zabawa szła już w najlepsze – muzyka, głośnie rozmowy, wśród których, chyba tylko przypadkiem, usłyszeliśmy delikatne pukanie do drzwi... Nie wierzyliśmy własnym oczom”. „Chcieliście, to przyszedłem” – niewinnie oświadczyła 83-lata. Jak twierdził, nie czuli ani przez chwilę skrzepowania jej obecnością.

Młodzieży powtarzała: „Jeśli macie jakieś dobre, świetlane pomysły, to je pielęgnujcie. Nie dajcie im zasnąć, nie odrzucajcie ich. Nawet jeżeli wydają się niemożliwe do spełnienia, za trudne. Swoje marzenia trzeba pielęgnować! Zawsze można znaleźć jakąś wymówkę, powód, dla którego rezygnuje się z marzeń. Czasem jest to strach... A strach ma często wielkie oczy!”. Te słowa zapisały dwie studentki – Marta Jelonek i Joanna Gadzińska. Drugie wydanie ich książki „Wanda Błęńska. Spełnione życie” właśnie trafiło do księgarń.

Twierdziła, że misjonarz musi mieć poczucie humoru. „Zagłoba kiedyś powiedział w Trylogii, że nie trzeba pielęgnować smutków – niech pozdychają z głodu” – mówiła. Gdy na kajaku przeżyła atak hipopotama, zawołała według swej późniejszej relacji: „Święty Rafale, ratuj! Ja będę wiosłować!”. Ryszard Piasek, podróżnik działający w Poznańskim Klubie „Gazety Polskiej”, opowiadał w książce Nawrockiej: „Nie wytwarzała cienia dystansu. Potrafiła z nimi żyć! Wiedziała, czego im potrzeba. Dla jednych była to rozmowa, dla innych garść cukierków, a dla jeszcze innych paczka papierosów, stanowiąca pociechę. Miała pełną świadomość tego, co robi. Dbała o ludzi”.

„Nie zapomnę nigdy jej twarzy zatopionej w modlitwie po przyjęciu Komunii Świętej. Mówiłem wielu osobom, że takie skupienie, rozmodlenie widziałem tylko u dwóch osób: u św. Jana Pawła II, gdy mogłem być blisko niego podczas Mszy Świętej, oraz na twarzy doktor Wandy Błęńskiej” – wspominał ksiądz Krzysztof Skowroński, dziś proboszcz parafii św. Stanisława Kostki w Poznaniu.

Dla porządku: cytaty w niniejszym tekście pochodzą z książek Nawrockiej oraz Jelonek i Gadzińskiej, o ile nie anonsuję innego źródła.

► Imienia Wanda nie dało się zniemczyć

Wanda Błęńska urodziła się 30 października 1911 roku w Poznaniu, w zaborze pruskim, jako córka Teofila

Błęńskiego i Heleny z domu Brunsz. Gdy zobaczyła ją babcia, powiedziała do ojca z żalem: „Wiesz, synu, bardzo mi żal, ale to ci się nie uchowa”. Dziewczynka po narodzinach ważyła zaledwie 2,25 kilograma. Jej mama jeszcze przed porodem została sparaliżowana i nie mogła karmić córki własnym pokarmem. Zmarła dwa lata później. Ale „to” uchowało się, wykarmione kozim mlekiem.

Skąd wzięło się jej imię Wanda? „Rodzice specjalnie wyszukali dla nas takie imiona – Roman i Wanda – by Niemcy nie mogli ich zniemczyć. By nie mówili »Johann« zamiast Jan. Jedynie mogli mówić »Rooman« – wspominała. Nie byli z bratem przesadnie spokojnym rodzeństwem: „Walczyliśmy na przykład na poduszki. Albo na pierzyny. Najważniejsze było, żeby fruwało... Zawsze jakaś »tragedia« się zdarzyła, na przykład poduszka wydładowała na lampie”.

O tym, dlaczego jej dzieciństwo było szczęśliwe, mówiła studentkom: „Nie chodziłam do szkoły podstawowej. Swoją edukację w szkole zaczęłam tak naprawdę dopiero w gimnazjum. Początkowo uczyłam się w domu. Tatusь był moim nauczycielem. Do nauki zaganiać mnie nie musiał – w domu to zawsze się przyjemnie uczy, bo przecież ten, kto uczy w domu, dostosowuje się do dziecka, do jego zdolności, tempa nauki”.

Do szkoły średniej musiała już pójść – ukończyła Gimnazjum Żerbskie w Toruniu. Jako dziecko urodzone w zaborze pruskim zanotowała: „W naszym gimnazjum było jeszcze kilku niemieckich nauczycieli. Był taki nauczyciel, którego strasznie się bałam – bo Niemiec... Spotykaliśmy go na korytarzu. Nie uczył nas, ale bałam się, bo to Niemiec”. Była harcerką – dziś jej imię nosi w Poznaniu 3. Poznańska Drużyna Harcerok „Pasieka” im. Wandy Błęńskiej...

► 17-latka dzika i luzem chodząca

Od dzieciństwa mówiła, że chce zostać lekarką. Jako 17-latka postanowiła iść na studia medyczne. Razem z ojcem zgłosiła się na Wydział Lekarski Uniwersytetu Poznańskiego. „Weszlśmy do pokoju, a dziekan tak na mnie spojrział i zapytał taty: Czy pan się nie boi tak młodej córki puszczać samej na medycynę? A tatusь pokręcił głową i odpowiedział: Ona powiedziała, że na nic innego nie pójdzie... Na to dziekan ucihł” – opowiadała.

Zdecydowana większość kolegów i koleżanek z roku była o wiele starsza i – jak wspominała – miała do niej podejście przeważnie opiekuńcze. Parytetów płciowych nie było, co opisywała z właściwym dla siebie poczuciem humoru: „Na pierwszym roku na wszystkich trzysta osób było piętnaście babek. Z tych piętnastu pięć było zameżnych, pięć zaręczonych, a pięć było takich dzikich, jak ja: że tak powiem: »luzem chodzących«”.

Jak chodzi o wykładowców, miała wspomnienie również o takim, co chwytł studentki za kolana, nie pozba-

wione wyrozumiałości: „Mieliśmy też jednego bawidamka. Wykładał histologię. Gdy mu się jakaś koleżanka spodobała, z łatwością mogła zdać egzamin. Zawsze się uważało, żeby do niego mieć jedną z najnowszych swoich sukienek (śmiech). Ale ja nie miałam z nim żadnych kłopotów – bo przecież dużo zależy od samej kobiety”.

W czasie jednej z imprez studenckich wcześniejszych jakieś o 60 lat od tej wspomnianej na początku doszło do dramatycznego wydarzenia. Opowiadała w książce „Spełnione życie”: „Chłopak, który ze mną tańczył, mówi do mnie: »To może się przejdziemy«. On nie był z wydziału lekarskiego, z jakiegoś innego, nie wiem jakiego. No więc wyszliśmy na zewnątrz i doszliśmy do takiego plotu. On wyjął rewolwer i powiedział, że chce popełnić samobójstwo. Był bardzo ładny wieczór, księżyc pięknie świecił... Położyłam mu rękę na lufie i przykryłam otwór, z którego wylatują kule. Gdyby strzelił, przestrelałby mi rękę... Powoli zaczęłam mówić mu o Panu Bogu. Kule się wysypały. Wzięłam je i rzuciłam o plot. I zaczęła bić dwunasta godzina”.

Uczyła się często na cmentarzu. „Tam gdzie była PeWuKa, czyli teraz Targi Poznańskie – tam był cmentarz. Chodziłam na grób mamusi i przygotowywałam się do egzaminów” – wspominała. Już na studiach działała w Akademickim Kole Misyjnym i redagowała *Annales Missiologiae*. Na drugim roku studiów została wybrana do jego zarządu oraz do władz Związku Akademickich Kół Misyjnych w Polsce. Na trzecim roku reprezentowała polski ruch misyjny na Międzynarodowym Kongresie Misyjnym w Lublanie. Już wtedy brała udział w wysyłaniu paczek do Afryki.

Po studiach pracowała w szpitalach: w Szpitalu Miejskim w Toruniu oraz Szpitalu Morskim, a także toruńskim Państwowym Zakładzie Higieny.

► „Boże, zbaw Polskę”

W Gdyni zastał ją wybuch wojny, a po kampanii wrześniowej wróciła do Torunia, gdzie kontynuowała pracę w Państwowym Zakładzie Higieny. W 1940 roku zaangażowała się w działalność konspiracyjną. Przekazywała żywność, bieliznę polskim żołnierzom więzionym w fortach na Glinkach. W 1942 roku wstąpiła do Armii Krajowej w okręgu Pomorze-Puszcza Tucholska, w obwodzie Toruń. Działała pod pseudonimami „Szarotka” i „Grażyna”. Była także członkiem tajnej organizacji wojskowej Gryf Pomorski. Została komendantką oddziału żeńskiego, awansując kolejno na podporucznika i porucznika.

Jak doszło do jej aresztowania? „Złapali łączniczkę. Rozszyfrowali gryps i swoimi drogami doszli do spisu komendantów. Mieli nas w garści. Została aresztowana 23 czerwca 1944” – wspominała. Nie były posłusznymi więźniarkami: „Z koleżankami zawsze przy otwartym oknie śpiewaliśmy pieśni religijne. Codziennie o jednej

godzinie modliłyśmy się litanią. Modlitwę zawsze kończyliśmy pieśnią »Boże coś Polskę«... Kiedys kolega z celi obok mówi do mnie: »Jak zbliża się godzina waszej modlitwy, to u nas w celi jest cisza jak makiem zasiał”.

Jej medyczną wiedzę wykorzystywało także więzienie. Czasem prowadziło to do niespodziewanych sytuacji. Bo jej odwaga bywała wręcz niebezpieczna. „W naszej celi napisałam dużymi literami na ścianie »Boże, zbaw Polskę«. Przyszedł strażnik i przeraził się. Powiedział, że jeśli komendant będzie sprawdzał cele i zobaczy ten napis, od razu nas zakatuje” – wspominała. Na szczęście komendant miał inne zajęcia: „To był bardzo upalny dzień. Ten dyrektor więzienia, który miał ostateczną władzę nad nami, poszedł na słońce, nad Wisłę. Pewnie sobie wcześniej coś gołnał... I tak się spiekł, że znalazł się pod moją opieką”. Gryf wykupił ją z więzienia!

Po wojnie znalazła się w komunistycznej Polsce, tymczasem jej brat był ciężko chory na terenie okupowanych Niemiec. Władze nie pozwalały jej wyjechać, by się nim opiekowała. Zdecydowała się podjąć ryzyko ucieczki z komunistycznego raju. Wspominała: „Jak się jest młodym i ma się widoki na coś innego, to przychodzi odwaga. I jeszcze jak się wierzy w Pana Boga... Miałam ze sobą na tym statku cenną pamiątkę – skrzynkę po mamusi z naszymi. Pamiętam, że podczas rewizji dałam ją marynarzowi, by ją przechował, a ja byłam wtedy w dziupli z węglem”.

► Ucieczka w schowku na węgiel

Tadeusz Głuszko, jej krewny, wspominał po latach: „Podjęła tę ryzykowną wyprawę, by pomóc ciężko choremu bratu, który przebywał w Niemczech, a polskie władze komunistyczne nie zezwoliły na legalny wyjazd. Wzięła ze sobą jedną małą paczuszkę z dyplomem lekarskim i biżuterią po mamie”. Dodał nieco szczegółów na temat owego marynarza, który jej pomógł: „Po wejściu na pokład wyszukała wzrokiem marynarza, który wzbudzał najmniejsze zaufanie (swoim wyglądem budził wręcz podejrzenie, że ją zdradzi przy pierwszej okazji), wsunęła mu do rąk paczuszkę i wyszeptęła, żeby ją dla niej przechował”. „To ważne, aby okazywać ludziom zaufanie, zwłaszcza takim, którzy wzbudzają największą nieufność. To jest im potrzebne” – mówiła o tym zdarzeniu po latach.

Dotarła do brata do Hanoweru. O tym, że świetnie wiedzieli, czym jest komunizm, świadczyły słowa brata: „Wiesz, jak ktoś przyjedzie z Polski, to wy macie takie niekóre zwyczaje, że jak przyjeżdża samochód, to zaraz się trzęsiecie”. Jak objaśniała, przybysze nie trzęśli się, gdy samochód przejeżdżał pod ich domem, ale gdy się zatrzymywał...

W Niemczech wstąpiła do „Pestek”, czyli kobiecej służby wojskowej przy armii generała Maczka, i pracowała ja-

ko lekarz w szpitalach. Potem wyjechała do Anglii, gdzie również zajmowała się polskimi weteranami od Andersa. Ukończyła tam kurs medycyny tropikalnej.

► Hipopotam, krokodyl i lampart

„Na statku pełno ludzi... Prócz fizycznego zmęczenia mam pokój w sercu i jakąś cichą, spokojną radość, jestem właściwie zupełnie szczęśliwa jako nic nie mająca, a posiadająca wszystko” – wspominała swój wyjazd do Ugandy w 1950 roku.

Jej dawne marzenie o pracy na misjach spełniło się błyskawicznie. Oto spotkała zakonnikę, który znalazł biskupa z Ugandy i poszukiwał lekarza do powstającego leprosarium, czyli kolonii trędowatych. W cztery dni załatwiła formalności i wsiadła na statek. W marcu 1950 roku dotarła do Fort-Portalu. Tam odbyła trzymiesięczną praktykę w leprosarium sióstr franciszkanek.

2 stycznia 1951 roku trafiła do ich misji w Bulubie nad Jeziorem Wiktorii, w którym pływały hipopotamy, krokodyle. O spotkaniach z dzikimi zwierzętami będzie miała w wywiadzie udzielonym studentkom. Wspominała uprząy sadzone przez misjonarki: „Jak taki hipopotam przeszedł po uprawach, to zżarł i strącił sporo!”. Zagrożenie było bardzo bliskie i bezpośrednie: „Kiedyś miałam takiego nieprzyjemnego wizytatora; przyszedł do nas lampart. Moja suczka miała właśnie szczeniaki i on na nie czatował. Lamparty bardzo lubią psy, a szczególnie szczeniaki! Włazł na drzewo naprzeciwko mojego domu, gdzie siedział i nocował. Był bardzo blisko, pod nosem mu przechodziłam! Mógł na mnie skoczyć! Widział, że ja psa zamknęłam razem z małymi pieskami w dużym, pustym garażu... Siedział na tym drzewie i czekał na moje szczeniaki kilka dni, ale nie doczekał się i sobie poszedł”.

„Pani Doktor chyba bardzo kocha zwierzęta, prawda?” – pytały autorki książki „Spełnione życie”. „Tak, no ale nie powiem, że bym kochała lamparty”. Sama Bieńska stała się właścicielką małpki. I jako taka ostrzegała: „Małpa będzie robiła właśnie to, czego nie wolno. Ona potrafiła porwać mojego małego kociaczka i wejść z nim na dach. Potem, patrząc mi prosto w oczy, udawała, że rzuca tego kociaka w dół”.

► Leczyła trąd bez rękawiczek

W Bulubie warunki leczenia chorych były na początku bardzo prymitywne. Salą operacyjną był mały, ciemny, małeńki pokój. Żeby mieć więcej światła, Wanda Bieńska kazała wyrębać okno w dachu. Na początku nie było nawet stołu operacyjnego, więc operowała na połówym łóżku. „Tak ciężko było tylko przez pierwszych dwadzieścia lat” – żartowała w swoim stylu na łamach „Gościa Niedzielnego”.

Do powstania legendy „Dokty”, jak nazywali ją Ugandyjczycy, przyczynił się fakt, że grzebała w ranach trędowatych gołymi rękami, bez rękawiczek. Tak oczyszczała gnijące ciała z robactwa... Mając ogromną wiedzę o chorobie, starała się postępować najbardziej racjonalnie: „Pokazywałam szczegółowo: to może być zakaźne, to może być zakaźne, a to nie... Gdy się wszystko wytłumaczy, to człowiek przestaje się bać. Nie dotyczy tego, czego nie powinien, czyli po prostu podchodzi do choroby rozsądnie”. Jak mówiła, by nie zarazić się trądem, wystarczy przestrzegać zwykłych zasad higieny, gdyż „trąd jest chorobą zakaźną. Bardzo małej zakaźności, ale jest”. Prawdziwym problemem jest późne wykrycie choroby: „Skutkiem jest porażenie, przykurcze, które wymagają masażu i rehabilitacji. Trąd można skutecznie leczyć, ale późno wykryty pozostawia trwałe okaleczenia”.

Jak o niej mówiono, leczyła nie trąd, a... ludzi chorych na trąd. Podkreślała, że największym problemem związanym z tą chorobą były nie skutki fizyczne, lecz społeczne: izolacja chorych przez rodziny: „To było dla nich największym ciężarem. Często rodziny nie potrafiły przełamać bariery strachu”.

Ksiądz Romuald Szczodrowski wspominał w książce Małgorzaty Nawrockiej: „Uczyła trędowate dzieci języka angielskiego, historii, geografii. Prowadziła bibliotekę, ale najważniejsze było jej świadectwo zawierzenia Bogu. Niemal do swojej śmierci codziennie uczestniczyła we mszy świętej”.

► W Polsce nie było herezji ani kolonii

Była jednocześnie naukowcem, który wiele godzin spędzał nad mikroskopem, studiując preparaty histologiczne. Wśród plemion, w których wielką rolę odgrywał szaman, musiała pokonywać najróżniejsze obawy pacjentów: „Kiedy zatem chory nie dawał się nakłonić do leczenia, sama doradzałam mu zakup koziołka w celach ofiarnych; to zwykle owocowało przyjęciem oferowanych przeze mnie lekarstw”.

Jak podkreślała, większe zaufanie do białych niż gdzie indziej wynikało w Ugandzie z faktu, iż nie była ona kolonią: „Dlatego tam stosunek do Europejczyków był bardziej życzliwy”. A i jej własne, polskie korzenie, sprzyjały pracy w Afryce. „Ponieważ wyrosłam w Polsce, kraju, który żadnych religijnych herezji nie znał i nie był nigdy potęgą kolonialną, przyszło mi chyba łatwiej widzieć inne rasy jako równouprawnione” – wypowiadała się w tomie „Misjonarze polscy na świecie” wydanym w 1977 roku w Paryżu.

Powtarzała, że nie wie, w ilu przypadkach udało jej się chorych wyleczyć, a w ilu wymodlić ich uzdrowienie: „Decydowałam się na to, co jest dla lekarza jakoś dziwnie trudne, a powinno być łatwe – mówiłam choremu: Ja już

nic więcej pomóc nie mogę. Zmówmy w tej intencji Rózaniec. I pomagają!”.

► „Ojciec Święty kocha was również po ciemku”.

Do Polski przez pierwsze lata pobytu w Ugandzie pojechać nie mogła, była wszak przestępcą, który nielegalnie opuścił ludową ojczyznę. Ale w Afryce aklimatyzowała się dobrze. A o jej sile fizycznej i kondycji świadczy fakt, że jako pierwsza kobieta zdobyła szczyt w paśmie Ruwenzori. Ryszard Piasek wspominał: „Jako wytrawny piechur, z dobrym harcerskim rodowodem, chętnie wyruszała na długie wyprawy i wędrowki górskie. Wspinała się po skałkach Ruwenzori, wchodziła na urwiska, z radością pływała łodzią po Jeziorze Wiktorii. Podczas wyprawy w 1955 roku zdobyła szczyt Emmanuele, mający niebagatelną wysokość – 4914 metrów!”.

Afrykę przemierzała na motocyklu, nazywanym tu „piki-piki”. „Na piki-piki to często zatrzymywała mnie policja. I mówili: »Ja chcę wiedzieć, kim ty jesteś« Babka na motocyklu! Oczywiście bez żadnego helmu, na motocyklu, gdzieś bym tam jechała w jakimś helmie” – wspominała. Gdy odbywał się mecz piłkarski Uganda–Polska, udała się do hotelu, do polskich piłkarzy, z ostrzeżeniem: „Pamiętajcie, oni kopią jak konie”.

Gdy Jan Paweł II odwiedzał Ugandę, zrobione zostało zdjęcie, na którym całuje on jej siwą już głowę. Nazwał ją wtedy „ambasadorem misyjnego laikatu”. To była bardzo udana pielgrzymka, a reakcję Ugandyjczyków „Dokta” wspominała następująco: „Cieszyli się, znali polskie misje, a wiedzieli, że Jan Paweł II pochodził z Polski. To była prawdziwa radość. Coś, czego nie można sztucznie wywołać”. Gdy w czasie pielgrzymki przestało działać światło, Jan Paweł II stanął na wysokości zadania i ogłosił: „Ojciec Święty kocha was również po ciemku”.

► „Ze Zjednoczonej Europy napływa fala entuzjazmu do eutanazji”

W 1993 roku wróciła do Polski i zamieszkała na ulicy Milej w rodzinnym Poznaniu. Żyła skromnie, jeszcze po ukończeniu 100 lat można ją było spotkać w poznańskich tramwajach. Ksiądz Adam Szkóp w książce Nawrockiej wspominał jej postawę: „Doceniałem zawsze jej wielkie uszanowanie kapłaństwa i zrozumienie ludzkich, nie wyłączając kapłańskich, problemów, błędów, a nawet grzechów... Zdziwiała mądrość! Gdzie źródło i moc? W samym Bogu tylko... Dla mnie, bez najmniejszego cienia wątpliwości, doktor Wanda Bieńska to żyjąca ikona świętości”.

Profesor Jerzy Król mówił o niej: „Na płaszczyźnie działalności społeczno-misjonarskiej dr Bieńska jest osobowością formatu Matki Teresy z Kalkuty (laureatki Pokojowej Nagrody Nobla), na płaszczyźnie leczenia trądu

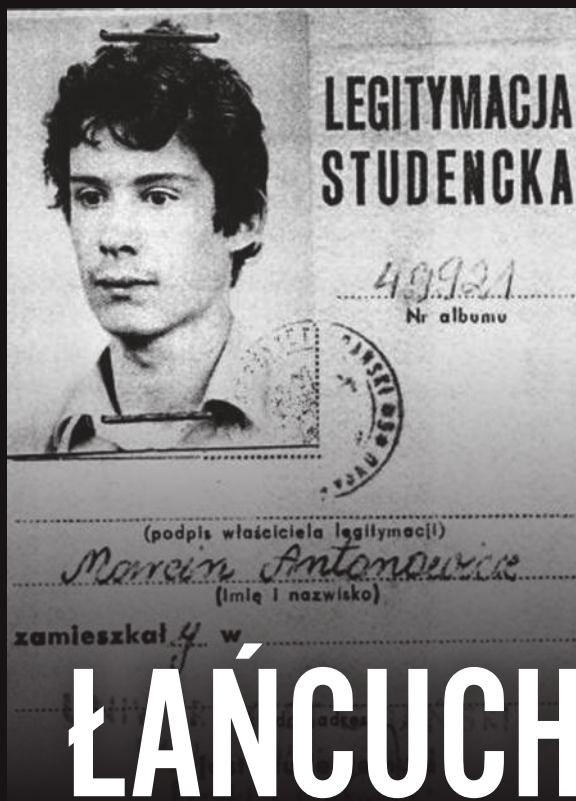
i poświęcenia się sprawie trędowatych jest osobą równą dr. Schweitzerowi, uzyskując tytuł Matki Trędowatych. W dziedzinie profesjonalnej cieszy się prestiżem równym dr. Brandtowi, i innych najwybitniejszych leprologów współczesnych”.

Reportaże o niej ukazały się w mainstreamowych mediach, wspominał o niej nawet TVN i napisały „Wysokie Obcasy”. No bo silna kobieta, do tego ratująca życie mieszkańców Afryki – całkiem politycznie poprawne... W owych reportażach pomijano przeważnie poglądy Bieńskiej. W jednym z ostatnich publicznych wystąpień wspominała postawę innego polskiego misjonarza, ojca Mariana Żelazko: „Pamiętam, że raz widziałam ojca Żelazko z taką złością na twarzy. Wycinał jakiś krzak ze swojego ogrodu. Zdziwiona pytam, co się stało, że wycina taki ładny krzak (nie wiem, jak ta roślina się nazywała). On na to: »Dowiedziałem się, że kobiety używają tego jako środka aborcyjnego«. Ze złością to wycinał!”.

O tym, jak zmienia się świat, mówiła: „Dyplom lekarski otrzymałam 64 lata temu, a więc co najmniej trzy pokolenia lekarskie wstec – od tego czasu poglądy etyczne, niestety, zmieniły się bardzo. W przysiędze Hipokratesa, tak jak i w zwyczajach wielu ludów, co tak dobrze odczuwa się tam, w Afryce, w Indiach, aborcja była czynem kryminalnym, teraz lekarz, który jej odmawia, ma przeciwko sobie wielką część społeczeństwa. Za czasów PRL był za odmowę karany tylko administracyjnie”.

O eutanazji mówiła jeszcze ostrzej: „Ze Zjednoczonej Europy napływa fala entuzjazmu do eutanazji, czyli pozbawiania człowieka życia na jego prośbę. W praktyce jednak jest to często kryptanazja, to znaczy wykorzystuje się moment, kiedy pacjent jest albo osłabiony, albo nieprzytomny, i po prostu zadaje mu się śmierć”. Przytaczała konkretne dane: „Doktor Feniksen z Holandii podał oficjalne dane rządu holenderskiego, z których wynika, że w 1997 roku dokonano tam 5941 kryptanazji. Dziś sytuacja tam jest na tyle tragiczna, że ludzie starsi boją się iść do szpitala, boją się obcych lekarzy, mają zaufanie jedynie do swojego domowego lekarza. Ludzie ci boją się weekendu, kiedy »ich« lekarz gdzieś wyjeżdża. Pytają: »Panie doktorze, czy oni mnie w sobotę albo w niedzielę zabiją, bo Pana nie będzie?«. W Niemczech już w 1934 roku dokonywano przymusowych eutanazji w przypadku kalekich dzieci”.

Zmarła 27 listopada 2014 roku w opinii świętości. Pochowana została w Poznaniu na cmentarzu jeżyckim. 10 października 2019 roku Archidiecezja Poznańska poinformowała: „Konferencja Episkopatu Polski zgodziła się dziś na rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego dr Wandy Bieńskiej. *Nihil obstat* polskich biskupów otwiera drogę do zwrócenia się z prośbą do Stolicy Apostolskiej o wszczęcie procesu na poziomie diecezjalnym”.



Uprawnia do korzystania
na Polskich Kolejach Państwowych
a-z mies. biletów szkol. na dojazdy do szkoły
od st. _____ do st. _____
na dojazdy na zajęcia praktyczne
od st. _____ do st. _____
b-z ulgowych biletów ze zniżką 33%
na dojazdy jednorazowe
Ważne do dnia:

31 marc 19 80 r. pieczęć okrągła	31 paźdz. 19 ____ r. pieczęć okrągła	31 marc 19 ____ r. pieczęć okrągła	31 paźdz. 19 ____ r. pieczęć okrągła
31 paźdz. 19 ____ r. pieczęć okrągła	31 paźdz. 19 ____ r. pieczęć okrągła	31 paźdz. 19 ____ r. pieczęć okrągła	31 paźdz. 19 ____ r. pieczęć okrągła

Dariusz Jarosiński



ŁAŃCUCH ŚMIERCI



Z rąk funkcjonariuszy MSW ginęli polscy kapłani, działacze opozycji, również młodzi ludzie dopiero co wkraczający w dorosłe życie, często niezwiązani bezpośrednio z antykomunistycznym podziemiem. 20-letni Antek Browarczyk był pierwszą ofiarą stanu wojennego w Gdańsku. Postrzelony przez zomowców zmarł w szpitalu. Śledztwo umorzono „wobec niewykrycia sprawców nieostrożnego użycia broni”. Ciało Emila Barchańskiego wyłowiono z Wisły w przeddzień jego siedemnastych urodzin. Niespełna 20-letni Bogdan Włosik został zabity strzałem z pistoletu w brzuch przez kapitana SB. Świeżo upieczony student Uniwersytetu Gdańskiego Marcin Antonowicz zmarł w wyniku urazu głowy, którego doznał po pobiciu przez zomowca. Rzecznik komunistycznego rządu Jerzy Urban łąał i przekonywał do wersji nieszczęśliwego wypadku.

1. Legitymacja studencka Marcina Antonowicza, która nie spodobała się zomowcom
2. Studenci Uniwersytetu Gdańskiego niosą trumnę z ciałem zabitego kolegi
3. Pogrzeb Marcina Antonowicza odbył się 6 listopada 1985 roku, zgromadził nieprzebrane tłumy
4. Pożegnanie Marcina na cmentarzu w Olsztynie przy ulicy Poprzecznej

Stan wojenny w Polsce trwał formalnie od 13 grudnia 1981 do 22 lipca 1983 roku, jednak wiele przepisów prawnych stanu wojennego obowiązywało do roku 1989. Tak zwane zniesienie stanu wojennego było jedynie komunistycznym zabiegiem propagandowym, mającym m.in. na celu odblokowanie restrykcji nałożonych na PRL przez państwa zachodnie. Ludzie nadal byli represjonowani, prześladowani za poglądy polityczne, siedzieli w więzieniach. Komuniści po zniesieniu stanu wojennego wręcz zaostrzyli przepisy kodeksu karnego, a także przepisy ustawy o cenzurze.

► Panowie życia i śmierci

Zdaniem historyka IPN dr. Grzegorza Majchrzaka stan wojenny, wyłączając okres stalinizmu, był najbardziej represyjnym okresem w historii Polski komunistycznej. „To około 12 tysięcy osób skazanych z powodów politycznych, to kolejne niespełna 10 tysięcy osób internowanych na podstawie decyzji administracyjnych bez wyroku sądu, to kolejnych około 1,7 tysięcy osób wysłanych w kamasze, czyli wysłanych do wojska w ramach represji stanu wojennego, to w końcu dziesiątki tysięcy osób poddanych tak zwanej weryfikacji, czyli czystkom kadrowym”.

Funkcjonariusze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych czuli się bezkarni, uważali się za panów życia i śmierci. Do rozpraszania manifestacji, tłumienia strajków przeznaczona była formacja ZOMO, czyli Zmotoryzowanych Oddziałów Milicji Obywatelskiej. Do ZOMO trafiali dobrowolnie młodzi ludzie w wieku od 19 do 25 lat, chcący w tej formacji odsłużyć wojsko. Doskonale wiedzieli, na czym będzie polegała ich służba. W czasie akcji wykazywali się niebywałą brutalnością, bestialstwem. Za to byli wynagradzani. Młodym funkcjonariuszom imponowało, że mają władzę nad innymi – mogą kogoś bezkarnie pobić, upokorzyć, wylegitymować, zastraszyć. Bywało, iż do akcji ulicznych przystępowali pod wpływem alkoholu bądź środków odurzających.

Powołana w sierpniu 1989 roku przez sejm kontraktowy Sejmowa Komisja Nadzwyczajna do Zbadania Działalności MSW pod przewodnictwem Jana Marii Rokity ustaliła, że spośród 122 niewyjaśnionych przypadków śmierci działaczy opozycji 88 miało bezpośredni związek z działalnością funkcjonariuszy MSW. Komisja zidentyfikowała też tożsamość 100 funkcjonariuszy MSW, prokuratorów, urzędników prokuratury podejrzanych o dokonanie przestępstw związanych z 91 przypadkami zgonów. Żadnemu z owych funkcjonariuszy do dzisiaj nie spadł nawet włos z głowy.

Komisja pracowała w bardzo trudnych warunkach, bez narzędzi pozwalających jej na ściganie sprawców. Działania sabotowali ludzie Jaruzelskiego i Kiszczaka, byli funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa oraz prokuratorzy i sędziowie. Wszystkim im zależało na tym, aby opinia pu-

bliczna nie poznała okoliczności choćby jednego przestępstwa, aby choć jeden sprawca nie został ukarany. Kiedy w rządzie Tadeusza Mazowieckiego funkcję ministra spraw wewnętrznych pełnił Czesław Kiszczak, niszczone były dokumenty obciążające funkcjonariuszy MSW. W 1990 roku Jan Maria Rokita, szef Sejmowej Komisji Nadzwyczajnej do Zbadania Działalności MSW, skierował dramatyczny list, apel do Bronisława Geremka, ówczesnego przewodniczącego Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, w sprawie niszczenia dokumentów komunistycznej bezpieki, które „odbywało się w sposób niemal jawny i uniemożliwiał pełne zbadanie działalności bezpieki w latach PRL”. Dziwnym trafem oryginał owego listu znalazł się w zasobach korespondencji Czesława Kiszczaka. Odnaleźli go niedawno dziennikarze Polskiego Radia, m.in. red. Wiktor Świątek, w archiwum w Hoover Institute w Stanford w USA.

Zatrważający jest fakt, że na protestach KOD-u stają ramie w ramie obok esbeków działacze Platformy Obywatelskiej i bronią m.in. ich prawa do uprzywilejowanych emerytur. Opozycja totalna blokując zmiany w polskim wymiarze sprawiedliwości i szukając wsparcia za granicą, stara się jak może konserwować stary układ z czasu PRL, z czasu stanu wojennego. Mimo że Jaruzelskiego i Kiszczaka nie ma już wśród żywych, komuniści trzymają mocno w swoich szponach polski wymiar sprawiedliwości.

► Ofiary bestii

Z rąk funkcjonariuszy MSW zginęli polscy kapłani, działacze opozycji, również młodzi chłopcy, dopiero co wkraczający w dorosłe życie, często niemający nic wspólnego z antykomunistycznym podziemiem, z opozycją.

20-letni Antek Browarczyk był pierwszym ofiarą śmiertelną stanu wojennego w Gdańsku. 17 grudnia 1981 roku wracał z praktyki w zakładzie elektromechanicznym. Trafił akurat na czas tłumienia przez zomowców i wojsko protestu przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego. Został postrzelony, kiedy stał na przystanku. 23 grudnia zmarł w szpitalu. Śledztwo umorzono „wobec niewykrycia sprawców nieostryżnego użycia broni”.

Niektórzy z nich, jak choćby Emil Barchański, za bardzo kochali Polskę i nie potrafili tego ukryć, bo tylko takowy zarzut można im postawić. Emil był uczniem warszawskiego Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Reja. W czasie tzw. karnawału „Solidarność” założył szkolny kabaret Wywrotowiec, wydawał też pismo polityczno-satyryczne „Kabel”. Po wprowadzeniu stanu wojennego, 10 lutego 1982 roku, wraz z dwoma kolegami oblał białą i czerwoną farbą pomnik komunistycznego zbrodniarza Feliksa Dzierżyńskiego, a następnie podpalił go, używając do tego go kaptali Molotowa. 3 marca Emil został aresztowany podczas druku podziemnych wydawnictw. W czasie zatrzymania chłopiec był zastraszany, poddany wyrafinowa-

nym torturom psychicznym i fizycznym. Kiedy zagroził, że w czasie rozprawy sądowej, mającej się odbyć 17 czerwca, wskaże swoich oprawców, funkcjonariuszy, którzy go bili, zaginał w tajemniczych okolicznościach. 3 czerwca pojechał na plażę nad Wisłą, gdzie zaginał. Po dwóch dniach, 5 czerwca 1982 roku, ciało Emila Barchańskiego zostało wyłowione z Wisły. Następnego dnia, 6 czerwca, obchodziłby siedemnaste urodziny. Rodzice, koledzy wiedzieli doskonale, że Emil cierpiał na hydrofobię, nie wchodził do wody. 3 maja 2008 roku prezydent Lech Kaczyński odznał pośmiertnie Emila Barchańskiego Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Bogdan Włosik był uczniem III klasy wieczorowego technikum i pracował jako robotnik w Hucie im. Lenina. Miał niespełna 20 lat. 13 października 1982 roku, w niedzielę, zaczął się strajk w hucie. Została ona otoczona przez wojsko, milicję i ZOMO. Czolgi staranowały bramę i na teren zakładu weszły rozjuszone hordy funkcjonariuszy ZOMO, które brutalnie zdusiły opór pracowników. Tego dnia w Krakowie, w miesięcznicę wprowadzenia stanu wojennego, doszło do ulicznych manifestacji. Bogdan Włosik znajdował się z dala od epicentrum walk z oddziałami ZOMO. Został zabity strzałem z pistoletu w brzuch przez kapitana Służby Bezpieczeństwa Andrzeja Augustyna. Chłopiec zmarł na stole operacyjnym. Po śmierci Bogdana przez Kraków i Nową Hutę przetoczyły się manifestacje, oddziały ZOMO nekowały ludzi modlących się w nowohuckich kościołach w intencji Bogdana. Esbek dopiero na początku lat 90. został pociągnięty do odpowiedzialności. Skazany na 10 lat pozbawienia wolności, zakład karny opuścił po 5 latach.

Najbardziej znany jest przypadek śmierci Grzesia Przymyka, maturzysty, syna poetki, działaczki opozycyjnej Barbary Sadowskiej. 19-letniego Grzesia katowali milicjanci na komisariacie MO w Warszawie przy ulicy Jezuckiej 12 maja 1983 roku, dwa dni później chłopiec zmarł w wyniku doznanych obrażeń. Żaden ze sprawców śmierci nie został oskarżony, nie znalazł się w więzieniu. Wymuszano zeznania na świadkach, fałszowano śledztwo. Oskarżeni zostali i skazani niewinni sanitariusze pogotowia ratunkowego – ci, którzy udzielali pomocy pobitemu chłopcu.

Jest zdjęcie przedstawiające ks. Jerzego Popiełuszkę przytulającego do siebie zrozpaczoną matkę, Barbarę Sadowską, po śmierci syna Grzegorza. Kilkanaście miesięcy później, 19 listopada 1984 roku, został zamordowany ks. Jerzy, z kolei dokładnie w pierwszą rocznicę śmierci ks. Jerzego, 19 listopada 1985 roku, funkcjonariusz ZOMO spowodował śmierć Marcina Antonowicza. Łańcuch śmierci.

► Matka rozpoznała syna jedynie po swetrze

19 października 1985 roku, w pierwszą rocznicę zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki, kapelana „Solidarność”, w wielu miastach Polski komuniści wyprowadzili na ulice

dotatkowe patrole milicji i ZOMO. Reżim Jaruzelskiego i Kiszczaka obawiał się zamieszek, manifestacji.

Tego dnia w Olsztynie, wieczorem, patrol ZOMO zatrzymał na ulicy Kaliningradzkiej trzech młodych chłopców: Marcina Antonowicza, Dariusza Turka i Wojciecha Kaleńskiego-Jaskiewicza. Funkcjonariusz ZOMO, szer. Marek Jackiewicz, niewiele starszy od zatrzymanych, zażądał od nich okazania dokumentów tożsamości. Marcin Antonowicz przedstawił do kontroli legitymację studenta Uniwersytetu Gdańskiego, a dwaj jego koledzy dowody osobiste. W zomowcu musiała wzbudzić jakieś skojarzenia legitymacja gdańskiego studenta, bo kolegom Marcina kazał odejść, a jego zatrzymał w milicyjnej suce marki Star 29. Koledzy protestowali przeciwko zatrzymaniu Marcina, milicyjna suka jednak ruszyła. W niedalekiej odległości od miejsca zatrzymania, przy zbiegu ulicy Kaliningradzkiej i Żołnierskiej, przechodnie znaleźli na jezdni nieprzytomnego, będącego w stanie agonalnym chłopca. Przejazd milicyjnej suki mógł trwać nie więcej niż kilkanaście minut.

Powiadomiona karetka reanimacyjna przewiozła Marcina do Szpitala Wojewódzkiego. Ciało chłopca rozpoznała matka, doktor Krystyna Antonowicz, która akurat pełniła dyżur na Izbie Przyjęć. Poznała syna po sweterze. Lekarze neurochirurdzy, dr Jan Kopeć i dr Leszek Malinowski, oraz anestezjolog dr Joanna Waligórska-Bławat przystąpili natychmiast do ratowania życia Marcina, bo jego stan z każdą chwilą się pogarszał. W czasie trepanacji czaszki odkryto krwiak mózgu po prawej stronie. W okolicy potylicy znajdowała się rana tłuczona.

Tuż po przyjeździe karetki pogotowia do szpitala, szybko dotarli tutaj także funkcjonariusze milicji, bezpieki i prokurator Norbert Chalecki. Obaj zomowcy jeszcze tej samej nocy zostali przesłuchani w RUSW w Olsztynie, a właściwie przeszli przeszkolenie, jak mają zeznawać ewentualnie przed prokuratorem, należało też uzgodnić zeznania obu zomowców. Zomowiec Jackiewicz twierdził w zeznaniach, że zabrał Marcina Antonowicza do „stara”, aby go zawieźć do izby wytrzeźwień, chociaż faktycznie nie było takiej potrzeby. Zomowcowi najwyraźniej nie spodobало się, że Marcin jest studentem w Gdańsku, w kolebce znienawidzonej „Solidarności”. Samo słowo Gdańsk w młodych janczarach komuny wywoływało reakcję wściekłą. Dyżurny Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych w notatce służbowej zaznaczył, że załoga samochodu nr rej. MOK 1252 nie poinformowała go ani o interwencji, ani o przewoźniku zatrzymanego Marcina Antonowicza do izby wytrzeźwień, mimo iż miała taki obowiązek – z dyżurnym RUSW winni byli zomowcy uzgodnić tryb dalszego postępowania.

Po złożeniu zeznań zomowcy odstawili samochód do bazy ZOMO w Żalbkach pod Olsztynem. Następnego dnia, 20 października, na polecenie przełożonego, Stefana Krezymona, przewozili tym samochodem deski i trociny. Samochód nie został zabezpieczony w żaden sposób przez

prokuratora Chaleckiego jako materiał dowodowy, mało tego, kiedy później poddano go oględzinom, znaleziono na podłodze oprócz trocin duże ilości smaru.

21 października rodzice Marcina, Krystyna i Kazimierz Antonowiczowie, wnieśli skargę do prokuratora generalnego PRL na postępowanie funkcjonariuszy MO i bezczynność Prokuratury Rejonowej w Olsztynie. Zrozpaczoną rodzicom pomagała w tym trudnym czasie rada prawny Warmińskiego Seminarium Duchownego Hosianum mec. Genowefa Kmieć-Baranowska. Trzeba było się wówczas wykazać nie lada odwagą, bo ewentualni świadkowie, lekarze, pielęgniarki, osoby wspierające państwa Antonowiczów byli zastraszani przez funkcjonariuszy bezpieki. Otrzymywali pogróżki. W skardze do prokuratora generalnego możemy przeczytać m.in.:

„Ponieważ w tym dniu miałam dyżur lekarski w izbie przyjęć, ok. godz. 3.00 rano zadzwoniłam do oficera dyżurnego MO powiadamiając go o fakcie pobicia syna przez funkcjonariuszy MO i prosząc o zabranie ze szpitala dowodów rzeczowych w postaci odzieży syna. Oficer dyżurny oznajmił, że sprawa ta »go nie obchodzi, ponieważ zajmuje się nią prokurator«. Po przywiezieniu syna, do szpitala przybył również prokurator w celu pobrania krwi, dalej jednak nie podjął czynności dochodzeniowych, nie usiłował przesłuchać ani lekarzy, ani pozostałego personelu, jak również nie usiłował wyjaśnić okoliczności pobicia syna. Funkcjonariusze sugerowali, jakoby syn wyskoczył z jadącego samochodu, twierdzenie to nie znajduje żadnych podstaw, ponieważ rana, jaką zadano synowi, była czysta, bez zabrudzeń i otarć. Również odzież, jaką syn miał na sobie w chwili przywiezienia go do szpitala, była czysta, nigdzie nierozzerwana, bez śladów zabrudzenia.

W dniu 20.10. br. usiłowałam powiadomić prokuratora o dowodzie rzeczowym w postaci ubrania, zaprzeczającym wersji wyskoczenia syna z samochodu milicyjnego. Jednakże osoba odbierająca telefon w Prokuraturze Rejonowej oświadczyła, że »prokurator jest na grzybach i będzie wieczorem«. Ponownie o godz. 20. tego samego dnia zadzwoniłam do Prokuratora, prosząc o oględziny ubrania syna jako ważnego dowodu rzeczowego. Prokurator zalecił tylko zgłoszenie się do Prokuratury Rejonowej w dniu następnym, nadal nie zabezpieczając ważnego dokumentu rzeczowego – ubrania syna.

[...] Mimo upływu dwóch dni od chwili ciężkiego pobicia syna nie podjęto faktycznie żadnych czynności”.

► Pozorowanie śledztwa

21 października prokurator Norbert Chalecki z Prokuratury Rejonowej wszczął „śledztwo w sprawie wypadku, jakiemu uległ Marcin Antonowicz przewożony samochodem milicyjnym, tj. o czyn z art. 246 par. 1 kk tj. niedopełnienia obowiązków lub przekroczenia uprawnień”. 22 października Chalecki przesłuchiwał zomowców – Jackiewicza

i Sienicę, zbadano też krew na zawartość alkoholu (po trzech dniach od zdarzenia!). Tego samego dnia dokonano oględzin samochodu Star 29. Następnego dnia zostały przeprowadzone oględziny odzieży Marcina. Biegły dr Marian Gross ze Szpitala Miejskiego w Olsztynie wykluczył, by Marcin Antonowicz dusił lub bił zomowca Jackiewicza, jak ten dowodził w swoich zeznaniach. Nie znalazł na jego ciele żadnych śladów o tym świadczących. W następnych dniach przesłuchani zostali świadkowie: koledzy Marcina, lekarze i pielęgniarki.

25 października 1985 roku przeprowadzono wizję lokalną w celu odtworzenia przebiegu zdarzenia. Początkowo pełnomocnikiem państwa Antonowiczów był mec. Andrzej Domański, ale kiedy okazało się, że jest bardzo uległy wobec prokuratury, zrezygnowali z jego wątpliwych usług i ustanowili nowych pełnomocników – mec. Marię Połubińską z Olsztyna i mec. Edwarda Wende z Warszawy. Dopiero po 10 dniach od zdarzenia, 29 października, pobrano próbki asfaltu z ulicy Kaliningradzkiej.

Sledztwo prowadzone przez prokuratora Chaleckiego wyglądało podobnie jak inne dochodzenia prowadzone w stanie wojennym. Były pozorowane. O działaniach prokuratury funkcjonariusze olsztyńskiego WUSW wiedzieli z dużym wyprzedzeniem, wszelkie sprawy były uzgadniane. Próbowano z Marcina zrobić agresora, a z zomowca biłą, duszoną ofiarę. Lekarze operujący Marcina nie mieli wątpliwości, że sześciocentymetrowa rana tłuczona w okolicy potylicy musiała powstać na skutek silnego uderzenia pałąk. Jak pisała w skardze dr Krystyna Antonowicz – rana była czysta, bez zabrudzeń. Po tak silnym uderzeniu chłopiec musiał stracić przytomność. Co się dalej działo z nieprzytomnym chłopcem, to już wiedzą tylko zomowcy i ich opiekunowie z bezpieki. Mieszkańcy Olsztyna siłą rzeczy porównywali przypadek Marcina do zabójstwa Grzesia Przemysła.

Z fachowymi radami do Olsztyna przyjechali komendant główny MO gen. Józef Beim i zastępca prokuratora generalnego płk Hipolit Starszak. W Olsztynie działania służb nadzorował zasłużony ubek Kazimierz Dudek, zaczynający swoją karierę w 1952 roku, był m.in. zastępcą komendanta MO ds. SB w Gdańsku w latach 1970–1972, od 1981 do 1990 roku pełnił w Olsztynie funkcję komendanta wojewódzkiego MO/ szefa WUSW, w 1987 roku otrzymał stopień generała brygady MO.

22 października bezpieka wszczęła sprawę operacyjnego sprawdzenia o kryptonimie „Student”. Miała ona zapobiec protestom, rozruchom w związku z „zastisnąłą sytuacją”. Uaktywniono dotychczasową agenturę, starano się też zwerbować nową. Szczególną inwigilacją objęto nauczycieli i uczniów szkół średnich, przede wszystkim Liceum Ogólnokształcącego nr 4, którego Marcin był absolwentem. Zabraniano stawiania znizy w miejscu znalezienia nieprzytomnego Marcina. W domu państwa Antonowiczów został zało-

zony podsłuch. Tajniacy zastraszali księży, nagrywali przebieg nabożeństw kościelnych.

Marcin Antonowicz zmarł na szpitalnym łóżku w Zadzuski 2 listopada 1985 roku. Miał niespełna 19 lat, zdążył być zaledwie 19 dni studentem Uniwersytetu Gdańskiego. Chemia była jego ukochanym przedmiotem. Był prymusem w liceum, jako laureat olimpiady chemicznej bez egzaminów dostał się na studia. Jeszcze kiedy chłopiec żył, zapobiegliwa bezpieka przygotowała operację o kryptonimie „Skok”, której celem było przeciwdziałanie przekształceniu się uroczystości pogrzebowych w antykomunistyczną manifestację.

► „Student zamordowany przez policję”

Bezpieka została postawiona w stan podwyższonej gotowości. Właściciele olsztyńskich kwiatarni otrzymali zakaz wykonywania wieńców, wiązanek kwiatów z szarfami, na których napisy miałyby gościć w komunistyczną władzę. Bezpieka nie była jednak w stanie zapanować nad środowiskiem lekarskim. Dużą odwagę wykazał się wówczas duszpasterz służby zdrowia ks. Ryszard Szychmiller, który m.in. odprowadził w Kaplicy Jerozolimskiej przy ulicy Grunwaldzkiej nabożeństwa w intencji Marcina. 4 listopada 925 pracowników służby zdrowia podpisało petycję domagającą się rzetelnego wyjaśnienia wszystkich okoliczności śmierci Marcina. Petycja została wysłana m.in. do sejmu PRL, do prokuratora generalnego, do prymasa Polski kardynała Józefa Glempa.

O sprawie pobicia Marcina Antonowicza przez zomowca informował rzetelnie w Olsztynie jedynie „Rezonans”, olsztyńskie pismo podziemnej „Solidarności”. Olsztyńskie organy KW PZPR i SB „Gazeta Olsztyńska” i „Dziennik Pojezierza” pisały o „nieszczęśliwym wypadku”. Zachowywały się cały czas wyjątkowo haniebnie, nie zdobywając się choćby na drobny gest współczucia rodzinie zamordowanego chłopca. Sprawą zainteresowały się zachodnie media. Agencja UPI 2 listopada poinformowała, że lekarze operujący Marcina uznali, iż uraz jego głowy został spowodowany pałąk milicyjną. „Le Quotidien de Paris” w artykule „Student zamordowany przez policję” nie pozostawiał żadnych wątpliwości, kto jest sprawcą zabójstwa. Podobne komentarze pojawiły się w audycjach Radia Wolna Europa, BBC i „Głosu Ameryki”.

W przeddzień pogrzebu Marcina rzeczywisty komunikacyjny rząd Jerzy Urban łgał jak zwykle i przekonywał do wersji nieszczęśliwego wypadku. Kilka dni później Urban pod pseudonimem Jan Rem napisał w „Dzienniku Pojezierza”, którego redaktorem naczelnym był działacz komunistyczny Andrzej Bałtroczyk, o nieudanej ucieczce pijanego chłopaka wzięonego przez milicję do izby wytrzeźwień, który wyskoczył z jadącego radiowozu i skończył tragicznie.

Pogrzeb Marcina stał się wielką manifestacją sprzeciwu wobec bezkarności komunistów, wobec bandyckiego systemu. Uczestniczyłem w pogrzebie, podobne tłumy widziałem w Olsztynie jedynie wówczas, kiedy przyjechał tutaj papież Jan Paweł II. Na pogrzeb dotarły trzy autokary studentów z Uniwersytetu Gdańskiego z różnych wydziałów. Wyróżniali się oni spośród innych żałobników, bo w klapach kurtek, płaszczy mieli białe plakietki z trzema krzyżami gdańskimi i czarnym napisem Uniwersytet Gdański. Nieśli czarny transparent z białym napisem Uniwersytet Gdański.

W pogrzebie wzięli udział m.in. rektor prof. Karol Taylor, dziekan Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii prof. Marian Kwapisz, prodziekan doc. dr Jerzy Grzywacz. Kilka dni później wszyscy zostali usunięci ze stanowisk. Z Gdańska przyjechali też ks. Henryk Jankowski, Anna Walentynowicz.

Kazanie w czasie Mszy żałobnej w kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa wygłosił ksiądz biskup Julian Wojtkowski, głos zabierali duszpasterze akademicki, m.in. ks. Mirosław Hulecki. Mimo iż władze miasta podstawyły pod kościołem kilkanaście autokarów do przewiezienia uczestników pogrzebu, nikt z nich nie skorzystał. Trumnę z ciałem Marcina nieśli na ramionach przez miasto na cmentarz przy ulicy Poprecznej studenci Uniwersytetu Gdańskiego. „Zabiliście chłopca!” – padały okrzyki w kierunku stojących na poboczach funkcjonariuszy. Wieniec „Solidarności” Regionu Warmińsko-Mazurskiego nieśli Władysław Kałudziński i Ryszard Kułakowski.

Uroczystości pogrzebowe były filmowane przez dwie stacje telewizyjne amerykańskie akredytowane w Warszawie, ABC i NBC, niezależnych polskich reporterów. Przebieg pogrzebu rejestrowała też bezpieka, osoby biorące udział w pogrzebie zidentyfikowane były później wzywane na przesłuchania.

Na cmentarzu został odśpiewany hymn Polski „Mazurek Dąbrowskiego” i pieśń „Boże coś Polskę”. Grób Marcina pokryła góra kwiatów, na szarfach, wbrew nakazom bezpieki, znalazły się też napisy antykomunistyczne. Nie wiele było chyba osób, które nie sięgnęły po chusteczki, by wycierać łzy. Rektor prof. Karol Taylor w mowie pogrzebowej nad grobem swego studenta nawiązał do śmierci ks. Jerzego Popiełuszki. W zakończeniu powiedział: „Rozejdźmy się w spokoju po tej naszej manifestacji wierności ideałom nieprzemijającym, których wartość została nam przypomniana ostatnimi laty w sposób szczególny”.

► „Co zdarzyło się w Olsztynie”

Pomimo iż śledztwo teoretycznie trwało, prokurator Norbert Chalecki wypowiadał się publicznie na jego temat. W wywiadzie pt. „Co zdarzyło się w Olsztynie”, opublikowanym 17 listopada w „Przeglądzie Tygodniowym”, dowodził, że „sprawa dowodowo jest właściwie prosta”. Kilka dni później Jerzy Urban powołując się na prokuraturę, powtarzał na konferencji prasowej, że Marcin „sam wy-

skoczył z samochodu”. Niczym echo odpowiadała mu gazdiniówka komunistyczna „Gazeta Olsztyńska”, stwierdzając, iż „wyniki śledztwa są jednoznaczne”.

Jak można było się spodziewać, Prokuratura Rejonowa swoje postępowanie umorzyła. Stało się to 10 lutego 1986 roku, nie stwierdzając „cech przestępstwa”. Pełnomocnicy rodziny – mec. Edward Wende i mec. Maria Połubińska – złożyli zażalenie na tę decyzję, wskazując na błędy w ustaleniach faktycznych, obrazę przepisów postępowania karnego, wytykając prokuraturze koncentrowanie się na „jednej wersji zdarzenia opartej głównie na zeznaniach świadka Marka Jackiewicza”. Zakwestionowano „wszystkie istotne ustalenia śledztwa”, łącznie z tym, że Marcin w dniu interwencji ZOMO znajdował się pod wpływem alkoholu. Zażalenie nie zostało uwzględnione.

Po wyborach do sejmiku kontraktowego sprawą śmierci Marcina zajęła się Sejmowa Komisja Nadzwyczajna do Zbadania Działalności MSW. Ustaliła ona m.in., że decyzje odnośnie do postępowania podejmowano nie tylko na poziomie prokuratury rejonowej, lecz także wojewódzkiej i generalnej oraz iż wiele kwestii z nim związanych omawiano i uzgadniano z MSW. Znalezione dowody świadczące o tym, że SB wpływała na treść opinii biegłych, a także wywierała presję na zeznania świadków.

Komisja Rokity wniosła postulat rozważenia możliwej odpowiedzialności z art. 246 par. 1 kk (ew. art. 252 par. 1 kk) wobec osób podejrzanych o dokonanie przestępstw, prokuratorów: Norberta Chaleckiego, Janusza Płońskiego, Czesława Reuta, Leszka Niedzielskiego, Jana Poznysza, Jadwigi Wyporskiej, Hipolita Starszaka, a także biegłych Polskiego Związku Motorowego.

Prokurator generalny RP Stefan Śnieżko w październiku 1991 roku polecił toruńskiej prokuraturze wszczęcie śledztwa od nowa, postępowanie to ponownie umorzono, nie dostrzegając „podstaw prawnych do uznania, iż w sprawie dopuszczono się przestępstwa umyślnego spowodowania śmierci”.

W 2007 roku Krystyna i Kazimierz Antonowiczowie odebrali od prezydenta RP śp. Lecha Kaczyńskiego nadany pośmiertnie ich ukochanemu synowi Krzysztofowi Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Prokurator Norbert Chalecki awansował, pracuje aktualnie w Prokuraturze Okręgowej w Olsztynie. Generał Kazimierz Dudek, mimo protestów byłych olsztyńskich opozycjonistów, został pochowany w 2012 roku z udziałem kompanii honorowej, która oddała salwę, i sztandarem Komendy Wojewódzkiej Policji w Olsztynie. ■

Przy pisaniu tekstu korzystałem z opracowania pod redakcją Renaty Gieszczyńskiej „Marcin Antonowicz 1966–1985”, Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Delegatura w Olsztynie, Olsztyn 2010.

Daktyl, Dzierżyński i syberyjscy zestłańcy

Magdalena Złotnicka



Powieści Alfreda Szklarskiego o Tomku Wilmowskim były tak popularne, że pewnego razu do pisarza podeszła jakaś szycha z wydawnictwa Śląsk i zaproponowała, by może w jednej z książek napisać, że niby Tomek uwalnia w Rosji Feliksa Dzierżyńskiego. Autorowi nie w smak było pakować do swojego wyidealizowanego świata krwawego Feliksa, ale odmowa mogła mieć przykre konsekwencje. „Jak taki mały Tomek miałby uwolnić takiego wielkiego bohatera?” – wybrnął ostatecznie.

Chciałbym być zawsze niewinny i prawdziwy, chciałbym być zawsze pełen wiary i nadziei, tak jak Bolek i Lolek, Tytus, Romek i A'Tomek, dzieci z Bullerbyn, Tomek na tropach Yeti” – to dramatyczne wyznanie, wyśpiewywane przez rockową grupę Hurt z Wrocławia, kojarzy zapewne każdy z mojego pokolenia i kilka pokoleń młodszych, a i słuchającym alternatywy nastolatkom nie będzie ona obca. Jeśli jednak przyjdzie do rozszyfrowywania bohaterów, o których mowa w utworze, to pytanie, na ile owe nastolatki są w stanie ich zidentyfikować (nie mówię oczywiście o Bolku i Lolku, tych zna chyba każdy). Ilu z nich kojarzy, że „Tomek na tropach Yeti” to tytuł jednej z powieści Alfreda Szklarskiego, których głównym bohaterem jest Tomek Wilmowski? Ilu czytało historyjki o przygodach Tomka? Sondy nie prowadziłam, ale wiem, że już pokolenie mojego brata (rocznik 1999) wychowywało się na innych lekturach. Czy to efekt tego, że „Tomki”, jak czasami nazywa się cały cykl, przestały być dla młodzieży interesujące? Pewnie trochę tak. Ostatecznie w czasach Polski Ludowej, kiedy święciły największe triumfy, wyjazd do miejsc, w których bohater przeżywał swoje perypetie, był prawie nierealny: opowieści o Afryce czy „Krainie Kangurów” rozpały wyobraźnię, zaś dziś przynajmniej część naszej młodzieży może pozwolić sobie na zagraniczne wycieczki. Zarazem jednak przygody Wilmowskiego są ponadczasowe: prezentują ten wzorec młodego chłopca, a później młodzieńca, którym każdy dorastający dzieciak chciałby być i w którym z pewnością podkochiwałaby się każda podfruwajka.

Za każdym dziełem stoi autor, warto więc przyjrzeć się postaci Alfreda Szklarskiego, pisarza, którego życie nie było wcale tak nieskomplikowane i czarno-białe, jak charakter jego najważniejszego bohatera.

► Amerykański sen emigranta

Dziadek tłuł ruskich w powstaniu styczniowym, tatuś należał do PPS-u, a synek walczył z Niemcami w Powstaniu Warszawskim – takie drzewo genealogiczno-buntownicze dałoby się wywieść w przypadku niejednej rodziny żyjącej na przełomie XIX i XX wieku. W przypadku Szklarskich również, choć oczywiście do takiego uproszczenia trzeba dodać rozmaite odcienie szarości. Niemniej jednak, owszem, dziadek autora „Tajemniczej wyprawy Tomka” był powstańcem styczniowym (wspomina o tym na przykład Przemysław Jedlecki, „Tomek z krainy czarnego złota”, „Gazeta Wyborcza Katowice”, 12 kwietnia 2002 rok), a ojciec, Andrzej Szklarski, należał do PPS-u. Aktywny podczas wymierzonej w carat rewolucji 1905 roku, musiał salwować się ucieczką. Jak opowiadał sam pisarz „Gazecie Kieleckiej” („Nie skąpiło mi życie

przygód", 4 marca 1992 rok), jego ojciec został aresztowany i osadzony w X Pawilonie na Pawiaku. „W najszczęśliwszym przypadku groziła mu zsyłka na Sybir. Dzięki staraniom przyjaciół został zwolniony za kaucją i wtedy dokonał ryzykownej ucieczki z ziem polskich i Europy. Osiedł w Chicago, ożenił się z emigrantką polską, tam urodziła się moja siostra i ja” – mówił.

Zarazem jednak – mimo stwierdzeń pisarza – data urodzenia i jego miejsce nie są do końca pewne. Na przykład Grażyna Kuźnik („Życie pisarza jeszcze ciekawsze niż przygody Tomka na Czarnym Łądzie”, „POLSKA Gazeta Krakowska”, 29 października 2015 roku), powołując się na dane urzędu imigracyjnego na wyspie Ellis, podaje, że w Nowym Jorku rodzina Szklarskich znalazła się w październiku 1913 roku i że Alfred miał mieć wówczas 11 miesięcy (zatem musiałby urodzić się w listopadzie 1912, nie zaś 21 stycznia 1912, jak podawane jest w większości biogramów). Co więcej, autorka artykułu zaznacza, że rodzina Szklarskich odbyła podróż do Stanów trzecią klasą, w niezbyt komfortowych warunkach. Jedno jest pewne: dzieciństwo Alfred Szklarski spędził w Stanach, wychowywany przez ojca, matkę Marię *de domo* Karkosik i w towarzystwie starszej siostry Klary. Nie był łatwym dzieckiem. W wywiadzie udzielonym Henryce Wach-Malickiej („Dziennik Zachodni”, 5 lutego 1992 roku) opowiadał, że taki temperament jak jego musiał gdzieś znaleźć ujście, wydawało się, że wyróżnienie z niego zabijaka. Przyznawał też, że nawet jako dorosły człowiek pozostaje uparty i nie lubi zmieniać zdania. Więcej – nie lubił również (co sam mówił), gdy ktoś był innego zdania niż on!

► Erotyka w niemieckiej prasie polskojęzycznej

Gdy pisarz miał szesnaście lat, jego matka postanowiła wrócić do Polski. Zabrała ze sobą oboje dzieci. Niedługo później ojciec pisarza – który pozostał w USA – założył tam drugą rodzinę. Jak podaje cytowany już Jedlecki, pierwszym przystankiem w Polsce był Włocławek. Właśnie tu zamieszkała Maria wraz z dziećmi. Z kolei wspomniana Kuźnik podkreśla, że Maria Szklarska zmagala się już wówczas z poważną chorobą. Klara, dorosła siostra Alfreda, była tego faktu świadoma. Matka przyszłego literata umarła bardzo krótko po przyjeździe do kraju. Alfred na miejscu mógł liczyć tylko na siostrę, choć ojciec oczywiście przysyłał swoim dzieciom paczki.

Mimo nienajłatwiejszego startu przyszły autor „Złota Gór Czarnych” zdał maturę i dostał się na Wydział Konsularno-Dyplomatyczny Akademii Nauk Politycznych w Warszawie. Brzmi szumnie, jednak w tych czasach Szklarski mógł uchodzić raczej za mo-

delowy okaz stereotypowego biednego studenta niż stereotypowego przyszłego dyplomaty: gnieździł się w akademiku przy placu Narutowicza i – jak wspomina jego córka, cytowana przez Jedleckiego – nie dojadł oraz chorował na płuca. Problemy z oddychaniem miał zresztą do końca życia. Trudno się dziwić, że w takiej sytuacji znajdował sobie rozmaite formy dorabiania – m.in. pracował jako ochroniarz. Pisał też... prace semestralne za kolegów.

Nie tylko samą nauką żyje student. W latach akademickich często także pojawia się miłość. Czasem chwilowa, bardziej miłostka niż wielkie uczucie. Są jednak i takie pary, które poznają się w młodym wieku i pozostają ze sobą na całe życie. Tak właśnie było ze Szklarskim i jego żoną Krystyną. Gdy Alfred pierwszy raz ją zobaczył, była na pierwszym roku studiów. Jednak – jak opowiadała Jedleckiemu – lata międzywojenne to nie takie czasy, w których w dobrym tonie było po prostu podejść do dziewczyny i zagaądać. Alfred poprosił więc o pośrednictwo kolegę, który znał Krystynę. Ten nie rwał się jednak do pomocy. Szklarski przekupił go więc pięćdziesięcioma groszami i paczką papierosów. Para pobrała się na początku II wojny światowej. Zaczynały się dni, które stanowić miały najbardziej zastanawiający okres w życiu pisarza.

Szklarski bowiem w czasie okupacji pisał teksty dla tzw. gadzinówek, czyli gazet wydawanych w języku polskim przez zaborcze władze Generalnego Gubernatorstwa. Henryk Markiewicz na łamach „Polityki” („Przykra sprawa”, 14 maja 1994 roku) podawał, że późniejszy autor „Tomków” od 1940 do 1944 roku pracował w redakcjach takich tytułów jak „Fala”, „7 dni”, publikował także w „Nowym Kurierze Warszawskim”. Używał pseudonimu „Alfred Murawski”. Markiewicz podkreślał, że w publikacji „Prasa gadzinowa Generalnego Gubernatorstwa”, autorstwa Władysławy Wójcik, wykaz tytułów opowiadań pióra Murawskiego zajmuje „dwie gęsto zadrukowane szpalty”. O czym pisał Szklarski-Murawski? „Odrealniony świat infantylnych miłości i perypetii sercowych panien i kawalerów w stylu: on ją kocha, ale ona ma kogoś, więc on robi wszystko, żeby pozbyć się konkurenta, albo »jak się czuje porzucony przez żonę mąż?« – tak najkrócej można streścić obyczajowo-erotyczne opowiadania Szklarskiego [...] Erotyki jest dużo, nawet w relacjach z poranków baletowych” – komentuje tę twórczość Wiesław Koterski („Tomek na okupacyjnej ścieżce”, „Dziennik Zachodni”, 29 czerwca 1994 roku). Także Maciej Urbanowski, który w swojej publikacji wykorzystał dokumenty m.in. IPN, SPP i ze zbiorów rodziny pisarza, podkreśla („Tajemnice Alfreda Szklarskiego”, „Uważam Rze”, 20–26 lutego 2012 roku), że w utworach pisanych wówczas przez Szklarskiego nie ma ani wychwalania okupanta, ani

atakowania II Rzeczypospolitej. Wątpliwości budzić może jedynie humoreska z 1939 roku, „Wróżba”, opowiadająca o tym, jak to dwóch Żydów oszukało naiwną Polkę, podszywając się pod hinduskich magów. Rozszyfrowali ich jednak niemieccy żołnierze. Sam pisarz po wojnie utrzymywał, że zmianę Hindusów na Żydów wprowadziła samorządnie redakcja oraz że tekst zgłosił zachęcony przez działacza konspiracji.

Jednak nawet biorąc pod uwagę neutralne tematy twórczości Szklarskiego, fakt pozostaje faktem: publikowanie w okupacyjnych mediach w jakimś sensie było legitymizowaniem okupacji i jako takie traktowane było przez polskie podziemie jako kolaboracja. Urbanowski zaznacza, że w 1941 roku „Wolna Polska” potępiła działalność Szklarskiego. Zareagowała także Armia Krajowa, informując o działalności Szklarskiego i piętnując ją na łamach „Biuletynu Informacyjnego” AK z 1942 roku.

W tym kontekście nieco zaskakiwać może informacja, że w 1944 roku Szklarski wziął udział w Powstaniu Warszawskim. Urbanowski przypomina, że pisarz walczył pod pseudonimem „Szklarz” i jako ochotnik brał udział w walkach wraz z batalionem „Piorun”, dowodzonym przez porucznika Stanisława Kuźmińskiego. Zgodnie z tym, co mówił dowódca, Szklarski wykazał się „pierwszorzędną postawą żołnierską i dużym męstwem osobistym”. Jeszcze dziwniejsze jest jednak to, że o Powstaniu Szklarski napisał reportaż dla „Nowego Kuriera Warszawskiego”. W cytowanym już tekście Markiewicz podaje nawet tytuł: „Z dni grozy. Konająca stolica”. Jak się połąpać, o co naprawdę w tym wszystkim chodziło? Wyjaśnienia, jakie po wojnie składał sam pisarz, jeszcze bardziej komplikują sprawę. Ale o tym później.

Na razie skończyła się II wojna światowa. Pisarz, jego ukochana żona i dzieci właściwie nie mieli co ze sobą począć. Na moment zatrzymali się w Krakowie, wkrótce jednak opuścili miasto, by osiąść na Śląsku, w Katowicach. Jak pisze Grażyna Kuźnik, Szklarski podłapał robotę w Bytomiu, został kierownikiem Bazy Autobusowo-Tramwajowej. Chwytał się również zajęć literackich – był redaktorem w „Świecie Górnika” i „Metalowcu”.

Zaczął także pisać powieści sensacyjne, posługując się kolejnym pseudonimem: Alfred Bronowski. W 1948 roku – pod jeszcze innym pseudonimem – ukazał się powieść „Tomek w tarapatach”, którą Bogusław Kubisz (z „Tomek Wilmowski”, „Mówią Wieki”, kwiecień 2017 roku) nazywa „nieleddie wprawką do cyklu o Tomku Wilmowskim”.

► Co jest przydatne w więzieniu

Wypada wrócić do wątku pisanego w gadzinówkach. Pewnego dnia, już po wojnie, Szklarski zobaczył

bowiem w jakiejś gazecie informację, że pisanie dla polskojęzycznej prasy niemieckiej podlega penalizacji. Wówczas – jak zaznacza cytowany już Urbanowski – sam zgłosił się do prokuratury. Uprzedzając nieco fakty, proces, który rozpoczął się w 1949 roku, zakończył się skazaniem pisarza na karę 8 lat więzienia, odsiedział 5; warunkowo zwolniono go we wrześniu 1953 roku.

Przed sądem pisarz tłumaczył, że w gadzinówkach znalazł się po to, by infiltrować ich środowisko i że działał wówczas jako współpracownik Związku Walki Zbrojnej. Przywoływany już Urbanowski przypomina, iż podczas procesu Szklarskiego jego związki z ruchem oporu potwierdził Józef Sierżputowski, którego też oskarżano o pisanie w gadzinówkach. Obu miał zwerbować Jerzy Leżeński, który został zamordowany przez gestapo, a wcześniej także był podejrzewany o kolaborację. Zaś z zeznań pułkownika Rzepeckiego wynikało, że AK nie odsyłała nikogo do pracy w niemieckich pismach polskojęzycznych.

„Trzeba przypomnieć, że Szklarski rozpoczął pisanie dla gadzinówek już w 1939 r., niedługo po wejściu Niemców, gdy dopiero budowane były struktury dla pracy konspiracyjnej” – wyjaśniał z kolei Annie Malinowskiej prof. Krzysztof Kłosiński, kierownik Zakładu Historii Literatury Poromantycznej Uniwersytetu Śląskiego („Tomek nigdy się nie zestarzeje”, „Gazeta Wyborcza Katowice”, 25 kwietnia 2014 roku), i dodawał, że zarazem prawdą jest, że autor „Tomków” walczył w Powstaniu Warszawskim. Jednak zdaniem Kłosińskiego oba te fakty nie miały ze sobą nic wspólnego.

Warto dodać zarazem, że w sensacyjnych powieściach, jakie Szklarski produkował jeszcze przed procesem, często – o czym wspomina Urbanowski – pojawia się motyw kogoś, kto działa w konspiracji i przez to jest oskarżany o zdradę. Żeby jeszcze skomplikować całą sprawę, zaznaczymy, że Urbanowski podaje również, iż Szklarski, pisząc prośbę o ułaskawienie, wspominał, że po wojnie wstąpił do PPR (do PZPR nie należał nigdy).

Swoją drogą – to już mój domysł – być może władze Polski Ludowej dopatrzyły się jednak w jego życiorysie jakichś szczególnie silnych związków z AK. Tym bowiem można by tłumaczyć fakt przytaczany przez Kuźnik, która pisze w cytowanym już artykule, że na czas odsiadki zakwaterowano pisarza do celi najgorszych kryminalistów. Później Szklarski prawie nie odnosił się do tego okresu swojej przeszłości. Miał jednak wspominać, że w więzieniu bał się o życie. Kuźnik podaje, że pomocny w przetrwaniu okazał się dar opowiadania. „Koledzy” spod celi chętnie słuchali wspomnień pisarza z Ameryki. Co ciekawe, im bardziej

były one zmyślane, tym większą cieszyły się popularnością.

► Upiorny goryl i opowieści o kanibalach

Po wyjściu z więzienia pisarz wrócił do literatury, jednak – namówiony przez przyjaciół – postanowił pisać książki dla najmłodszych. W 1957 roku nakładem wydawnictwa Śląsk ukazał się „Tomek w krainie kangurów”. Henryka Wach-Malicka („Ojciec Tomka” i jego pasje”, „Dziennik Zachodni”, 4 kwietnia 1982 roku) wspomina, że pierwszy tom przygód Wilmowskiego raził nudną, nieciekawą okładką. Sam Szklarski przyznawał, że o losach cyklu przesądził Józef Marek, który na drugim tomie serii, opowiadającym o przygodach Tomka na Czarnym Łądzie, wymalował szkaradnego goryla. Ów – choć atakowany z różnych stron – wywołał takie zaciekwawienie gawiedzi, że młodzież wręcz rzuciła się na książki.

Z wydawnictwem Śląsk Szklarski związany był zresztą przez bardzo długi czas. Pracę w wydawnictwie łączył z pisaniem. Bożena Szklarska-Nowak, córka pisarza, opowiadała Grażynie Kuźnik („Ojciec Tomka to mój tato”, „Magazyn Rodzinny. POLSKA Głos Wielkopolski”, 18 czerwca 2011 roku), że jej dzieciństwo to czas, w którym rodzina żyła skromnie: we czworo – ona, brat i rodzice – zajmowali dwupokojowe mieszkanie w kamienicy. Szklarski wstawał wcześniej, udawał się do wydawnictwa Śląsk, po powrocie odrabiał z dziećmi lekcje, w tym nielubianą matematykę. Do pisania zabierał się dopiero potem. Szklarska-Nowak wspomina, że bywały takie dni, kiedy kończył zmagania twórcze rano. Wówczas golił się i... wychodził do pracy w wydawnictwie. Córka pisarza opowiada także, że dziadek Andrzej ze Stanów przysyłał jej piękne sukienki, które jednak matka musiała przebrać. Takiej bowiem ilości falbanek i ozdób nie noszono wówczas w Polsce. Z kolei Agnieszka Zielińskiej („Zawdzięczam mu wszystko”, „Gazeta Wrocławska”, 4 kwietnia 2000 roku) relacjonowała, że powieści o przygodach Tomka czytała w rękopisach, tak samo jej brat i matka. Rodzina stanowiła więc pierwszych recenzentów, a Szklarski bardzo liczył się z ich zdaniem. Córka pisarza wyjaśniała, że tata Tomka Wilmowskiego wzorowany był na jej dziadku, czyli Andrzeju Szklarskim, zaś książkowy bosman – na kuzynie ojca, marynarzu.

Cytowany już przeze mnie Jedlecki przytacza zaś anegdotkę Krystyny Wyględacz, która blisko współpracowała ze Szklarskim w wydawnictwie Śląsk. Z jej relacji wynika, że pisarz był „dużą redakcją”, ale zarazem miał z lekka upiorne poczucie humoru. Kiedy pewna pracownica, pani Irena, jadła śniadanie, ocho-

czo opowiadał jej o ludożercach z Nowej Gwinei, nie pomijając obrazowych szczegółów. Oczywiście nie-szczesna kobieta w efekcie pobiegła do toalety i nie dokończyła posiłku.

► Rosja jest Rosja

Kolejne lata przynosiły kolejne części przygód Tomka, a Szklarski, okopany w świecie dalekich wypraw i młodzieńczych przygód, miał względny spokój, jeśli chodzi o cenzurę. W rozmowie z Krzysztofem Zajączkowskim („Tomek na tropach Dzierżyńskiego”, „Głos Poranny”, 26–27 października 1991 roku, z tego wywiadu pochodzi także początkowa anegdota o Dzierżyńskim) przyznawał, że świadomie wybrał taką w miarę neutralną tematykę swojego pisarstwa. Opowiadał, że komplikacje pojawiły się tylko w przypadku „Tajemniczej wyprawy Tomka”, której akcja działa się na Syberii i która traktowała o zesłańcach. Szklarski wysłał maszynopis do Ministerstwa Kultury, Oświaty i Wychowania, a po uzyskaniu zielonego światła zaniósł tekst do wydawnictwa. „Myślę, że i tak udało mi się kilka rzeczy przemycić” – mówił. Jak to było z tym przemycaniem? Książka opowiada o tym, jak to Tomek wraz z ojcem i przyjaciółmi chcą uwolnić kuzyna głównego bohatera. Zbyszek Karski – bo tak zwie się ta postać – został zesłany na Syberię za walkę z caratem. Pretekstem do wyprawy jest polowanie na tygrysy syberyjskie. Po drodze towarzyszy rosyjski szpicel, który ma mieć na nich oko, a który orientuje się, jakie plany mają myśliwi. Fabuła się komplikuje, okazuje się, że przed laty to właśnie ów człowiek odkrył polski spisek w Warszawie, w efekcie czego Wilmowski musiał opuścić ojczyznę. Agenta zabija ostatecznie rewolucjonistka Natasza, narzeczona Karskiego.

Chociaż negatywne postacie reprezentowane są przez na przykład rosyjskiego szpicla, książka mogła się ukazać. Dlaczego? W mojej ocenie dlatego, że Rosja, z którą walczy Tomek, to Rosja carska, a więc – obalona przez „dobrą” rewolucję bolszewicką. Z drugiej strony czytające tę książkę dzieci i młodzież, a także dorośli zapewne mieli poczucie, że Tomek walczy po prostu z okupantem, a Rosja to Rosja, wszystko jedno carstwo czy sowiecka. Zabory – w tym zabór rosyjski – funkcjonowały jeszcze w świadomości zbiorowej jako historia nie tak odległa, żyło pokolenie, którego rodzice lub dziadkowie pamiętali te czasy.

Zarazem jednak wspomniany przeze mnie Henryk Markiewicz odniósł się do słów księdza Adama Zelgi (przyjaciela Szklarskiego, który zresztą dokończył ostatnią powieść pisarza), że w „Tajemniczej

wyprawie Tomka" udało się przemycić hymn „Boże, coś Polskę” w języku rosyjskim. „Cóż tu było do przemycania, skoro hymn był powszechnie śpiewany w kościołach, a w druku ukazał się bez przeszkód np. w „Zbiorze poetów polskich XIX w.” Pawła Hertz” – ripostował. Ja od siebie dodam, że może jednak coś w tym przemycaniu było: otóż nie podejrzewam, by po skądinąd istotną publikację Hertza szczególnie chętnie sięgali młodzi ludzie, zaczytujący się w perypetiach Tomka Wilmowskiego.

Warto także dodać, że Szklarskiemu w całym cyklu o Tomku udało się „przemycić” coś bardzo ważnego: pean na cześć młodego Polaka patrioty, hołdującego takim wartościom jak honor, przyjaźń, męstwo, uczciwość i lojalność wobec towarzyszy. Sam Szklarski w rozmowie z Wach-Malicką („Ojciec Tomka” i jego pasje”) przyznawał, że jego książki, jeśli chodzi o przekazywane wartości, są bardzo czarno-białe. „Stawiam kropkę nad »i« pisząc nachalnie: to jest dobre, a to złe” – mówił. Wyjaśniał zarazem, że to efekt przeżytych lat i zebranych doświadczeń, które sprawiają, że łatwiej ową kropkę postawić. „Jeśli ktoś zapamięta moje nauki, to mam nadzieję, że w dorosłym życiu wybierając między czarnym i białym nie będzie się wahać”.

„Młodzież ma swoje prawa, musi się wyszumieć i nie można przykładać do niej tych samych ram, w jakich upływa życie dorosłych” – twierdził pisarz w rozmowie z Iloną Saft („Klasówka ze Szklarskiego”, „Trybuna Robotnicza”, 1 czerwca 1990 roku). Zarazem podkreślał jednak, że szkoła i literatura powinny wychowywać młodych ludzi w „polskim duchu: patriotyzmu i szacunku dla autorytetów moralnych”.

Być może właśnie takie promowanie polskości pisarz uważał za dobry sposób na przeciwstawienie się czasom, w których przyszło mu żyć. Widać było, że zależy mu na bohaterze Polaku. W tym kontekście mówił „Gazecie Kieleckiej” o Stasiu Tarkowskim z „W pustyni i w puszczy”. „Byłem z niego dumny, bo przecież w powieściach [Karola] Maya wszyscy pozytywni bohaterowie byli Niemcami i mnie raziło”. I dodawał: „Staś Tarkowski i Tomek Wilmowski są Polakami, to ich wspólna cecha. »W pustyni i w puszczy« była dla mnie dużą inspiracją, chociaż tak daleko mi do niezwykłego talentu i mistrzostwa Sienkiewicza”.

Na podkreślanie patriotyzmu zwróciła uwagę Wanda Żółkiewska, która kiedy opiniowała w 1960 roku podanie pisarza o przyjęcie do Związku Literatów Polskich, wspominała o „bardzo konserwatywnej, wstecznej bazie” jego pisarstwa i wskazywała, że „na siłę wkomponowuje w książki element polskości, patriotyzmu członków wyprawy” (cytuje za Urbanowskim).

► Cały świat zza biurka

Zabawne, że choć w swojej prozie Szklarski opisywał różne miejsca na ziemi, sam niechętnie podróżował. Właściwie poza Ameryką, w której spędził dzieciństwo, wypuścił się jeszcze tylko do Egiptu. Wycieczka zresztą o mało nie skończyła się tragicznie. Jak opowiadała Grażynie Kuźnik córka Szklarskiego („Ojciec Tomka” to mój tato”), pisarz postanowił zwiedzić miejscowy cmentarz, czego jako innowierca nie miał prawa uczynić. Strażnik pilnujący nekropolii wyraził jednak zgodę. Poczęstował też pisarza daktylami. Po ich zjedzeniu Szklarski błyskawicznie zachorował, tocząc pianę z ust, trafił do szpitala. Tam poinformowano go, że owoce były zatrute.

A jednak mimo tej niechęci do podróży dom Szklarskich pełen był przedmiotów z różnych stron świata. Henryka Wach-Malicka odwiedziła pisarza w 1982 roku. Swoje wrażenia opisała we wspomnianym już tekście zamieszczonym na łamach „Dziennika Zachodniego”. Relacjonowała, że pokój, w którym gościł ją pisarz, „pachniał egzotyką”. Wypełniały go jakieś korale, totemy, a nawet wypchane gady. Resztę miejsca zajmowały książki. Z innych publikacji wiemy, że pamiątki przywoziła żona, będąca zresztą współautorką trylogii „Złoto Gór Czarnych”. Sam Szklarski wolał zamiast jeździć, skrupulatnie zbierać materiały do swoich powieści, czytając książki. Zachowywał się przy tym, jakby co najmniej zamierzał pisać prace naukowe.

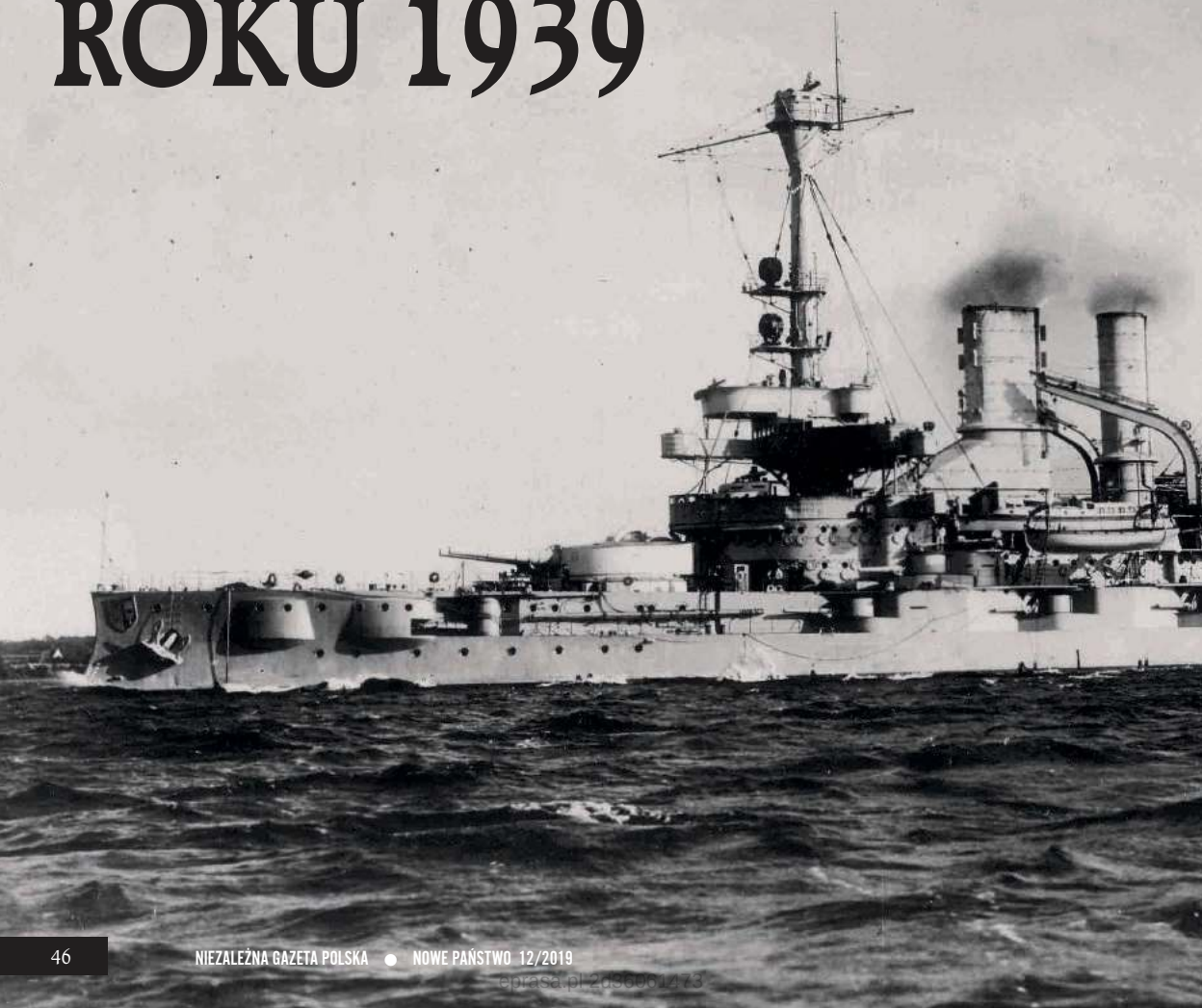
Dokładność i dbałość o prawdę detalu nie przeszkadzały Szklarskiemu rozumieć psychiki swoich czytelników. Ilona Saft przytaczała wypowiedź pisarza, który nie był szczególnie szczęśliwy, że ówczesne MEN poleciło jego książki jako lektury szkolne. „Przecież lektur z założenia nie lubi się czytać” – mówił. I wspominał, że w młodości, choć uwielbiał czytać i z książką się nie rozstawał, to lektury przyswajał sobie jednak w postaci bryków.

Zapewne gdyby zrealizował zamierzenie zapowiadane w licznych wywiadach i napisał książkę o Powstaniu Warszawskim, nie byłaby ona nudną lekturą. Nie zdążył. Nie doprowadził też do ostatniej strony „Tomka w grobowcach faraonów”, którą to powieść na podstawie jego notatek dokończył – jak już wspominałam – ksiądz Adam Zelga. Zmarł 9 kwietnia 1992 roku. Pozostała po nim piękna, może dziś sprawiająca wrażenie nieco naiwnej, literatura dla młodości. Jednak właśnie tej naiwności i prostego oddzielania dobra od zła bardzo dzisiejszemu światu brakuje. Może więc warto uczyć się jej z książek Szklarskiego? ■

Autorka jest pracownikiem POLSKIEGO RADIA SA.

Agnieszka Kowalczyk

80 LAT TEMU. Z KALENDARZA ROKU 1939



**Pierwszy dzień roku
1939 powitał Polaków
lekkim przymrozkiem
i opadami śniegu.
Warszawa pogrążona była
jeszcze w głębokim śnie
po szalonej sylwestrowej
nocy. Minister spraw
zagranicznych Józef Beck
witał Nowy Rok w Monte
Carlo, a prezydent
Rzeczypospolitej Ignacy
Mościcki w jaworzyńskim
zamku myśliwskim koło
Zakopanego...**



Wnocy, 2 stycznia, zmarł w Drodzowie koło Łomży Roman Dmowski, wielki mąż stanu, współtwórca Narodowej Demokracji, wybitny działacz niepodległościowy, delegat na konferencję paryską (1919), sygnatariusz traktatu pokojowego w Wersalu, polityk, który na drodze dyplomatycznej walczył o ustalenie korzystnych dla Polski granic, człowiek wywierający niekwestionowany wpływ na kształtowanie się poglądów politycznych swojego pokolenia.

Najbardziej elektryzującym polskie społeczeństwo wydarzeniem było styczniowe spotkanie ministra Józefa Becka z kanclerzem III Rzeszy Adolfem Hitlerem (5 stycznia) i ministrem spraw zagranicznych Joachimem von Ribbentropem (6 stycznia). Strona niemiecka domagała się włączenia Gdańska do Rzeszy oraz przeprowadzenia eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej z Prus do Pomorza, zobowiązując się w zamian do uznania granic II Rzeczypospolitej. Minister Beck nie miał złudzeń co do tego, że „grozi nam konflikt w wielkim stylu, a te obiekty są tylko pretekstem”.

10 stycznia zmarł jeden z najstarszych powstańców styczniowych, Tomasz Kazecki, w chwili śmierci miał 104 lata.

25 stycznia Warszawa żyła wieścią o przyjeździe niemieckiego ministra Ribbentropa. Podczas powitalnego obiadu zapewnił on stronę polską o trwałości zawartego między obu państwami w 1934 roku paktu o nieagresji, który jego zdaniem wytrzymał próbę czasu i przyczynił się do utrzymania pokoju europejskiego.

Podczas gdy z początkiem lutego cały kraj trwał pogrążony w zimowej ciszy, w „Zielonym Sztandarze” ukazał się artykuł „Wojna jeszcze w tym roku”. Czytamy w nim, że amerykańscy ambasadorowie, wezwani do Waszyngtonu, stwierdzili, że „w Europie panuje chaos wywołany przez Hitlera i Mussoliniego” i że „Anglia i Francja będą usiłowały ulagodzić obu dyktatorów, ale to na nic się nie zda, gdyż nadchodzi kres ustępstw ze strony Francji, a Anglia mimo całej swej pokojowości będzie musiała stanąć po stronie Francji. »Toteż wybuch wojny [...] i to jeszcze w tym roku wyjdzie się rzeczą prawie pewną«”.

10 lutego dotarła do Polski niespodziewana wieść o śmierci papieża Piusa XI, który szczególną miłością i szacunkiem obdarzył polski naród „z powodu jego pięknej prostoty ducha wypełnionej mocną wiarą”, bowiem, jak mówił, „w każdym Polaku jest zawsze wysiłek wiary i dlatego w najgorszym nawet pomiedzy nich jest wysiłek dobroci” (19 lutego).

Następnego dnia, punktualnie o godzinie 12.00, nastąpiło otwarcie narciarskich mistrzostw świata w Zakopanem. Mimo fatalnej, deszczowej pogody, która zmieniła miasto w jezioro, zawody musiały się odbyć. Swoją wielką tryumf święcili tam Niemcy, którzy wywalczyli 17 medali – 7 złotych, 4 srebrne i 3 brązowe. Wśród Polaków czwarte miejsce w kombinacji norweskiej zajął Andrzej Marusarz,

a jego brat Stanisław osiągnął piątą lokatę w skokach narciarskich.

24 lutego „Ilustrowany Kurier Codzienny” donosił, że na Politechnice Gdańskiej doszło do groźnego zajścia z udziałem studentów przebranych w partyjne uniformy hitlerowskie. „Okolo 10.20 rano profesor Flügel przerwał raptem wykład i odezwał się do studentów: »Teraz możecie zrobić porządek«. Słowa te stały się hasłem do rozpoczęcia wrogiej manifestacji antypolskiej. Na okrzyki: „Polen raus”, „Polacken raus” studenci niemieccy rzucili się na polskich i siłą wypchnęli ich z sali. Pokrzywdzeni nie znaleźli pomocy u władz uczelni.

25 lutego przyjechał do Polski minister spraw zagranicznych Włoch hrabia Galeazzo Ciano wraz ze swą małżonką Eddą, córką Benito Mussoliniego. Podczas uroczystego obiadu mówił, że „z prawdziwą radością” mógł odwiedzić „ten szlachetny kraj, tak odległy w przestrzeni, a tak bliski sercu Włoch”. Przeczyły temu jednak jego osobiste zapiski, w których wyznawał, że Polacy nie darzą Włochów zbyt wielką sympatią, że Warszawa uczyniła na nim dość przygnębiające wrażenie, a „Polska mimo całych wysiłków Becka jest z gruntu antyniemiecka”. Podczas wizyty hrabia Ciano odsłonił pomnik płk. Francesco Nullo, odwiedził Italski Instytut Kultury, a sam udekorowany został Orderem Orła Białego. Na specjalnego gościa czekał też raut w salonach ambasady włoskiej. Córka Mussoliniego była ponoć zachwycona ułożonym przez Wieniawę-Długoszowskiego menu, składającym się z bigosu, flaków i „czystej wyborowej”, jak i wielką gościnnością gospodarza, który zaangażował do tańca 42 oficerów, tak iż „krakowiaki, oberki, mazury rozbrzmiewały do białego rana. Wieniawa pewnie ludził się” – jak czytamy w książce „Rok przed klęską” – „że rozbawiona brzękiem szwależerskich ostróg Edda wpłynęła na swego potężnego papę i wybitnego męża, by powstrzymali Hitlera od wojny”.

► Marzec

Z początkiem marca od konsula RP w Lipsku docierały niepokojące wieści, jakoby Niemcy jeszcze w tym samym miesiącu miały zaatakować Słowację. Hitler, niesyty przyłączonych do Rzeszy Sudetów, sięgnął po kolejne terytoria, doprowadzając do rozbioru Czechosłowacji. Zgodnie z jego wolą Czechy i Morawy stały się protektoratem Niemiec, a Słowacja – formalnie niepodległą republiką, w istocie zaś podporządkowaną mu marionetkowym państwem. Po tym, jak zmiażdżony groźbami Hitlera prezydent Hácha zgodził się oddać los Czechów w ręce kanclerza Rzeszy, jeszcze tego samego dnia (15 marca) wojsko niemieckie wkroczyło do Pragi. Trzy dni później „Ilustrowany Kurier Codzienny” pisał, że „na Europę padł groźny cień zakutej w stal pięści. W drodze Wacława na szczycie Hradczyna powiewa czerwona flaga ze swastyką. Słowacy stali się lennikami idącej na dalsze podboje Rzeszy Niemieckiej.

To wszystko rozgrywa się [...] u naszych granic, pukając do naszych drzwi wołaniem o wzmocnienie czujności narodowej i gotowości na każdą ewentualność”.

W obliczu narastającego zagrożenia wojną, 22 marca w Zamku Królewskim odbyło się nadzwyczajne spotkanie najwyższych władz państwowych. Uznano zgodnie, że żądania Hitlera wobec Polski dotyczące Gdańska i „korytarza pomorskiego” są nie do przyjęcia. W stolicy zaczęto przeprowadzać codzienne ćwiczenia obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej, tym bardziej, że tego samego dnia Hitler zajął Kłajpedę, litewski port morski o ważnym znaczeniu strategicznym.

24 marca poseł Juliusz Dudziński podczas obrad sejmowych zaapelował: „Nie oglądamy się na Zachód. Nie ludźmy się pozorami tego wzmoczonego aktywizmu politycznego, [...] musimy liczyć tylko na własną aktywność i własne siły”. W zaistniałej sytuacji rząd zdecydował się na utworzenie Funduszu Obrony Przeciwlotniczej zasilanego przez polskie społeczeństwo. Już po pięciu dniach zebrano gigantyczną kwotę 30 mln zł.

28 marca doszło do pamiętnej rozmowy ministra Becka z niemieckim ambasadorem Hansem von Moltke, która miała następujący przebieg:

„Beck: – Jakakolwiek interwencja niemiecka do zmiany statusu Wolnego Miasta Gdańska będzie uważana za agresję przeciw Polsce.

Moltke: – Pan chce prowadzić rozmowy na ostrzu bagnietów.

Beck: – Za waszym przykładem”.

► Kwiecień

1 kwietnia Maria Dąbrowska odnotowała w swym dzienniku: „Wielkie wrażenie deklaracji Chamberlaina o gotowości udzielenia wszelkiej pomocy Polsce w razie agresji na jej terytorium. [...] Wszystkie stronnictwa w Zamku. Postawa Polski jest nadzwyczajna, to bardzo umacnia na duchu”. W tym czasie w Niemczech sformułowana została tajna dyrektywa w sprawie przygotowania sił zbrojnych do wojny na lata 1939–1940. Mowa w niej była o przyszłej akcji „Fall Weiss”, dotyczącej uderzenia na Polskę.

3 kwietnia do Londynu przybył Józef Beck witany na peronie dworca Victoria przez angielskiego ministra spraw zagranicznych lorda Edwarda Halifaxa. Zwieńczeniem długich rozmów dyplomatycznych stała się deklaracja premiera Chamberlaina, który w Izbie Gmin mówił o przyszłym układzie z Polską, mającym zagwarantować obu państwom wzajemną pomoc na wypadek zagrożenia ich niepodległego bytu. Kilka dni później Hitler podpisał rozkaz agresji na Polskę (Fall Weiss), utrzymując instrukcje wojenne w największej tajemnicy.

W prasie polskiej pojawiła się wiadomość o tym, że 12 kwietnia, licząc sobie już 28 lat, „padł najstarszy i naj-

sławniejszy koń polskiej kawalerii” – legendarny „Krechowiak”, zrosnięty ze słynnym pierwszym pułkiem ułanów krechowieckich. „Obecnie skóra jego zostanie wypchana i „Krechowiak» po śmierci zajmie miejsce w muzeum”.

22 kwietnia Polska świętowała wielki sukces swoich sportowców, których trójka weszła do finału VI Mistrzostw Europy w Boksie. Nasza reprezentacja zdobyła Puchar Narodów dla najlepszej drużyny tych mistrzostw. Polscy zawodnicy wywalczyli jeden złoty medal (Antoni Kolczyński), trzy srebrne (Antoni Czortek, Józef Pisarski, Franciszek Szymura) oraz brązowy (Zbigniew Kowalski). Następne mistrzostwa miały odbyć się w Polsce w 1941 roku.

► Maj-Czerwiec

5 maja przed południem cała Polska słuchała płynącej z radioodbiorników mowy sejmowej Józefa Becka, który kategorycznie odrzucił żądania Hitlera dotyczące Gdańska i autostrady przez Pomorze, stwierdzając, że „Polska od Bałtyku odepchnąć się nie da”. W swoim wystąpieniu podkreślał, że „my w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jedna jest tylko rzecz w życiu państw i narodów, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor”. Będąc pod wielkim wrażeniem tych słów Maria Dąbrowska wspominała, że była to mowa monumentalna i krótka, wspaniale odcinająca się od „wielogodzinnych wygłupiań i wrasków Mussoliniego czy Hitlera”, mowa stanowiąca wyraz polskiej godności i niezłomnej woli narodu.

Serca Polaków radowały coraz to nowe relacje napływające z Wystawy Światowej otwartej w Nowym Jorku przez prezydenta Roosevelta i wybitnego fizyka Alberta Einsteina. W „Kurierze Porannym” pisano, że wśród setek wystawców wielką popularnością cieszył się Pawilon Polski, który do 24 maja obejrzało co najmniej 200 tys. osób. Podziw i uznanie budziły osiągnięcia naszych rodaków w dziedzinie nauki, techniki i sztuki. Zwiedzający byli pod wrażeniem zwłaszcza występu słynnego polskiego tenora Jana Kiepury, baletu Karola Szymanowskiego „Harnasie” oraz uwertury koncertowej Stanisława Moniuszki pt. „Bajka”. Mogli też wziąć udział w odsłonięciu pomnika Władysława Jagiełły, będącego dziełem Stanisława Kazimierza Ostrowskiego.

Tymczasem do redakcji „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” nieustannie nadchodziły zgłoszenia do „batalionów śmierci”, akcesy kandydatów na „żywe torpedy”, a każdy z ochotników gotowych poświęcić swe życie dla ojczyzny pragnął pozostać anonimowy. Do 27 maja wpłynęło około tysiąca deklaracji. Oto niektóre z nich:

Pani A.P. z Zakopanego: „Przeszłam już jedną wojnę jako 14-letnia legionistka. Byłam 4 miesiące na froncie przy 5 dywizji piechoty. Mam za sobą 20 miesięcy służby wojskowej odbytej w latach 1919-1920 i 1921 [...]. Byłam jedną z najmłodszych legionistek. I dziś, gdy trzeba, poświęcam życie”.

Emeryt ze Lwowa: „Jako mężczyzna 60-letni nie jestem już zdolny do odbywania długotrwałych marszów z karabinem na ramieniu, czuję się jednak do tego stopnia zdrowym, nawet fachowo przygotowanym, abym mógł po krótkim przeszkoleniu skutecznie obsłużyć torpedę i w ten sposób oszczędzić przynajmniej jedno młode życie”.

► Lipiec

W lipcu przybywały do Gdańska coraz liczniejsze zastępy gestapo, na ulicach widać było wzmożony ruch pojazdów mechanicznych. Rozchodziły się alarmujące wieści o hitlerowskich zbrojeniach, o dążeniu Niemiec do przeobrażenia miasta w „obóz wojenny”. Polska prasa pisała, że członkowie SS zamiast sztyletów wyposażeni byli w bagnety, a na rękawach mieli naszywki z napisem „Heimwehr”. W dzienniku Stefana Roweckiego czytamy, że w okolicach Gdańska wznoszono fortyfikacje, mówiło się o budowie mostu przez Wisłę do Prus Wschodnich i o formowaniu niemieckiego ochotniczego korpusu wojskowego. Z dnia na dzień nasilały się napaści na Polaków, wzmaciała fala aresztowań i przesładowań, tak iż należało być gotowym na każdą ewentualność.

Wielkie oburzenie wśród społeczeństwa wywołała podana w prasie informacja o znęcaniu się policji gdańskiej nad 16-letnim chłopcem, harcerzem Pawłem Żołądkiem, aresztowanym ponoć za posiadanie wierszy o treści antyhitlerowskiej. Rodziców nie powiadomiono o przyczynach uwięzienia syna, który przebywał w osobnej celi i był maltretowany.

W połowie lipca na placu Powstańców w Katowicach odbył się niezapomniany koncert Jana Kiepury i słynnego barytona Jerzego Gardy, w którym uczestniczyło około 20 tys. osób. Tę niezwykłą imprezę artystyczną, z której dochód przeznaczono na Fundusz Obrony Narodowej, zwieńczyło chóralne odśpiewanie „Roty” Marii Konopnickiej. Sam Kiepura na balkonie swego pokoju hotelowego zaintonował kilka pieśni, a wśród nich tę najważniejszą – „Jeszcze Polska nie zginęła”. Zawtórowały mu tysiące głosów, dając tym samym najpiękniejszy wyraz patriotycznych uczuć.

► Sierpień

Według doniesień prasowych z początkiem sierpnia przez gęste nadgraniczne lasy powiatu frysztackiego przedarło się do Polski 50 młodych uciekinierów z Niemiec. Z nieukrywaniem zdziwieniem przyglądali się temu nieznanemu krajowi, który miał być ponoć tak ubogi, jak im wcześniej wmawiano, że brakowało w nim wszystkiego, zwłaszcza zaś żywności. Niebawem jednak przekonali się, że to kłamliwe pomysły hitlerowskiej propagandy, choć uciekając, byli

„przygotowani na to, że gorzej niż tam nie może być nigdzie”.

Nowojorskie pismo „Herald Tribune” przytoczyło wypowiedź byłego premiera Wielkiej Brytanii Antony’ego Edena w sprawie Gdańska. Potwierdzał on słuszność przyznania Polsce tego miasta „jako ekonomicznie i historycznie należącego do przestrzeni życiowej Rzeczypospolitej”, przypominając, że „Pomorze było zawsze polskie, nawet w czasach najokrutniejszej germanizacji i agresji pruskiej. Dostęp do morza przyznany został Polsce na zasadzie czternastu punktów Wilsona, które Niemcy sami uznali za słuszne. W sprawie Gdańska Polska nie może się zgodzić na żaden kompromis. Wysuwanie interesów Prus Wschodnich rzekomo zagrożonych przez odcięcie od Rzeszy nie wytrzymuje żadnej krytyki” (4 sierpnia).

W wielką patriotyczną manifestację przerodziły się obchody 6 sierpnia uroczystości 25-lecia polskiego czynu legionowego. Kroczące wśród ulewnego deszczu ku Wawelowi zastępy legionistów przedelfowały przed kryptą Marszałka Piłsudskiego, a tysięczne tłumy (180 tys. osób) mimo złej aury trwały w radosnym uniesieniu, chcąc uczcić tych, którzy na ostrzach bagnętów przynieśli Polsce niepodległość. Wzruszony widokiem jednoczącego się narodu płk Stefan Rowecki wyznał: „Warto było przejść całą naszą żołnierską drogę legionową [...], warto było ponieść trudy i rany, i to nie tylko dla Polski, aby była wolna, ale i dla tych Polaków, którzy tak umieją odczuć czyn nasz i którzy tak kochają naszą wolność i swobodę”. Gdy Kraków świętował, Niemcy wznosiły umocnienia wzdłuż granicy z Polską, a do Gdyni powrócił ze swojej inauguracyjnej podróży transatlantyk „Sobieski” – najszybszy okręt pływający między Bałtykiem a Ameryką Południową.

11 sierpnia miało miejsce spotkanie Hitlera z Carlem Burckhardtem, Wysokim Komisarzem Ligi Narodów, podczas którego kanclerz III Rzeszy wpadł w szal, czytając w zagranicznej prasie o tym, że „przegrał z Polską w »wojnie nerwów«” i że najlepszym sposobem na Führera jest stanowczość, jaką wykazuje polski rząd, nie idąc na żadne ustępstwa. Wówczas to wzburzony dyktator miał powiedzieć: „Niech się tylko wydarzy najdrobniejszy incydent, a zmiążdżę Polaków bez ostrzeżenia tak, że ślad po nich nie zostanie. Uderzę jak piorun z całą siłą zmotoryzowanej armii, o której Polacy nie mają żadnego pojęcia”.

14 sierpnia, w trakcie trwających w Moskwie rozmów między przedstawicielami Francji i Wielkiej Brytanii a rządem Związku Radzieckiego poruszona została kwestia możliwości włączenia na polskie terytorium radzieckich sił zbrojnych w razie agresji Niemiec na Rzeczpospolitą.

Nazajutrz, w 19. rocznicę zwycięstwa nad bolszewikami, określanego mianem Cudu nad Wisłą, w stolicy Polski odbyła się wielka defilada oddziałów wojskowych z udziałem prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego. W związku z obchodami Święta Żołnierza „Ilustrowany Kurier Codzienny” pisał: „Historia uczy nas, że

zwycięzać potrafimy [...] nawet w trudnych warunkach i w walce z przeważającymi siłami. Stąd czerpiemy naszą otuchę w przyszłość”.

Tymczasem minister Ribbentrop czynił usilne starania o jak najszybsze porozumienie z Moskwą w celu podpisania niemiecko-rosyjskiego paktu o nieagresji oraz rozpatrzenia kwestii polskiej. W tym czasie attaché wojskowi Francji i Wielkiej Brytanii nakładali stronę polską do przyjęcia propozycji Stalina, który gotów był w razie napaści Hitlera wkroczyć na teren Rzeczypospolitej z „pomocą zbrojną”. Szef Sztabu Głównego gen. Wacław Stachiewicz zdecydowanie odmówił wydania takiej zgody (18 sierpnia).

Na Śląsku Opolskim natomiast hitlerowcy coraz śmielej poczynali sobie z polską ludnością. Masowo odbierano paszporty, dopuszczano się kradzieży mienia, prześladowano i szykanowano tych, którzy przyznawali się do swojej polskości. Tak na przykład Polakowi Ignacemu Kwasowskiemu z Byczyny zasmarowano po raz czwarty okna smołą, a na ścianie domu umieszczono napis: „Pole”. Na fali niemieckiego terroru zamknięto wszystkie polskie biblioteki i czytelnie w Bytomiu, Strzelcach i innych miastach śląskich. Polskie książki konfiskowano też w instytucjach publicznych i prywatnych mieszkaniach bez udzielania jakichkolwiek wyjaśnień.

19 sierpnia radziecki minister spraw zagranicznych Molotow poinformował Berlin o możliwości przybycia Ribbentropa do Moskwy w celu zawarcia porozumienia między obu państwami. Tego samego dnia Józef Beck wezwał do siebie ambasadorów Wielkiej Brytanii i Francji, Howarda Kennarda i Leona Noëlowa, by oznajmić im, że Polska kategorycznie nie zgadza się na przemarsz armii radzieckiej przez nasze ziemie. W instrukcji zaś skierowanej do polskich placówek dyplomatycznych w Londynie, Paryżu i Moskwie stwierdził: „Jest rzeczą niedopuszczalną, aby te państwa dyskutowały o wyzyskaniu wojskowym terytorium innego państwa suwerennego: Polskę z Sowietami żadne układy nie łączą i nie jest intencją rządu polskiego taki układ zawrzeć” (19 sierpnia).

Charakteryzując coraz bardziej napięte stosunki polsko-niemieckie „Kurier Poranny” donosił: „Niemcy zrzuciły już maskę i w masie swojej występują wprost z żądaniem zagarnięcia polskich ziem zachodnich. [...] Od samego początku opinia polska wyrażała przekonanie, że żądanie Rządu Rzeszy włączenia Gdańska do Niemiec jest tylko pretekstem i wstępem do całkowitego zniszczenia Polski i osiągnięcia tą drogą hegemonii w Europie” (21 sierpnia).

22 sierpnia, podczas narady z dowódcami armii i SS Hitler wyznaczył termin ataku na Polskę na 26 sierpnia rano, uważając, że zbyt słaba Anglia nie będzie jej mogła pomóc, a Francja nie ruszy się z linii Maginota.

Następnego dnia na Kremlu doszło do podpisania paktu o nieagresji między III Rzeszą a Związkiem Radziec-

kim na okres 10 lat. Integralną częścią układu Ribbentrop–Molotow był dodatkowy tajny protokół, który mówił o podziale strefy wpływów, jaka powstałaby w wyniku działań wojennych. Według przyjętych ustaleń ziemie polskie miały zostać rozgraniczone między przyszłych okupantów wzdłuż rzek: Narew, Wisła i San. Kwestia niepodległości państwa polskiego uzależniona została od rozwoju przyszłych wydarzeń. W ten sposób, jak ujął to odlatujący z Moskwy Ribbentrop, „Führer i Stalin opowiedzieli się za przyjaźnią”.

W związku z rosnącym coraz bardziej zagrożeniem ze strony Niemiec, 24 sierpnia w Polsce rozpoczęto tajną mobilizację wojskową, która objęła 75 proc. stanu Wojska Polskiego. Nazajutrz podpisany został w Londynie traktat między Wielką Brytanią a Polską, mówiący o wzajemnej pomocy w razie ataku zbrojnego na któreś z układających się państw.

25 sierpnia Hitler oznajmił ambasadorom Wielkiej Brytanii i Francji, że kwestie Gdańska, „korytarza pomorskiego” oraz sytuacja mniejszości niemieckiej w Polsce domaga się natychmiastowego rozwiązania. W zamian za nieingerowanie Anglii w sprawę polską, obiecał nienaruszalność jej granic. W tym też dniu do Wolnego Miasta Gdańska wpłynął z „przyjacielską wizytą” pancernik „Schleswig-Holstein” wyposażony w potężne działa kalibru 280 mm.

27 sierpnia w rozmowie z posłami do Reichstagu Hitler oświadczył, że jeśli jego żądania względem Polski nie zostaną przez nią spełnione, wówczas wojna będzie nieunikniona, i to wojna „z użyciem najbardziej brutalnych, wręcz nieludzkich środków”.

W obliczu eskalacji konfliktu z Niemcami we wszystkich polskich miastach rozpoczęto kopanie rowów przeciwlotniczych. Jeszcze 28 sierpnia Francja i Wielka Brytania w dawanym Hitlerowi odpowiedziach zapewniały o gotowości wypełnienia swoich zobowiązań sojuszniczych wobec państwa polskiego, co w znacznej mierze uspokoiło elity rządzące II RP.

29 sierpnia Maria Dąbrowska odnotowała w swym dzienniku: „Wojna wisi już nie na włosku, ale na pajęczynie. Ale postawa społeczeństwa wspaniała”.

30 sierpnia ambasador Wielkiej Brytanii w Polsce Howard Kennard informował rząd londyński, że Polaków nie da się nakłonić do ustępstw na rzecz Hitlera, że wolą oni „raczej zginąć niż poddać się takiemu poniżeniu, zwłaszcza po przykładach z Czechosłowacją, Litwą i Austrią”. Tego samego dnia zdecydowano o przeprowadzeniu powszechnej mobilizacji w Polsce.

Nazajutrz, o 10.55 polski ambasador w Berlinie Józef Lipiński przekazał Warszawie 16-punktowy dyktat Niemiec wobec Polski, utrzymujący w mocy wcześniejsze żądania Führera.

31 sierpnia, o godzinie 12.40 Hitler wydał rozkaz ataku na Polskę, który miał nastąpić 1 września o godzinie 4.45.

► Wrzesień

Nadany 1 września dnia specjalny komunikat radiowy brzmiał: „Halo, tu Warszawa i wszystkie rozgłośnie Polskiego Radia. Dziś o godzinie 4.45 oddziały niemieckie przekroczyły granice Polski, łamiąc pakt o nieagresji”.

1 września pancernik „Schleswig-Holstein” rozpoczął ostrzeliwanie Westerplatte, a niemieckie bombowce wystartowały w kierunku polskich lotnisk, fabryk, węzłów komunikacyjnych i innych ważnych obiektów cywilnych oraz wojskowych. Armia niemiecka zaatakowała Polskę z czterech stron: 1) z Prus Wschodnich na Działdowo i Mławę, 2) z Pomorza Zachodniego na Chojnice i Czersk, 3) z Dolnego Śląska na Wieluń i Łódź oraz na Kłobuck i Częstochowę, 4) z Górnego Śląska na Pszczynę i Katowice. Wczesnym rankiem podpor. Władysław Gnyś zestrzelił pierwszy samolot nieprzyjacielski. Wtedy też rozpoczęła się czterastogodzinna, bohaterska obrona Poczty Gdańskiej.

W godzinach popołudniowych prezydent Rzeczypospolitej Ignacy Mościcki zwrócił się do narodu w pamiętnych słowach odezwy: „Nocy dzisiejszej odwieczny wróg nasz rozpoczął działania zaczepne wobec Państwa Polskiego, co stwierdzam wobec Boga i historii. W tej chwili dziejowej zwracam się do wszystkich obywateli państwa w głębokim przeświadczeniu, że cały naród stanie w obronie swojej wolności, niepodległości i honoru, skupi się dookoła Wodza Naczelnego i jego sił zbrojnych oraz da godną odpowiedź napastnikowi, jak to się już nieraz działo w historii stosunków polsko-niemieckich. Cały naród polski pobłogosławiony przez Boga, w walce o swoją świętą i słuszną sprawę, zjednoczony z Armią, pójdzie ramię przy ramieniu do boju i pełnego zwycięstwa”.

O męstwie i determinacji żołnierza polskiego w pierwszym dniu wojny zaświadcza odparcie przez Armię Modlin ataku wroga na umocnienia pod Mławą oraz zatrzymanie uderzenia niemieckiej 4 dywizji pancerniej przez Wołyńską Brygadę Kawalerii, która zniszczyła 70 czołgów i pojazdów pancernych nieprzyjaciela.

We wrześniu 1939 roku Polska znalazła się w sytuacji, w której, jak podkreśla historyk Andrzej Sowa, „żadna ówczesna armia świata nie sprostałaby połączonej agresji Wehrmachtu i o siedemnaście dni później – Armii Czerwonej. Kompromitacja militarna Francji w 1940 r., Armii Czerwonej w 1941 ukazały inny wymiar polskiego września. Oporu desperackiego, twardego, zaskakującego nieraz skutecznego... i beznadziejnego wobec zmowy sąsiadów i wiarołomnej bierności militarnej sojuszników...”.

W artykule wykorzystane zostały materiały historyczne zebrane w „Kronice 1939 roku” autorstwa Andrzeja Sowy (Warszawa 2000).

Władimir Bukowski odszedł 27 dni po Kornelu Morawieckim, którego śmierć opłakiwał. Już nikt z nas nie napije się z nim wódki, której niemało lało się, gdy przyjeżdżał na kolejne rocznice powstania „Solidarności Walczącej”... Pisarz, który 12 lat spędził w obozach karnych, prawnuk powstańca listopadowego, wydawał się niezniszczalny. Za mało wysiłku

włożyliśmy w ostatnich latach, by jego książki, będące kiedyś dla nas odkryciem, poznało także młodsze pokolenie. Niech więc teraz mają swój renesans. Poniżej fragment pogodnej w sumie opowieści Bukowskiego o pobycie... w psychuszcze z książki „I powraca wiatr”. Rozkoszujmy się tym niesamowitym tekstem, a potem sięgnijmy po resztę, pierwszy lub setny raz w naszym życiu...

Władimir Bukowski

Zrodziliśmy się, by wcielić w życie świat Kafki

Wpakowali mnie tutaj, by mnie zgnoić, izolować, uzyskać potwierdzenie mojej niepoczytalności i wysłać później do Leningradu. Ale, jak to się mówi, człowiek sądzi, Bóg rządzi... Oddział przypominał po prostu złodziejską melinę. Nie trzeba było specjalnie zachęcać sanitariuszy, by przynieśli wódkę, sami pytali, czy nie skoczyć czasem. Żeby tylko były pieniądze. Szklanka dla sanitariusza – reszta twoja.

Wezwano mnie do gabinetu. Przy biurku – kobieta w palcie. Leżą przed nią jakieś papiery i mój egzemplarz odezwy.

– Dzień dobry. Proszę siadać. Jak się pan czuje?

A, wszystko jasne – psychiatra. Od razu można się domyślić po uśmiešku: z takim pobłażaniem i wyrozumiałością uśmiechają się tylko psychiatrzy. I spojrzenie – jak gdyby na żuczka jakiegoś: „No, dokąd leziesz, głupi!”.

Z miejsca jakbym szklankę wódki łyknął – zwałił się na mnie Leningrad z jego tłumem obdartych szaleńców. „Nasz małutki Oświęcim”. Zapachniało nawet szpitalem.

► Psychiatra zawsze ma rację

Wszystko, co teraz powiem, każdy mój gest – przeinaczy i zapisze w historii choroby. I nie da się tego naprawić. Nie ma sensu dyskutować z psychiatrą. Oni nigdy nie słuchają, co mówisz. Słuchają, jak mówisz. Nie można się go

rażkować – będzie zapis: „Nadpobudliwy, chorobliwie skupiony na emocjonalnie istotnych dla niego tematach”. Aminozyrna pewna. Będziesz zbyt przygnębiony, ponury – zapisze depresję. Weselić się też nie można – „nieadekwatna reakcja”. Obojętność – całkiem fatalnie, zapisze „emocjonalną płytkość”, „ospałość” – symptom schizofrenii.

Nie wyglądać na spiętego, podejrzliwego, skrytego. Nie rozprawiać zbyt pewnie, zdecydowanie („przecenia nie własnej osoby”). Najważniejsze zaś – nie rozwlekać, odpowiadać szybko, jak najbardziej naturalnie. Wszystko, co teraz zapisze, będzie nieodwracalne, w żaden sposób później tego nie obalisz. Ona przecież pierwsza mnie widzi, więc jej uwierzą. Decydujący głos w psychiatrii ma lekarz pierwszego kontaktu...

I mówię serdecznym, rażącym głosem, jak do matki rodzonej:

– Dzień dobry. Dziękuję, na zdrowie nie narzekam.

Dwa, trzy rutynowe pytania: nazwisko, adres, rok urodzenia – sprawdzian na orientację. Co z nich wszystkich

za miernoty, wszyscy tacy sami. Zaraz zapyta, jaki dziś dzień. A jaki? Aha, 2 grudnia. Trzy dni do manifestacji. Nie, nie zapytała.

Uff, zdaje się, że pierwszą rundę wygrałem. Cóż z tego, skoro i tak wsadzą. Żeby tylko nie powpisywała zbędnych rzeczy, nadgorliwa suka.

– Hospitalizujemy pana zgodnie z dyspozycją głównej psychiatrii miasta Moskwy.

– Za cóż to? – zdumiewam się zupełnie naturalnie, jakbym od urodzenia nie widział szpitala. – Nikogo zdaje się nie zaczepiam. Nie rzucam się na ludzi, nie kłamię.

Ale jej nie wyprowadzisz w pole.

– No a to co? – mówi, pokazując mi tę przekłętą kartkę, i w jej wzroku ponownie pojawia się wyższość. Niby – znam was, psychicznych. Biega po mieście z ulotkami w kieszeni i jeszcze dziwi się, że go zwinęli. Normalny człowiek tym się nie zajmuje. I znowu nie ma sensu oponować. To nawet niebezpieczne. Psychiatra zawsze ma rację.

– Przecież dopiero ją znalazłem. Nie zdążyłem nawet przeczytać – mówię bardziej pro forma, żeby nie milczeć, bez cienia emocji. To wszystko jest już bez znaczenia. Najważniejsze – nic mi nie napisze. Ostatnia runda też należy do mnie. A tam, w szpitalu, wszystko zaczyna się od nowa. O tej kartce nagadam się jeszcze do znudzenia.

► „Polityczny” zmienia szpital

Dopiero po drodze, w ambulansie, łapiąc oddech po rozmowie, pomyślałem tęsknie: „Ech, mało pospacerowałem. Wszystkiego dziewięć miesięcy. Teraz można by działać i działać – czas ten dopiero nadchodzi”.

Jedno było dobre: sanitariusze trafili mi się z humorem i przez całą drogę opowiadaliśmy sobie na zmianę dowcipy o Leninie. Tak też podtoczyliśmy się pod wariatkowo – Miejski Szpital Psychiatryczny nr XIII w Lublino.

– No, wylaż, polityczny. Jesteśmy na miejscu.

Zwyczajny szpital miejski to po prostu raj w porównaniu ze szpitalem specjalnym, i mimo iż wpakowali mnie na oddział dla niespokojnych, z solidnymi zasuwami i ostrzejszym rygorem – oswoilem się już po paru dniach. Najlepszą dla mnie rekomendacją był fakt, że zabrano mnie z rozkazu KGB: nikt nie wątpił w moją normalność. [...]

Najrozsądniejszym rozwiązaniem dla władz byłoby po prostu wypuszczenie mnie, ale idiotyczny upór i pewność własnej wszechmocy zwiodły ich po raz kolejny. W sumie wyszło, że za naszą pochwałą demonstrację nikt nie został faktycznie ukarany (pozostałych zwolniono już do tego czasu. Kierując się nadal zwyczajem bicia jednego, by pozostałych trzymać w strachu, władze postanowiły za nic w świecie mnie nie wypuszczać. Zgnoić w domach wariatów.

W połowie stycznia przeniesiono mnie raptem do innego szpitala – nr V we wsi Troickoje, jakieś 70 kilometrów od Moskwy. Liczono, że w innym szpitalu lekarze

będą bardziej ustepliwi. Władze miały też na uwadze jeszcze coś innego: wiadomości o mojej sprawie dotarły do prasy zachodniej i obawiano się, by czasem zagraniczni korespondenci nie zaczęli mi składać wizyt. Nowy szpital zaś, słynna Stołbowaja, znajdował się poza granicami dozwolonej dla obcokrajowców strefy.

Ośrodek ten, wybudowany jeszcze na początku wieku, przeznaczony był do przymusowego leczenia za różne drobne przestępstwa: kradzież, prostytucję, spekulację, włóczęgostwo i inne „nietypowe” występki ludzi sowieckich. Znajdowało się tu co najmniej 12 do 15 tysięcy pacjentów. Większość stanowili naprawdę chronicznie chorzy. [...]

Dokonujący żywota paralitycy z wywalonymi językami, leniwi, powolni jak foki idioci, wychudzeni schizofrenicy, epileptycy z atakami co godzinę – i naturalnie na każdym oddziale nieliczne towarzystwo ludzi zdrowych, zupełnie normalnych, głównie moskiewskich złodziei: kieszonkowców, włamywaczy, rabusiów.

Wpakowali mnie tutaj, by mnie zgnoić, izolować, użyć potwierdzenie mojej niepoczytalności i wysłać później do Leningradu. Ale, jak to się mówi, człowiek sądzi. Bóg rządzi.

Moim towarzyszem podróży w ambulansie okazał się starszy już, doświadczony moskiewski złodziej Sańka Kaszyrow. Patrzył na mnie przez minutę badawczym wzrokiem, po czym nagle zapytał szeptem:

– Sżmal masz?

– Trochę mam – odpowiedziałem równie cicho.

– Dawaj, tobie zwiną przy kipiszu. Na dziś wystarczy, a jutro jakoś się zakręcimy – powiedział rzeczowo, wypychając moją dychę do pudełka zapalek. – Jestem niezłym szewcem, znają mnie tam wszyscy. Nie zostaniemy na lodzie.

Rzeczywiście, ledwo przyprowadzili nas do lekarki w izbie przyjęć, ta aż klasnęła w dłonie.

– Sania! Znowu do nas! Słuchaj, trzeba mi podreperować obcasy. Buty całkiem nowe, dopiero kupione. Ty do nas na długo? No, dokąd chcesz – znowu do 4b?

I wtedy dopiero zwróciła na mnie uwagę. Ale Sania, uprzedzając jej pytania, rzucił tylko:

– Ten też ze mną. Też do 4b.

I nie zaglądając nawet do moich akt, nie czytając wszystkich groźnych instrukcji KGB i zaleceń głównego psychiatry, lekarka skierowała mnie na oddział 4b. Ani badań, ani przepytowania, ani kipiszu. Ot, co znaczy przyjaźń z dobrym szewcem.

– To ja wpadnę pod wieczór, po dyżurze. Przyniosę buty, co, Sania? – krzyczała za nami.

– Dobra – burknął od niechcenia Sania.

Na oddziale podobnie – nie zdążyli nas jeszcze zaprowadzić, a już pielęgniarki otoczyły mojego Sanię jak dawno wyczekiwanego gościa i na wyścigi poczęły tłumaczyć mu coś o walonkach, pantoflach, szpilkach i flekach. Sa-

nia był rozrywany. Dobry szewc to w ogóle rzadkość w dzisiejszych czasach, a cóż dopiero 70 kilometrów od Moskwy. [...]

► Oddział jak złodziejska melina

Wspólnota zdrowych, jakieś osiem osób, składała się wyłącznie z otrząskanych złodziei, siedzących tu bynajmniej nie po raz pierwszy. Podczas gdy w naukowym świecie toczyły się spory na temat schizofrenii bezobjawowej, prowadzono badania i pisano rozprawy, moskiewscy krętacze prędko dostrzegali jej zalety. Zamiast przez pięć lat tłuc się po łagrach, rąbać lasy i gnić w karcerach, bez porównania lepiej jest przesiedzieć 6–8 miesięcy w wariatkowie. [...]

Oddział przypominał po prostu złodziejską melinę. Nie trzeba było specjalnie zachęcać sanitariuszy, by przynieśli wódkę, sami pytali, czy nie skoczyć czasem. Żeby tylko były pieniądze. Szklanka dla sanitariusza – reszta twoja. Już w pierwszy wieczór puściliśmy z Sańką w ruch moją dychę i po dwóch szklankach wódki z nieprzychylnego zupełnie oświałem. Sanitariusze ułożyli mnie troskliwie do łóżka, żeby lekarz dyżurny nie zauważył podczas obchodu, a sami polecieli do sklepu po nową partię. I tak codziennie. Z rana – zaprawa, przy obiedzie – chłanie, pod wieczór – porwiny. Taka karuzela.

Pewnego razu przepito wszystkie pieniądze, co do grosza. Nie została się jedna kopiejka, nawet sanitariusze nic nie mieli. I nikt już nie chce pożyczyć. Cóż począć? Wtedy jeden z kieszonkowców zaproponował sanitariuszom:

– Wypuście mnie na godzinę. Przejadę tylko autobusem ze szpitala do dworca i z powrotem – będzie forsa.

Słowo się rzekło. Przebrali go w normalne ubranie, a jeden z sanitariuszy pojechał z nim na wszelki wypadek, żeby ratować w razie wypadku: że niby wiozę wariata do szpitala, nie zwracajcie na niego uwagi. Rzeczywiście, wrócili po godzinie, w kieszeni – dwadzieścia pięć rubli. I znów bal na sto fajerek. [...]

Mój lekarz, Bologow, nie był człowiekiem odważnym ani pryncypialnym. Po prostu po orzeczeniu poprzedniego szpitala, że jestem zdrowy, prościej mu było je potwierdzić, niż obalić. Przyglądał mi się ze trzy tygodnie, parokrotnie wzywał na rozmowy. Wiedział naturalnie, że piję z sanitariuszami, kontaktuję się ze złodziejaskami, i stanowiło to dla niego najlepszy dowód mojej poczytalności – ani jedni, ani drudzy nie chcieliby ze mną obcować przy najmniejszych nawet objawach nienormalności. [...] Wydał więc orzeczenie, że nie uważa mnie za chorego. Po raz kolejny władze miały możliwość zwolnić mnie bez zbędnego szumu i znowu z niej nie skorzystały, a zamiast tego nieoczekiwanie w połowie lutego przeniosły mnie do Instytutu Serbskiego. [...]

► Zwidy i tyle

Daniil Romanowicz Łunc, szef IV (politycznego) Oddziału Instytutu Serbskiego, lubił sobie pogawędzić z odczytanymi chorymi o filozofii, o literaturze, szczególnie jeśli rozmowa toczyła się w obecności kolegów. Miło było błysnąć erudycją, cytując z pamięci autorów, o których współczesny obywatel sowiecki w ogóle nie słyszał, albo w najlepszym razie mógł przeczytać w „Słowniku filozoficznym”: „Burżuazyjny idealista, reakcyjny myśliciel takiego a takiego wieku. W swoich pracach reprezentował interesy klas wyzyskujących”. [...] Swymi grubymi, wypukłymi okularami i niewspółmiernie szerokimi ustami przypominał ogromną żabę, zwłaszcza gdy pod koniec naszych filozoficznych pogawędek mówił nagle w zamyśleniu:

– Ciekawe, co też dalej z panem będzie? – jak byśmy o tym tylko przez cały wieczór rozprawiali. [...]

Na wiosnę przysłali wreszcie na polecenie KC „bezstronną” komisję, składającą się z czterech profesorów i mającą rozwiązać moją zagmatwaną sprawę. [...] głosy rozłożyły się równo. Dwaj profesorowie stwierdzili „schizofrenię bezobjawową”, dwaj – nie stwierdzili.

Znowu przyszłość rysowała się niejasno. Znowu Łunc spoglądał na mnie z zaciekawieniem – cóż to ze mną teraz będzie? Tak przesiedziałem dwa lata. [...]

Jednak sprawa stała się zbyt głośna. Na polecenie Amnesty International przyjechał do Moskwy angielski prawnik pan Michael Ellman i zwrócił się do dyrektora Instytutu Serbskiego z prośbą o przyjęcie go i wysłuchanie. Prosił również o spotkanie ze mną. Nie wiem, o czym myślał w trakcie tej rozmowy pan Ellman, łatwo jednak przeszedł do toku myśli Morozowa.

Nie wiedzieć czemu, wcale go nie dziwiło, że jakiś obcokrajowiec żąda odeń sprawozdania, nie uznał tego nawet za „mieszanie się w wewnętrzne sprawy”.

– Bukowski? – zapytał, marszcząc czoło. – Nie przypominam sobie. Trzeba sprawdzić, czy taki chory w ogóle u nas figuruje – i zabrał się do wertowania papierzyśk na stole. – Ach, prawda. Stwierdzono u niego schizofrenię, ale kuracja bardzo mu pomogła. Wkrótce go zwolnimy.

W ten sposób niespodziewanie przerwany został ośmiomiesięczny naukowy spór o moje zdrowie psychiczne. Żadnych zaświadczeń, żadnych wyjaśnień, żadnych przeprosin. Na litość boską, ktoż pana tu trzymał? Zwidy pan ma i tyle...

Spoglądając na krzątającą się jak zwykle Moskwę, nie mogłem wyzbyć się uczucia nierealności. Zaiste, zrodziły się, by wcielić w życie świat Kafki. ■

Przedruk za: „I powraca wiatr”, „Znak”, 1990 rok.
Źródłytytuły pochodzą od redakcji „NP”.



Małgorzata Matuszak

Czym jest... Wigilia

Etymologicznie słowo „wigilia” pochodzi od łacińskiego „vigilia”, oznaczającego „czuwanie, straż nocną”, związanego z czasownikiem „vigilare” – „nie spać, spędzać noc na czuwaniu, być przezornym i ostrożnym, troskliwym, pilnować”. Początkowo wigilie praktykowano przed wszystkimi uroczystościami kościelnymi, co związane było ze starożytnym sposobem określania doby – dzień liczono wówczas nie od północy do północy, lecz od zmierzchu do zmierzchu. Wigilie znane były już w Starym Testamencie. Izraelici nazywali je „wieczorem” i obchodzili przed każdą uroczystością, a nawet przed każdym szabatem; były fetowane również w Nowym Testamencie – rozpoczynały obchód święta i miały na celu przygotowanie świątecznych potraw, a przede wszystkim odprawienie przypisanych modlitw i ceremonii rytualnych.

Wigilie w znaczeniu liturgicznym mają obecnie najstarsze święta, przy czym najważniejsze są Wigilia Paschalna, poprzedzająca Uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego, nazwana przez św. Augustyna „matką wszystkich wigilii”, i Wigilia Bożego Narodzenia, poprzedzająca Uroczystość Narodzenia Pańskiego.

Wieczera wigilijna przypomina dawne agapy, na których chrześcijanie gromadzili się w wieczór przed dniem świątecznym, by przez czuwanie, modlitwy i śpiewy przygotować się na obchody święta. Nazwa „agapa” związana jest z greckim słowem „agape”, oznaczającym najwyższą formę miłości – Boga do człowieka i ludzi do Boga oraz wzajemną miłość do bliźniego.

Każda wigilia związana była tradycyjnie z postem. Dawna wigilia, czyli nocne nabożeństwo przygotowujące do właściwej uroczystości, miała bowiem charakter pokutny. Wprowadzała w modlitewny nastrój i była przypomnieniem prawd właściwych dla danego święta. Poszczenie, poświęcenie zatem ciała, ułatwia duszy wejście w misterium świąt, w przestrzeń Boga. Integralną częścią postu była też jałmużna – wierzone, że temu, kto sam zasmakował nędzy, łatwiej przyjdzie dzielić się z innymi tym, co posiada. Choć w Wigilię formalnie dziś post już nie obowiązuje, w polskich domach najczęściej szanuje się tę tradycję i wigilijna wieczerza składa się z potraw postnych.

Z Wigilią i wieczerzą wigilijną związanych jest wiele zwyczajów i obrzędów. Trudno byłoby je tu wszystkie

wymienić, trzeba jednak podkreślić, iż każdy z nich niesie ze sobą przesłanie, ma wymiar symboliczny. Bożonarodzeniowa, polska tradycja łączy w sobie zwyczaje chrześcijańskie z pogańskimi, przede wszystkim dawnych Słowian, zwyczaje, którym Kościół katolicki nadał nowy sens i wypełnił własną treścią.

Najważniejszym i kulminacyjnym momentem wieczerzy, nieznanym poza terenami dawnej Rzeczypospolitej, jest łamanie się opłatkiem. Nazwa „opłatek” pochodzi od łacińskiego słowa „oblatum” oznaczającego „dar ofiarny”. Jego symbolika nawiązuje do

WIGILIA BOŻONARODZENIOWA TO WIECZÓR SZCZEGÓLNY. ZWŁASZCZA DLA POLAKÓW.

TO FENOMEN POLSKOŚCI, NASZEGO
DZIEDZICTWA I HISTORII KULTURY.

elogiów, zwyczaju polegającego na wzajemnym obdarowywaniu się chlebem ofiarnym, i odwołuje się do Eucharystii. Służy do wyrażania sobie nawzajem miłości. Dzieląc się opłatkiem, zbliżamy się do siebie, dajemy wyraz wdzięczności, wzajemnego poświęcania się, odpuszczenia win i chęci dzielenia się efektami swojej pracy. Łamanie się opłatkiem oznacza także dobrobyt, wiarę w to, że ten, kto się nim dzieli, będzie miał tyle chleba, by mógł dzielić się nim z innymi.

Wigilia bożonarodzeniowa to wieczór szczególny. Zwłaszcza dla Polaków. To fenomen polskości, naszego dziedzictwa i historii kultury, żaden inny naród nie wykształcił bowiem tak bogatej obrzędowości tego świętego dnia jak Polska. Zofia Kossak pisała wręcz, że „w oczach wielu Polaków przesłania właściwe święto. Staje się treścią zamiast bycia wstępem”. Istotnie, choć jest tylko wstępem do największego wydarzenia zbawczego, jakim jest Narodzenia Jezusa, Polacy uważają ją wręcz za najważniejszy dzień w roku. Ukazujący nam wielką, nieogarnioną miłość Boga do człowieka, co wyraża kapłańska modlitwa: „Rodzisz się, Panie, by niebo dać ludziom / A jako człowiek jednym z nas się stałeś / Oświeć umysły i serca pociągnij / Więź miłości”.

Antoni Opaliński (PR24)

Olga Doleśniak-Harczuk



Diabeł lubi bałkańską sambę

Kobieta w roli
Mefistofelesa,
neurotyczny Faust
w zakrwawionym kitlu
i akcja przeniesiona
gdzieś w rejonach
śródoziemnomorskich. Do
tego bałkańskie rytmy
à la Emir Kusturica,
korowód transwestytów
tańczących sambę
nad dyskotekowo
wystylizowaną
Małgorzatą i teatralne
deski przysypane
warstwą ziemi.
„Urfaust” w reżyserii
Thomasa Wellemeyera,
wystawiany od
początku października
w Nationaltheater
Weimar, to spektakl,
który trafia i do
pokolenia Merkel, i do
dzieci Instagrama.

Jest jeszcze coś. Atmosfera miejsca. Weimar to Johann Wolfgang von Goethe, Goethe to Faust. Stary, metafizyczny „Faust” starego Goethego. Z „Urfaustem” jest inaczej. Jest jak zapis młodości, tu nie o zakład Boga z Szatanem idzie i nie o głód wiedzy, lecz o miłość. Zaprogramowaną na nieszczęście, czerpiącą jeszcze nie z doświadczeń, lecz z obserwacji samego Goethego. Sądowych obserwacji. Urfaust to historia z katem w tle.

► Zanim napisał o diable

„Urfaust”, czyli pierwotna wersja „Fausta”, uważanego za najbardziej niemiecki z niemieckich dramatów i jedyne godnego konkurenta dzieł Szekspirowskich, powstał w latach 1772–1775, w tym samym czasie co „Cierpienia młodego Wertera”. Goethe był przyjmowany za Wertera z podobną histerią, z jaką dziś fetuje się młodych celebrytów. Nieszczęśliwa miłość dobrze się sprzedawała. Żniwo małej książeczki było zabójcze. Ofiary zawodów miłosnych sięgały śladem Wertera po rozwiązania ostateczne. Prerażone falą postwerterowskich samobójstw władze postanowiły działać. W 1775 roku radni Lipska zakazali rozpowszechniania książki, zakaz zniesiono pół wieku później, jeszcze za życia autora zamieszkania. Fani Wertera demonstracyjnie nosili niebieskie fraki i żółte kamizelki (poza Lipskiem oczywiście, gdzie sporządzono również listę werterowskich ubrań zakazanych), a szał na Weltschmerz przybierał kształt o wiele bardziej destrukcyjny niż dzisiejsze instagramowe fantazje na temat Joaquina Phoenixa vel Jokera tańczącego na schodach Gotham City.

Sam Goethe też nieźle rozrabiał i nie chodzi bynajmniej o liczne romanse przenoszone później na karty kolejnych dzieł, lecz o pierwsze lata na dworze weimarskim, gdzie wślawił się m.in. mocno zakrapianymi hulankami. Już wcześniej zresztą we Frankfurcie nad Menem, zanim zaczął się piąć po szczeblach urzędniczej kariery na dworze księcia Saksonii-Weimar-Eisenach, miał Goethe opinię nieznosnego. Johann Gottfried Herder nazywał go nawet „młodym rozzuchwalonym lordem na okropnie szurających nogach”. A później, wraz z pędzącą karierą, przyszła proza życia, z jednej strony pokaźne dochody, zaszczyty, nadanie szlachectwa, włączenie w skład Tajnej Rady Księstwa i piękny dom przy Frauenplan, z drugiej narastająca frustracja związana z zastojem twórczym. Geniusze też wpadają w czarne dziury.

► Gretchen czeka na śmierć

Był więc Weimar dla Goethego drogą do gwiazd i klatką, z której wymykał się pod byle pretekstem, by naładować baterie. Zanim jednak zaczęły się one wyczerpywać, był „Urfaust”. I 22-letni Goethe terminujący we Frankfurcie jako adwokat. To tam narodziła się idea nowego „Fausta”. I Małgosia (Gretchen), nieszczęsna ukochana doktora. Małgosia istniała naprawdę. W prawdziwym świecie nazywała się Zuzanna Małgorzata Brandt. Była sierotą, posługiwała w gospodzie „Pod jednorożcem”, przygarnięta liściowicie przez niejaką wdowę Braun. Jak wiemy ze źródeł, w gospodzie Zuzanna Małgorzata poznała w 1771 roku pewnego pomocnika mistrza złotnictwa, który podróżował z Holandii do Rosji. Dziewczyna spędziła z nim noc. Później podczas procesu opowiadała, że przybysz uwiódł ją i omotał, dosypując do wina jakiś proszek, tak iż „poczuła taką słabość, że nie mogła się oprzeć, jakby sam diabeł zadziałał”. Jej złotnik kilka dni po diabelskiej nocy udał się w dalszą podróż, nie znała ani jego imienia, ani miejsca zamieszkania. Zostawił jej jednak pamiątkę. Brandt ukrywała przed siostrami i chlebodawczynią swój stan. Kiedy zorientowano się, że panna może się spodziewać dziecka, wysłano ją do lekarza, ten jednak ciąży nie stwierdził, tylko na wszelkie dolegliwości zalecił picie naparów ziołowych. Kiedy była w siódmym miesiącu ciąży, kolejny lekarz zbadał Zuzannę Małgorzatę, ale i on nic nie zauważył, mimo że w tamtym czasie surowa kara groziła również za ukrywanie stanu błogosławionego. Wdowa Braun, widząc, co się dzieje, zagroziła dziewczynie denuncjacją. Zuzanna Małgorzata jednak milczała. Bóle zaczęły się miesiąc później. W pralni. Źródła wskazują, że poród był przedwczesny, a dziecko mogło przyjść na świat martwe. Brandt w szoku miała jednak chwycić noworodka za gardło, co zdaniem oskarżyciela było faktyczną przyczyną śmierci chłopca. Na jej niekorzyść przemawiało to, że małe miało podrapaną twarz i ślady duszenia. Po wszystkim kobieta zakopała ciało noworodka za domem i uciekła do Moguncji. Następnego dnia wyczerpana i zrezygnowana wróciła do Frankfurtu, została pojmana przez strażę i odstawiona do więzienia, a stamtąd do szpitala. Pięć dni później pokazano jej zwłoki dziecka, Brandt krzyknęła: „Panie Jezu, to moje dziecko, to ja podniosłam na nie rękę!”. 7 stycznia 1772 roku zapadł wyrok: kara śmierci przez ścięcie mieczem. Egzekucję wykonano tydzień później.

Po panie Brandt zostało 335 stron akt sądowych we frankfurckim archiwum i historia Małgorzaty przeniesiona przez młodego Johanna Wolfganga Goethego na karty „Urfausta”. Goethe miał wiele możliwości, by śledzić proces dzieciobójczyni. Sekretarz sądowy Johann Heinrich Thym był nauczycielem Goethego i jego siostry, lekarze, którzy badali w szpitalu pannę Brandt, byli lekarzami domowymi rodziny Goethe. Młody adwokat z zacięciem literackim otrzymał ponadto kopie akt procesowych.

► Margot, nie leć do ognia

Historia panny Brandt musiała wyrzucić na nim spore wrażenie, skoro uczynił z niej centralny motyw „Urfausta”. Przyjmuje się, że napisana prozą scena w więzieniu, najstarsza część dramatu, po-

i rozpacz porzuconej kobiety. W pierwszych scenach posłuszna, nobliwa, zapięta pod szyję, rozmodlona, w kolejnych już z rozwianym włosiem, w minuskience świecącej blaskiem cekinów, skazana na potępienie, składająca w błagalnym geście ręce przed figurką Madonny. Jakie to proste. Jeszcze chwilę temu była święta i śpiewała (po hiszpańsku!) w swej izdebce balladę o wierności króla Thule, a teraz grzęźnie w ziemi i prochu, odarta z godności. W uszach pobrzmiwają jej słowa Elżbietki, te o Basii, która „doigrała się nareszcie [...]”. Oto jedząc, dwie żywi”. I słowa umierającego brata Walentego: „Zaczęłaś dzisiaj z jednym pokątnie. Wkrótce ci drugi głowę zaprzątnie. A gdy się oddasz naprzód dwunastu, Oddasz się potem całemu miastu”.

Za chwilę zleci się tłum, by wytknąć ją palcami, i tak jak grzeszna Basia będzie „w kruchcie śpiewać gorzkie żale”. Nie będzie śpiewu. Będzie

WEIMAR BYŁ DLA GOETHEGO DROGĄ DO GWIAZD I KLATKĄ, Z KTÓREJ WYMYKAŁ SIĘ POD BYLE PRETEKSTEM, BY NAŁADOWAĆ BATERIE. ZANIM JEDNAK ZACZEŁY SIĘ ONE WYCZERPYWAĆ, BYŁ „URFAUST”. I 22-LETNI GOETHE TERMINUJĄCY WE FRANKFURCIE JAKO ADWOKAT. TO TAM NARODZIŁA SIĘ IDEA NOWEGO „FAUSTA”.

wstała tuż po egzekucji frankfurckiej Zuzanny Małgorzaty. Cała atmosfera „Urfausta” skłania do uczucia litości dla nieszczęsnej nastolatki (w dramacie Małgorzata ma 14 lat) uwiedzionej przez starszego mężczyznę. Naiwnej, prostej dziewczyny, która niczym ćma leci wprost w płomień świecy. Faust jest jej kochankiem, nadzieją, całym światem, zagładą. Mefisto ułatwia potajemne schadzki, podsuwa kosztowne prezenty, wygładza teren pod tę miłość okazującą się miłością jednostronną i destrukcyjną. Faust pożąda i dobrze się bawi, kiedy robi się za gorąco, ucieka. Małgorzata zostaje sama, z hańbą, z krwią matki na rękach, ze świadomością odrzucenia społecznego, w końcu – z ciałem martwego dziecka. Ich dziecko. Scena w więzieniu kończąca dramat jest jedną z najmocniejszych w niemieckiej literaturze. Krew płami nie tylko ręce Małgorzaty dzieciobójczyni, lecz także jej kochanka, Henryka Fausta, który przypomniałszy sobie o dziewczynie, wpadł po nią do więzienia. Jak po kawę w drodze do korpo. I tak to właśnie wygląda na deskach Weimarer Nationaltheater. Grającą rolę Małgorzaty Rosa Falkenhagen ma w sobie naiwność dziecka

dziecko. I zbrodnia. Fausta nie ma. Odleciał z Mefistem w Góry Harzu, szaleje z wiedźmami. Korzysta z życia. Wpadnie jeszcze do więzienia, by uciszyć sumienie, ale oczy Małgorzaty obróć się ku górze. Nie zostanie jednak ku rozczerwowaniu Mefista potępiona, lecz zbawiona. Nie będzie kawy w drodze do korpo. Faust wyruszy w dalszą drogę, bez swojej Małgosi. I tak byłaby tylko balastem w drodze do absolutnego oświecenia. Historia, która w ostatecznej wersji dramatu jest jednym z wątków, tu stanowi jej oś. Reżyser Thomas Wellemeier odświeża „Urfausta”, miksując epoki, style, gatunki muzyczne, powierza rolę Mefista kobiecie, wprowadza w najbardziej niemiecki dramat wszech czasów śródziemnomorski wiatr, ale nie obdziera go z powagi i to nawet wtedy, gdy na scenę wpada grupa transwestytów śpiewająca z Mefistem radosną „Wandering Stars” Shantela.

Główną rolę powierzono młodemu aktorowi, Marcusowi Hornowi. Wtedy Goethe był młody, więc i jego doktor jest młody. Faust Horna od początku wzbudza irytację, jeżeli takie było zamierzenie reżysera, serdeczne gratulacje. Główny bohater

to niedojrzały chłopiec bez planu na siebie, rozkapryszony dzieciak mażący na złość światu sztuczną krwią ściany futurystycznego laboratorium. Ten doktor wygląda jak model z reklamy garniturów Armaniego, ale uwodzenie to nie jego bajka. Faust Horna to kochanek XXI wieku. Skoncentrowany na sobie, rozmyty, mdły, wycięty z żurnala, plastikowy towarzysz lalki Barbie. Małgorzata nie jest jednak typem Barbie, nawet w tych błyszczących sukienkach nie przypomina plastikowej lali z pudełka. Żyje. A na deskach weimarskiego teatru wpada w sidła Fausta tylko dlatego, że tak chciał mistrz Goethe. Panna Brandt miała swojego złotnika, a Małgorzata musi mieć swojego doktora. Niezbędne ogniwa miłosnej tragedii. Nic ponadto. „Ilu ja takich Faustów w życiu spotkałam...” – wzdycha starsza pani czekająca na odbiór płaszcza po spektaklu. „Tak, a podobno dziś są jeszcze gorsi!” – odpowiada jej towarzysza. Za ścianą ekipa techniczna szerokimi szuflami zgarnia ziemię ze sceny. Ile to potrwa? – Około pięciu godzin. Mamy tu sporo sprzątanania, ale reżyserowi zależało na tej

Sorokinę wykonującą utwór „Zu Asche, zu Staub” („W proch, w pył”) w serialu „Babylon Berlin”, ale taki tradycyjny, ucharakteryzowany jak Klaus Maria Brandauer w adaptacji „Mefista” Tomasza Manna. Mefisto o białej twarzy i mocno zarysowanych, szpiczastych brwiach, diabeł, którego można się przestraszyć, a nie taki, który tańczy sambę z transwestytami. Pytanie, który jest dziś bardziej na czasie. I który potrafi lepiej zwodzić. Pytanie nie mniej intrygujące od tego, dlaczego Johann Wolfgang von Goethe, już jako tajny radca na dworze Carla Augusta, poproszony o opinię, opowiedział się za karą śmierci dla Anny Cathariny Höhn, służącej, która tak jak lata temu panna Brandt zabiła swojego syna tuż po urodzeniu. Historia panny Höhn była nie mniej literacka od Małgorzaty-Katarzyny. 22-letni Goethe bolejący nad losem Małgorzaty i 34-letni Goethe decydujący o ścięciu Anny Cathariny Höhn, której to sam władca chciał w przypływie reformatorskich planów zamienić karę śmierci na dożywocie. „Antonio wyparł Tassa. Polityk poetę” – skwitowała tę dwoistość natury Goethego znawczyni jego

TO CO WIEMY O ŻYCIORYSIE HISTORYCZNEGO DOKTORA FAUSTA, DAJE WRAŻENIE
PEWNEJ SPRZECZNOŚCI. Z JEDNEJ STRONY TYPOWY ŻYCIORYS OSZUSTA AWANTURNIKA.
CZARNOKSIEŻNIK, NEKROMANTA, LEKARZ. JEDNAK CHOĆ TAKICH WĘDROWNYCH
CZARNOKSIEŻNIKÓW, MAGÓW BYŁO W TEJ EPOCE WIELU, TO FAUST Z JAKIEJS PRZYSZYŃ
ZAPADŁ W PAMIĘĆ ZNANYCH POSTACI.

ziemi. Scena wyłożona jest folią, ziemia dobrze się na niej trzyma, ale i tak nie można tego wszystkiego tak po prostu zrolować, jeszcze tu spędzimy kilka godzin – odpowiada członek ekipy.

► Który diabeł (Goethe) straszniejszy?

Rozczarowane Faustami swego życia panie już wyszły, w teatrze wciąż unosi się ten charakterystyczny zapach świeżej ziemi do kwiatów. Ziemia jako łącznik między tym co ludzkie i zawodne a tym co boskie. Jeszcze godzinę temu na ogromnym ekranie unoszącym się nad ziemią pokazano twarz Jezusa, w Weimarze Syn Boży wyręcza chór. Rozlega się przesywające: „Dies irae, dies illa / Solvet saeculum in favilla”. Potem twarz Zbawiciela niknie, z ekranu wychyla się Mefisto. Jednak nie taki jak na scenie, brawurowo zagrany przez aktorkę Annę Windmüller, przypominający wyglądem Svetlanę

biografii Sigrid Damm. Niemcy dopiero w 1929 roku dowiedzieli się o tym wątku z biografii wielkiego klasyka. Przypieczętowany wyrok śmierci. Na Małgorzatę 2.0.

► Zanim pojawił się bohater...

Zanim na scenie pojawił się bohater, istniało już marzenie. Marzenie grzeszne, dodajmy – o przekroczeniu ograniczeń nałożonych na człowieka przez Stwórcę. Komentatorzy dzieła wielkiego poprzednika Goethego, elżbietańskiego dramaturga Christophera Marlowe’a, zwracali uwagę na związki mitu faustowskiego z postacią Szymona Maga. W Dziejach Apostolskich Szymon chce kupić od uczniów Chrystusa dar udzielania Ducha Świętego, nie rozumiejąc, że gest nakładania rąk nie jest magicznym zabiegiem, lecz tylko symbolem mocy otrzymanej od Zbawiciela.

Według tradycji zapisanej w apokryfach miał odbyć ze świętym Piotrem „pojedynkę na cuda” przed obliczem cesarza Nerona. Czarnoksiężnik popisywał się lewitacją, lecz wskutek modlitw Apostoła spadł z dużej wysokości. W gnostycznych opowieściach o Szymonie Magu, które w II wieku zapisał św. Ireneusz, są obecne motywy, które znamy z kolejnych wersji opowieści o Fauście z inkarnacją Heleny na czele.

Słedzenie tropów, które po stuleciach złożyły się na arcydzieło Goethego, mogłoby być fascynującą wędrówką przez dzieje naszej cywilizacji. Znalazłoby się tam miejsce na zmagania świętego Augustyna z manicheizmem, średniowieczne spory o interpretację Biblii i korzenie reformacji. Kto chce, może do tego dotrzeć, my tymczasem zatrzymajmy się na progach renesansu. Szkolna wiedza, a raczej to co zostało z niej w czasach szybkiej wiedzy z Wikipedii, wciąż jeszcze potrafi rozgraniczać „ciemne” i „kościelne” wieki średnie od radosnego, humanistycznego odrodzenia. Nic bardziej mylnego. Renesans posiada swoją ciemną stronę – to epoka poszukiwań i ślepych ścieżek, czas nie tylko geniuszów sztuki, lecz także szarlatanów, czarowników, podejrzanych obieżyświatów i poszukiwaczy kamienia filozoficznego. Zapewne jednym z takich renesansowych sprzedawców marzeń był człowiek, którego imię dało tytuł arcydziełu.

Historyczny Faust, dokładnie Johann Georg Faust, pochodził prawdopodobnie – to chyba najważniejsze słowo w tej biografii – z Knittlingen w Wirtembergii, chociaż są też przekazy, które wskazują na inne miejsca pochodzenia, m.in. okolice Weimaru. Miał żyć w latach 1480–1540. Był zatem świadkiem początków reformacji i okrutnej wojny chłopskiej w Niemczech. Zapewne w jakichś jarmarcznych drukach czytał o pierwszych wrażeniach z odkrywanego właśnie Nowego Świata. Mimo że tradycja kazała mu później występować przed obliczami możnych tego świata, sam pochodził z warstwy chłopskiej – być może, jak zauważył jeden z polskich autorów, jego życiorys oddaje jakieś aspiracje tej grupy. To co wiemy o życiorysie historycznego doktora Fausta, daje wrażenie pewnej sprzeczności. Z jednej strony typowy życiorys oszusta awanturnika. Czarnoksiężnik, nekromanta, lekarz, czasem wędrowny wykładowca. Pojawia się tu też polski ślad, bo w swoich peregrinacjach tajemniczy Niemiec miał też trafić do Krakowa. Co więcej, to właśnie w stolicy jagiellońskiego mocarstwa nauczył się podstaw czarnej magii. Stąd w polskiej tradycji szukano jego związków z postacią doktora Twardowskiego. Świadcetwo

o krakowskich naukach maga z Wirtembergii pochodzi od nie byle kogo – zapisał je Filip Melancton, wybitny humanista i przyjaciel Lutra. I tu właśnie miejsce na wspomnianą wyżej sprzeczność. Bo takich wędrownych czarnoksiężników, magów było w tej epoce wielu. Ale Faust z jakiejś przyczyny zapadł w pamięć znanych postaci. Mamy więc opowieści o wyganianym z kolejnych miast podejrzanym oszuście, ale też tradycję o wystąpieniach przed cesarzem i pracę jako lekarza króla Francji, wreszcie pochwałę jednego z wielkich uczonych epoki Joachima Camerariusza: „Faust jest lekarzem jak Paracelsus, astrologiem jak Nostradamus, mistykiem jak Tauler, magiem jak Orfeusz, matematykiem jak Pitagoras, lingwistą jak Reuchlin, znawcą kobiet jak Boccaccio i znawcą ludzi jak Luter”.

Znany z wielu wersji traktat magiczny przypisywany Faustowi nosił tytuł „Höllenzwang” (czyli „Zmuszanie Piekła”). Kolejne wydania sięgały „oświeconego” XVIII wieku. Goethe musiał się nieźle bawić przy lekturze.

► Cena za przekraczanie granic

Bez względu na to, czy opowieści o czarnoksiężniku podkreślały jego mądrość czy robiły z niego hochsztaplera, koniec zawsze okazywał się marny. Skończył źle, naturalnie z powodu kontaktów z siłami nieczystymi. Za wiedzę alchemika znajomość tajników astrologii i sztukę nekromancji trzeba było zapłacić. Epoka bywała mroczna i miała swoje sekrety, ale miała też zasady. Taki życiorys musiał się skończyć jak moralitet. Tak też kończy się wydana pod koniec XVI stulecia we Frankfurcie „Historia Doktora Fausta”. Anonimowe dzieło wydane przez protestanckiego drukarza Johanna Spiesza pokazuje Fausta tym razem jako katolika i grozi, do czego prowadzą „papistowskie” herezje. Książka stała się szybko bestsellerem, kolejne jarmarczne wydania rozchodziły się po Europie. Pojawiło się też wydanie angielskie. I tu następuje ten „szekspirowski” moment – czyli chwila, kiedy ludowa, popularna opowiadka trafia w ręce utalentowanego twórcy. Christopher Marlowe. Elżbietański dramaturg, sam trochę awanturnik i trochę wolnomyśliciel, dostrzegł w historii o upadłym czarnoksiężniku materiał na dramat człowieka, który chce przekroczyć granice wyznaczone przez Boga i musi za to zapłacić. To jeszcze nie było arcydzieło Goethego, ale to był już wielki dramat. Historyjka stała się literaturą. W „Urfauście” to jeszcze historyjka zawięzanej miłości z finałem w więziennym lochu. Jest jednak i zbawienie. I tego się trzymajmy. ■

Andrzej Szpulak

Nie jestem pewien, czy rzeczywiście dałoby się dziś podzielić polskie społeczeństwo na inteligencką elitę i prosty lud. Wydaje się, że pasuje to bardziej do czasów, w których Wyspiański pisał swoje genialne „Wesele”, aniżeli do pełnej paradoksów współczesności. Ale niezależnie od tego, czy się da, czy też nie, to ów podział funkcjonuje w sposobie naszego myślenia i mówienia o samych sobie i o sobie nawzajem. Można więc z tego wnosić, że wielki krakowski dramaturg dobrze odczytał polską samoświadomość, niezależną od światopoglądowych i politycznych rozbieżności. Na jej prawach profesor uniwersytetu o konserwatywnych przekonaniach może dziś utożsamiać się z ludem, zaś emerytowany sierżant ludowego wojska z inteligencją. Na jej prawach w języku zaroilo się od określeń w rodzaju „lud smoleński” lub „łżeelita”.

Jaki straszny lud!

Na bliskim mi, a także ważnym poletku filmowym o instrumentalnej użyteczności powyższej opozycji dla stworzenia fundamentów ideologii władzy w III RP można się przekonać, gdy obejrzy się – tak jak ja w ramach moich obowiązków akademickich – wszystkie filmy fabularne zrealizowane w Polsce po 1989 roku, a dotyczące tematyki czasów stalinowskich. Nie to żeby świadomość tej użyteczności była jakąś intelektualną rewelacją – kto żyje z otwartymi oczami, ten zawsze ją dostrzegał – ale skala zjawiska i żelazna konsekwencja, z jaką polscy filmowcy realizowali swoją „państwotwórczą” misję, budzi nawet pewien rodzaj podziwu. W dobie niczym nieskrępowanej wolności słowa aż tak wzorowa jedność!

► Dwa obrazy, jedna optyka

Już w 1990 roku powstały dwa filmy, które w pełni zrealizowały nową pedagogikę, dodajmy, filmy artystycznie całkiem udane. Pierwszy z nich to „Pogrzeb kartofla” Jana Jakuba Kolskiego, historia więźnia obozu koncentracyjnego, który po zakończeniu wojny niespodziewanie dla sąsiadów wraca do swej rodzinnej wsi. Wita go zbiorowa niechęć zamieszkałych w czworakach chłopów, którzy zdążyli już przywłaszczyć sobie co nieco z jego gospodarstwa. Zostaje wyeliminowany z podziału przyznawanej w ramach reformy rolnej ziemi. Spotykają go oskarżenia o bycie Żydem, które udaje mu się odeprzeć dopiero gestem publicznego obnażenia się. Później płoną jego zabudowania. A wreszcie uchodzi on cało z próby skrytobójstwa. Ujawnił się więc już wówczas podstawowy katalog cech przedstawiciela polskiego ludu, cech zbiorowych, obowiązujących nieomal bezwzględnie. A składają się nań: krwiożercza pazerność, okrucieństwo (pojawia się scena gwałtu na miejscowej dziewczce), antysemityzm, fanatyczna i zarazem powierzchowna religijność, tchórzostwo, złodziejstwo, życie w kłamstwie, cwaniactwo, spontaniczne odruchy nienawiści, słowem – wszystko, co w wymiarze moralnym oraz w praktyce życia społecznego najpodlejsze.

Szczególne wybuch nienawiści pokazuje drugi z wspomnianych filmów, w przeciwieństwie do pierwszego raczej nieprezentowany szerszej publiczności – „W środku Europy” Piotra Łazarkiewicza. Widzimy w nim małe prowincjonalne miasteczko, w którym niedługo po zakończeniu wojny dochodzi do pogromu ludności żydowskiej ocalałej z Holocaustu. Ginie wiele osób, w tym i ci pojedynczy Polacy, wyłącznie inteligenckiej proveniencji, którzy próbowali bronić ofiar. Sprawcy, czyli prawie wszyscy mieszkańcy miasteczka, po latach mają się dobrze i żyją w pożydowskich domach pograżeni w pilnie strzeżonej niepamięci. A więc „Pokłosie” dwadzieścia lat wcześniej, filmowo zresztą o wiele lepsze i bardziej

fot. Marcin Makowski / PAP

przekonujące od znanej, „sorealistycznej” agitki Pasińskiego.

► Ludność polskiej prowincji, czyli zło i brzydota

Później ten w istocie karykaturalny, plakaturowy obraz społeczeństwa polskiej prowincji podlegał jedynie procesowi utrwalania. Żadnych niuansów, żadnego poszukiwania przyczyn i rozeznawania okoliczności, żadnych niejednoznaczności, no i broń Boże żadnych wtętwów o pozytywnym wydźwięku – tylko serie bezwzględnych i paraliżujących napiętnowań. A to przedstawiciel podkrakowskiego chłopstwa w roli cynicznego ubeka w „Reversie” Borysa Lankosza (2009), a to grupka rozmodlonych dewotek reagujących energicznie na incydent z polskim dzieckiem, które mogłoby paść ofiarą żydowskiego rabunku – w stonowanej skądinąd „Małej maturze 1947” Janusza Majewskiego (2010). Wszystko to zaś widziane z perspektywy subtelnej i delikatnie postępowej wrażliwości inteligenckiej. W serialu telewizyjnym Izabelli Cywińskiej „Boża podszewka” (chodzi o część drugą z 2005 roku) doszło nawet do tak paradoksalnej sytuacji – a mowa tu o scenie niezwykle dramatycznej w wyrazie – iż wiejska społeczność, która zimą 1946 roku w trakcie zebrania z przedstawicielami władz zgłasza bezdyskusyjnie słuszne pretensje z powodu braku środków do życia, ukazana zostaje jako coraz bardziej niebezpieczny, rozjuszony tłum. Kamera – zgodnie z jeszcze sowiecką techniką typużu – przesuwając się po wykrzywionych złością i krzykiem twarzach, wymachujących w geście agresji rękach, konwulsyjnie poruszających się ciałach. Delikatnej urody i obojętnej zetem powieć musi wraz ze swą dziewczyną, główną bohaterką filmu, salwować się ucieczką. Oboje są przerażeni. Jeśli więc nie racja moralna, to przynajmniej estetyka pozostaje po stronie nominowanej naprędce nowej elity.

Można uznać – przynajmniej do pewnego stopnia – że filmy z 1990 roku stanowiły reakcję na dekady fałszowania obrazu ludu, przedstawiania go w sztywnym, ideologicznym kluczu, nachalnego, sztucznego idealizowania. Ale trwałość tego rodzaju kreacji nie pozostawia wątpliwości – mamy do czynienia z zaprogramowaną, zbiorową świadomością twórców i czynionymi przez nich próbami perswazji opartej na strategii zawstydzania, deprecjacji i wzbudzaniu strachu, a służącej konsekwentnemu osłabianiu niechcianej tradycyjnej tożsamości. To ludność polskiej prowincji – wedle tych ekranowych przedstawień – skupiała w sobie podstawowe zło i brzydotę, które przeniknęły narodową egzystencję. Skupiała przed wojną (nacjonalizm, ciemny katolicyzm, antysemityzm), skupiała podczas wojny (to samo plus okrucieństwo, chciwość, a w najlepszym wypadku egoistyczna obojętność), skupiała i po niej (nienawiść, konformizm, pijanństwo, brak świata wartości) i skupiać mo-

że także dzisiaj. Walka z zakorzenionym wśród polskiego ludu widzeniem świata posiada zatem walor misji, jest starciem z drzemającym, ale groźnie przez sen pomrukującym potworem. To elementarny paradygmat tej niezależnej od prawdy, a wywodzącej się z konstrukcji ideologicznych i potrzeb politycznych perswazji.

► Kampania „anty-ludowa” trwa

Ktoś mógłby stwierdzić, że zapomniałem o żołnierzach antykomunistycznego podziemia, że to im przecież przypisano iście demoniczną rolę strażników destrukcyjnej ciemnoty. Ale ten ktoś by się pomylił. Kino polskie po 1989 roku – w przeciwieństwie do niektórych uczestników życia publicznego – nie posługiwało się tym peerelowskim schematem. Po prostu do lat ostatnich nie mówiło o nich prawie nic, a jeśli już, to wskazywało także na nich jako na ofiary plebsu. To właśnie ów kierujący się złymi instynktami „plebs” zajął ich miejsce w filmowym pejzażu powojennej, a w znacznym stopniu także wojennej Polski. To bohaterów „Pogrzebu kartofla” można śmiało nazwać bandytami, podobnie jak chłopów z „Pokłosia” czy „Idy”. Na nich skupia się przenikliwe spojrzenie bezkompromisowych filmowców ukształtowanych w duchu historii krytycznej, stanowczo przy filizance kawy oddzielających zło od dobra albo raczej złych od dobrych. Czyniących to w tym przypadku, bo w innych chętnie odrzucających tego rodzaju wartościujące podziały.

Jednocześnie spojrzenie to zachodzi gęstą mgłą, gdy próbować zwrócić je na stalinowską przeszłość elit i autorytetów III RP, a co za tym idzie – w pewnej mierze – środowiska filmowego. Poeci produkujący peany na cześć „towarzyszy z Urzędu Bezpieczeństwa” i wnoszący o przyspieszenie egzekucji na amerykańskich szpiegach w sutannach, prozaicy dopieszczani na partyjnych rautach, a jako alibi piszący do szuflad dość krytyczne dzienniki, światowej sławy socjologowie (in spe) oświecający lud z karabinem w dłoniach – wszyscy oni, tak ciekawie opisani m.in. przez Leopolda Tyrmanda w „Dzienniku 1954” albo kilka dekad później przez Jacka Trzmadla w „Hańbie domowej”, pozostają obecnie w sferze etycznego wzmoczenia jako grono świeckich reprezentantów absolutu. Ich biografia sprzed 1956 roku poddana została anihilacji lub przynajmniej unieważnieniu – po ciutku i starannie.

Tematu tego dotknął dopiero Andrzej Wajda w „Powiedokach”, swoim ostatnim filmie, zrealizowanym w 2016 roku. Wypada się zdziwić, dlaczego akurat ten wybitny twórca, a zarazem wyznawca ideałów III RP, zdecydował się na podobną demaskację. Można domniemywać, że historia zamorzonego głodem Władysława Strzemińskiego, awangardowego malarza, a zarazem wyrzuconego w 1950 roku na bruk profesora łódzkiej

PWSSP, miała stanowić odpowiedź na popularność żołnierzy niezłomnych. „My też mamy swoich bohaterów, nawet lepszych, bo ginących w imię nowatorskiej sztuki, nie zaś archaicznych, zaprawionych mocno podejrzanym nacjonalizmem, bogoojczyźnianych frazesów” – zdawali się mówić twórcy. Ale musieli przy tym pokazać skrajny konformizm, egoizm, lękliwość, kabotyństwo, a w końcu i sprzedajność artystycznych elit, ich doskonałą obojętność wobec bardzo podówczas konkretnego zła i dotykającego cierpienia. Kto wypadał z łaski władcy, zniknął również w mroku zapomnienia. Ten film to jednak coś w rodzaju wypadku przy pracy, gdyż nie widać kontynuacji takich wątków, a tym bardziej wniosków z nich wyciąganych. Kampania „antyłudowa” trwa w najlepsze. Natomiast prób odideologizowanego, realistycznego i wiarygodnego zarysowania rzeczywistości

szczości ludzi utalentowanych, dysponując szkolnictwem artystycznym, odpowiednimi funduszami, zagranicznym wparciem, a w konsekwencji prestiżem.

Źródła tej sytuacji znakomicie pokazał nie kto inny jak Wojciech Smarzowski w jednej z końcowych scen swojej „Róży” (2011). Główny bohater, dawny akowiec i powstaniec warszawski, przedwojenny inteligent o ugruntowanym systemie wartości, wraca z sowieckiej niewoli do domu, w którym tymczasem bezceremonialnie rozgościł się wraz z rodziną znany mu chłop, „repatriant” spod Wilna. Mężczyźni spoglądają na siebie dłuższą chwilę, po czym przybysz, nie zgłaszając pretensji i nie formułując żadnego osądu, odchodzi. Zmuszony jest symbolicznie opuścić tę powojenną rzeczywistość, do której – wedle wcześniejszych słów przesłuchującego go ubeka – się nie nadawał. Wilniuk natomiast ze swym

KAMPANIA „ANTYLUDOWA” TRWA W NAJLEPSZE. NATOMIAST PRÓB ODIDEOLOGIZOWANEGO, REALISTYCZNEGO I WIARYGODNEGO ZARYSOWANIA RZECZYWISTOŚCI POWOJENNEJ W POLSCE NA GRUNCIE FILMOWYM PRAWIE NIE MA. POSADZENI NA ŁAWIE OSKARŻONYCH NIE MAJĄ GŁOSU.

powojennej w Polsce na gruncie filmowym prawie nie ma. Posadzeni na ławie oskarżonych nie mają głosu.

► Dwie Polski Mickiewicza

To jednak wcale nie Wyspiański jest pierwszoplanowym patronem tego konfliktu, lecz Adam Mickiewicz ze swym podwójnym obrazem Polski. Nie stają bowiem w tym sporze naprzeciw siebie rdzenni plebejusze i rasowi patrycjusze. Tego rodzaju podział społeczny nie ma wszakże aż takiego znaczenia. Stają z jednej strony ludzie czujący i rozumiejący polskiego ducha, jego pozytywną siłę, uznający potrzebę silnego państwa dla realizacji różnorodnych – zarówno zbiorowych, jak i indywidualnych – wartości i celów, a z drugiej osoby z tej rzeczywistości wykorzenione, opierające swe nadzieje na stale się przepoczwarczających ideologicznych koncepcjach, importowanych z zachodnich uniwersytetów, czy też tylko na osobistym sukcesie, o który najłatwiej w rzeczywistości możliwie mało kłótnie. Podobnie było już dwieście lat temu, ale w związku z wojenną i późniejszą eksterminacją elit lub nierzadko ich umiejętnym zdeprawowaniem owa druga strona osiągnęła niedostępną dla niej wcześniej, uprzywilejowaną pozycję – także w sferze kultury. To ona kooptuje wię-

przeżożnym i zdrowym instynktem biologicznego trwania pozostaje sam na sam z totalitarnym władcą, który spróbuje z niemałym sukcesem ukształtować go w aksjologiczną pustkę.

Smarzowski to mimo wszystko artysta nietuzinkowy, wymykający się swymi dziełami intelektualnemu ządciu i banałowi elit III RP. Tym bardziej zwraca uwagę, jak się ów banal zdołał w nim mimo to uwewnętrznić. Oto po nakręceniu „Wołynia” stwierdził w jednym z wywiadów, iż film przede wszystkim traktuje o tym, co jest przedmiotem jego lęków, o skrajnym nacjonalizmie, symbolizowanym współcześnie przez „wysportowanych chłopców, którzy robią zadymy, machając flagami”. Objawiając swoje lęki, niestety jakby nie dostrzegł zagrożenia bynajmniej nie potencjalnego – puszczanej w ruch maszyny skrajnego internacjonalizmu, czyniącej miazgę z kolejnych jednostek i społeczeństw, a nade wszystko z kultury. Aby to dostrzec, musiałby stanąć obok samego siebie, a to nielatte. Dla nikogo. ■

Andrzej Szpulak – filmoznawca i medioznawca, znawca twórczości Kazimierza Kutza i Wojciecha Marczewskiego. Zajmuje się historią kina polskiego i europejskiego, kinem religijnym i zjawiskami współczesnej kultury audiowizualnej.



Sylwia Kołodyńska

„Infra”: krzyk przez balet

Najpierw była premiera w Londynie, potem przyszedł czas m.in. na Sankt Petersburg, Chicago, Kopenhagę i Melbourne. Aż w końcu po 11 latach od światowej prapremiery w Royal Opera House w warszawskim Teatrze Wielkim Operze Narodowej wystawiono „Infre”. Balet do muzyki Maxa Richtera, która powstała po zamachach w londyńskim metrze w lipcu 2005 roku. Jeśli jakieś spektakle mają przechodzić do historii, to właśnie takie.

Tragedię tak samo trudno wyrazić baletem, jak i muzyką. Max Richter, Brytyjczyk niemieckiego pochodzenia, wybitny kompozytor współczesnej muzyki klasycznej, podjął się tego zadania po zamachach bombowych w Londynie w 2005 roku. Trzy lata później, specjalnie dla choreografa Wayne'a McGregora na zamówienie Royal Ballet, powstała jego „Infra”. W 2010 roku neoklasyczny kompozytor wydał muzykę na płycie o tym samym tytule.

► Pod powierzchnią miasta

„Infra” z łaciny oznacza „poniżej”. Odnosi się do tego, co jest pod powierzchnią. W tym przypadku pod powierzchnią miasta, gdzie artyści szukać będą ludzkich emocji i przeżyć. Tak powstała niepokojąca muzyka. Richter, pracując nad nią, powiedział: „Zaczęłam myśleć o stworzeniu utworu na temat podró-

Zmieniam się z biegiem lat, mam nowe pomysły, ale wtedy wolę stworzyć kolejny spektakl. Wystawiając taki balet jak »Infra«, zależy mi zawsze na tym, aby tancerze podchodzili do niego po swojemu, interpretowali go indywidualnie. Moja choreografia nie ulega więc zmianie, lecz przetwarzana jest przez osobowości tancerzy, a także kontekst kulturowy, w którym ją prezentują. Dzięki temu myśli, które były źródłem powstania baletu, są aktualizowane, odświeżane”. Nie zmieniła się również scenografia stworzona przez jednego z najbardziej rozpoznawalnych artystów sztuk wizualnych w Wielkiej Brytanii, Juliana Opie. Praca nad „Infra” była jego pierwszym zleceniem dla teatru.

► Zagubione dusze

Sztuka jest pełna napięcia przed nadejściem tragedii i samotności w bólu. Ale jednocześnie piękna

MAX RICHTER UDOWODNIŁ, ŻE JEST MISTRZEM W PRZEKAZYWANIU MAKSYMALNEJ ILOŚCI EMOCJI PRZY MINIMALNEJ ILOŚCI MUZYKI. ROBI TAK ZA KAŻDYM RAZEM I PRZY KAŻDYM PROJEKCIE.

ży. Moja muzyka miała być jak film drogi lub notatnik podróżnika”. Podróżnika, którego wyprawa zakończy się tragicznie. W sposób, który trudno nam pojąć. Ale jest też w muzyce kompozytora nadzieja. Świat trwa po tragedii dalej, żałobnicy w końcu podnoszą się z kolan, metro rusza w dalszą podróż. Ale o poległych nie zapomnimy. Są w naszej pamięci i sercach. Ich dusze żyją. Również w „Infra” Maxa Richtera. Muzyk udowodnił, że jest mistrzem w przekazywaniu maksymalnej ilości emocji przy minimalnej ilości muzyki. I robi tak za każdym razem i przy każdym projekcie.

► Choreografia przetwarzana przez osobowości

„»Infra« jest w jakimś stopniu elegią, hołdem złożonym Londynowi. Dotyczy kwestii, które wciąż wydają mi się niezwykle istotne” – mówi dziś Wayne. Choć artysta stworzył choreografię 11 lat temu, postanowił jej nie zmieniać. „Nie modyfikuję swoich choreografii, ponieważ każdą z nich postrzegam jako zbiór myśli, które miałem podczas pracy nad nimi.

i pełna chęci życia. Przekaz „Infry” bywa momentami bardzo trudno uchwytyny. „Nie chcę opowiadać dosłownej historii, ponieważ ludzkie ciało jest tak wieloznaczne, że trudno ograniczać jego ekspresję do konkretnego przekazu” – mówi choreograf Wayne McGregor, który w 2011 roku za zasługi w dziedzinie tańca został odznaczony Orderem Komandorskim Imperium Brytyjskiego.

Spektakl został wystawiony w Teatrze Wielkim Operze Narodowej w ramach wieczoru baletowego w trzech częściach, zatytułowanego „Zagubione dusze”. Jego premiera odbyła się 16 listopada. Obok „Infry” wystawiono „Wesele” z muzyką Igora Strawińskiego i choreografią Bronisławy Niżyńskiej. „Do not go gentle...” również z muzyką Strawińskiego i choreografią Krzysztofa Pastora, dyrektora Polskiego Baletu Narodowego. Polskiemu Baletowi Narodowemu towarzyszyły wykonania muzyczne pianistów i Orkiestry Opery Narodowej pod dyrekcją Grzegorza Nowaka. Nowak jest nie tylko dyrektorem muzycznym TWON, lecz także pełni funkcję stałego dyrygenta Royal Philharmonic Orchestra w Londynie. ■



Krzysztof Karnkowski



Pasożyty azjatyckiego tygrysa

Jakiś czas temu na ekrany polskich kin wszedł nowy film koreańskiego reżysera Joon-ho Bonga „Parasite”. To, zgodnie z obietnicą zawartą w hasłach reklamowych, obraz szalony. Co nietypowe dla azjatyckich produkcji, a zarazem pocieszające – został doceniony w skali międzynarodowej, otrzymując Złotą Palmę w Cannes i mając sporą szansę na Oscara dla filmu nieanglojęzycznego.

Już po seansach przedpremierowych i wrześniowym weekendzie otwarcia „Parasite” z wynikiem ponad 40 tys. widzów stał się najczęściej oglądanym przez polskich widzów filmem azjatyckim od czasu „Wejścia smoka”. W pierwszej dziesiątce polskiego box office utrzymał się jeszcze przez trzy tygodnie i nim z niej wypadł, doliczono się już trzykrotnie większej widowni. Został też wybrany na film otwarcia kolejnej edycji Warsaw Korean Film Festival, która odbyła się pod koniec października. Obrazu zasłużonego, lecz chyba niespodziewanego sukcesu dopełniają recenzje w wielu tytułach prasowych i na portalach oraz wysoka (powyżej 8 na 10) średnia ocen na portalu Filmweb.

► Przed „Parasite”

Joon-ho Bong to reżyser znany polskim widzom, choć nie przez wszystkich kojarzony. Parę lat temu, nim jeszcze rozpoczął międzynarodową karierę, mogliśmy zobaczyć u nas kilka jego filmów. Choćby ciężki i mroczny dramat „Zagadka zbrodni”. To kryminał oparty na prawdziwej historii nierozwiązanej przez lata serii morderstw kobiet. Co ciekawe, sprawcę morderstw znaleziono w połowie września tego roku. Niestety, sprawa zdążyła się przedawnić, więc zabójca nie odpowie już za swoje zbrodnie. Na szczęście nie pozostanie całkiem bezkarny, gdyż odsiaduje karę za późniejsze morderstwo swojej przyrodniej siostry. Kolejny film Bonga to bardzo często pokazywany u nas w różnych telewizjach

„Potwór” („The Host”). Tu już w pełni daje o sobie znać typowa dla niego skłonność do mieszania gatunków: to wypadkowa horroru, monster movie i... dramatu społeczno-politycznego, która okazała się jednym z panazjatyckich rekordów kasowych i frekwencyjnych. Później powstał jeszcze spokojniejszy, choć dość zaskakująco poprowadzony dramat obyczajowy z wątkiem kryminalnym „Matka”, po czym Bong zaczął pracować za granicą, gdzie wyreżyserował całkiem udanego i spektakularnego „Snowpiercera”, antyutopię, w której ludzkość słoczona w jednym, potężnym pociągu przemierza świat skuty lodami globalnego ochłodzenia. Następnie nakręcił dla Netfliksa o wiele słabszą, choć nadal trzymającą pewien poziom „Okję”, ni to kolejny monster movie, ni to film rodzinny na wspólne świąteczne popołudnie. I tu przychodzi pora na „Parasite”, film o tyle wycekiwany, że będący powrotem Joon-ho Bonga do Korei Południowej.

► Rodzinny komediodramat

Koreańczycy bardzo lubią mieszać gatunki i Bong nie jest tu żadnym wyjątkiem. „Parasite” zaczyna się jak komedia, choć z mocnym zacięciem społecznym, lecz gdzieś w połowie filmu wesoły nastrój znika, ustępując miejsca wydarzeniom i emocjom zupełnie niespodziewanym. Premierę światową filmu poprzedził list reżysera, a zarazem scenarzysty do przyszłych recenzentów, w którym prosi, by nie ujawniali fabuły, a raczej tego, co wydarzy się od momentu, w którym rodzeństwo trafi do domu bogatej, trochę naiwnej, a trochę roztrzępanej, lecz w gruncie rzeczy całkiem sympatycznej rodziny. Niczego więcej nie pokazuje też trailer. Ot, rodzice, którym w życiu nie wyszło, i ich dwojka dzieci, która pomimo inteligencji i sporych umiejętności w różnych kierunkach nie ma szans ani na edukację, ani na dobrą pracę. Wegetują więc w obrzydliwej suterenie, kradnąc internet i imając się słabo płatnych zajęć. Wszystko zmienia się właściwie przypadkiem, gdy syn, polecony przez przyjaciela i w oparciu o sfalszowane przez siostrę papiery zostaje korepetytorem młodziutkiej Da-hye. Ze swoją uczennicą dogaduje się aż za dobrze, zaś zachwyconej nim pani domu rekomenduje swoją siostrę na nauczycielkę sztuki dla młodszego syna bogatej pary. I tu wypadałoby zakończyć, choć moim zdaniem spokojnie można by opowiedzieć jeszcze tyle, ile już sami czytelnicy mogą się domyślić. Tyle tylko że nie będzie to komedia omyłek o rodzinie biednych, lecz sprytnych biedaków, oplatających i przejmujących pomału dom i całe życie bogaczy-frajerów. To znaczy będzie, ale tylko do czasu.

Jak wspominałem, nawet komediowa, pierwsza część „Parasite” podszyta jest dramatem społecznym.

Życie rodziny Ki-taeka rozgrywa się w miejscu obrzydliwym, w którym bohaterowie stają się ludzkim odpowiadnikiem krążącego czasem po ich norze robactwa. I trudno przy tym odnaleźć przyczynę tego stanu rzeczy. Nie są to ludzie głupi, leniwi czy niemający umiejętności, które powinny wystarczyć, by utrzymać się na powierzchni. Brakuje im jednak szczęścia, młodszemu zaś również równego startu. Do pewnego stopnia jest to historia dziedziczenia biedy, ubrana jednak w atrakcyjny kostium komedii wymieszanej z thrillerem. Bong pisze więc akt oskarżenia, robi to jednak w sposób tak nieprzewidywalny, że pozostawia w poczuciu oszołomienia kolejnych krytyków i recenzentów.

► Wokół psów

Przybliżając wcześniejsze obrazy Bonga, celowo pominąłem jego debiut – „Szczekające psy nie gryzą” z 2000 roku. To film z zupełnie innych czasów, a jednak „Parasite” najbliższy. Tu również w komedii, zrobionej bardziej według prawideł kina niezależnego niż komercyjnego, śledzimy losy przedstawicieli społeczeństwa, którzy nie uczestniczą w koreańskim wroście gospodarczym. Głównymi bohaterami są tu nauczyciel akademicki, którego dalsza kariera zależy od uzbierania sporej kwoty na łapówkę dla profesora, i młoda dziewczyna z administracji osiedla z ubogiej rodziny. On ma kapryśną żonę w ciąży, ona grubą przyjaciółkę z lokalnego sklepu. Spotkają się, gdy wspólnie szukać będą psa. Psy są w tym filmie najważniejsze. Dla jednych są przyjaciółmi, dla innych, w tym głównego bohatera, utrapieniem, dla jeszcze innych – pożywieniem; pamiętajmy, że jesteśmy w Azji dwie dekady temu i pośród uboższej części społeczeństwa. I choć film jest zdecydowanie pro-psim głosem w tym kulturowym i kulinarnym sporze, może być on z tego właśnie powodu trudny dla polskiego widza. Dlatego bezpieczniej będzie chyba pozostać przy szaleństwie „Parasite”.

Jesień to tradycyjna pora festiwalu azjatyckiego kina w Warszawie. Za sobą mamy już Warszawski Korean Film Festival, podczas którego poza „Parasite” zobaczyć można było świętujący triumfy w Stanach thriller „Gangster, glina i diabeł” i rozliczeniowy dramat polityczny „Rok 1987”, oraz tegoroczną edycję panazjatyckiego festiwalu Pięć Smaków, na której pokazano niezły horror komediowy z Korei „The Odd family: Zombie on Sale” oraz thriller „Wyznawca”. Do zwykłej kinowej dystrybucji koreańskie filmy nie miały dotąd szczęścia. Nawet takie pewniaki jak „Train to Busan” pokazywane były rzadko, w kinach studyjnych i w mało atrakcyjnych godzinach. Czy wielki sukces „Parasite” zmieni coś w podejściu naszych dystrybutorów do tego segmentu produkcji filmowej?

Marek Kalinowski

Wszystkie oblicza miłości

Polski kontratenor Jakub Józef Orliński przyciąga nowych miłośników opery. Tylko tej jesieni odebrał trzy niezwykle ważne nagrody, w tym trofeum od Gramophone Classical Music Award. Choć nie ucichły jeszcze echa poprzedniej płyty, do sklepów trafił już drugi solowy album artysty. Na „Facce d'amore” wciela się w role barokowych kochanków.

Historia, która mu się przydarzyła, bardziej pasuje do gwiazdy muzyki pop niż artysty operowego. Dwa lata temu został zaproszony przez francuskie radio do nagrania audycji na żywo. Wyrwany ze spotkania ze znajomymi przyszedł ubrany w krótkie spodenki, sportowe buty i koszulę w kratę. Okazało się jednak, że na miejscu czeka publiczność i kamery przygotowane do transmisji na żywo. Wykonana przez niego aria Vivaldiego „Vedrò con mio diletto” trafiła do Sieci, a dziś w serwisie YouTube ma ponad 4 mln wyświetleń.

Tańczy break dance, chętnie popisując się sprawnością na Instagramie. To jednak nie przypadek ani media społecznościowe sprawiły, że zaledwie 29-letni Jakub Józef Orliński jest dzisiaj jednym z najbardziej rozpoznawalnych na świecie kontratenorów. Początki kariery muzycznej sięgają wczesnego dzieciństwa i udziału w chłopięcym chórze Gregorianum. Pasja do śpiewu skłoniła go do nauki na Uniwersytecie Muzycznym w Warszawie, po którym trafił na dwuletnie studia podyplomowe do Juilliard School w Nowym Jorku.

Dzisiaj ma za sobą wiele koncertów i ról w produkcjach operowych na całym świecie. Jest też laureatem prestiżowych nagród, w tym wygranej w konkursie National Council Auditions, organizowanym przez Metropolitan Opera. Tylko tej jesieni otrzymał statuetkę od Gramophone Classical Music Awards w kategorii Młody Artysta Roku, zaledwie dwa dni wcześniej berlińskie Opus Klassik Awards,



Jakub Józef Orliński, *FACCE D'AMORE*, Erato, Warner Classic

a na początku października Koryfeusza Muzyki Polskiej.

Ostatnie nagrody zbiegły się z premierą jego drugiej solowej płyty „Facce d'amore”. O ile na debiutanckim krążku Orliński zagłębiał się w barokowej muzyce sakralnej, tym razem, pozostając nadal w epoce baroku, zwraca się jednak ku całkowicie ziemskim emocjom. Jak sam tytuł wskazuje, płyta jest opowieścią o miłości, a artysta wciela się w kolejne role męskich kochanków.

Sluchacze odnajdą tu nie tylko całe spektrum miłosnych emocji od spełnienia po cierpienie, a nawet szaleństwo. Jest to równocześnie chronologiczna podróż przez niemal całą epokę. Płyta otwiera aria jednej z pierwszych oper

barokowych „La Calisto” Francesco Cavalliego, by przez niezwykle fragmenty dzieł Boretiego, Bononciniego, Händela i Matteisa przekroczyć próg roku 1700 i w utworze Francesco Contiego towarzyszyć Don Kichotowi w wyprawie przez góry Sierra Leone. W tej muzycznej podróży Orlińskiemu po raz kolejny towarzyszą znakomici muzycy Il Pomo d'Oro pod batutą Maxina Emelyanicheva.

Podobnie też jak w przypadku pierwszej płyty, Orliński zadał sobie dodatkowy trud, omijając najbardziej oczywiste dzieła epoki. W wyborze utworów operowych dopomógł przyjaciel artysty, specjalizujący się w wyszukiwaniu barokowych partytur tancerz i baryton Yannis François. Stąd na płycie znalazło się kilka światowych premier fonograficznych, m.in. napisane dla Farinellogo „Sempre a si vaghi rai” Johanna Adolfa Hassego. ■



Ryszard Czarnecki

POCZTÓWKA Z NAIROBI

Mówiąc Wyspiańskim: „Chińczycy trzymają się mocno” – także w Afryce. Właśnie wróciłem z Kenii ze szczytu ONZ (szkoda o nim gadać). I oczywiście widziałem tam chińskie inwestycje, budowy z szyldami z chińskim alfabetem – coś za transparenca, nie mają nic do ukrycia, są pewni siebie. Na przestrzeni ostatnich parunastu lat byłem w kilkunastu krajach Afryki i mogłem zaobserwować, że Państwo Środka wchodzi w Czarny Ląd (sorry za polityczną niepoprawność) jak w masło. Pekin nie pyta dyktatorów czy półdyktatorów o prawa człowieka, tylko inwestuje i handluje. Chociaż zamiast słowa „handluje” raczej należałoby powiedzieć: sprzedaje, podobnie jak na całym świecie. Jednak siła Chińskiej Republiki Ludowej nie polega głównie – choć także – na zróżnicowanej i generalnie taniej ofercie handlowej, lecz na inwestycjach. We wszystko. Chińczycy budują w Afryce drogi i stadiony, hotele i wieżowce. Budują i w Afryce Wschodniej (a propos Kenii), i Zachodniej, Północnej i Południowej. Powoli, jak przystało na naród z kilkutyścenną historią, „robią swoje”. Uzależniają gospodarczo państwa Afryki, ale przecież też szereg krajów azjatyckich czy wyspy-państwa położone na Pacyfiku. Nie biję na alarm, bo nie jest polskim interesem ostrzegać przed Chinami – to nie nasz ból głowy, nie nasz problem. W polskim interesie jest, żebyśmy znacznie więcej eksportowali do ChRL niż dotąd i żeby choć trochę zrównoważyć negatywne saldo handlowe. Ale co do tego, co robi Pekin w skali globalnej, to „nasza chata z kraja”. Stwierdzam po prostu fakt, że potęga „numer 2” na świecie wypiera wpływy Europy, Ameryki i innych państw azjatyckich w różnych częściach świata, także w Afryce.

Chińczycy Chińczykami, ale materiałów do moich „dzienników kenijskich” zapisuję sporo. W stolicy kraju, Nairobi, taksówki, za które można zapłacić kartą, nie uświadczysz. Dolarów ani euro nie przyjmują, musisz mieć lokalną walutę albo wezwąć Ubera. Pod tym względem Nairobi jest kosmopolityczne. Podobnie zresztą gdy chodzi o najlepsze marki najdroższych ubrań, torebek czy kosmetyków dostępnych tutaj dla miejscowej elity, która nie ma problemów z zakupieniem dla siebie tego samego co elita w Rzymie, Tokio czy Berlinie (państwa „Osi” wybrałem przypadkowo...).

Jestem tu w połowie listopada. Święta za pasem, faceci z reklam też to wiedzą. Widzę wielkie billboardy

oferujące praktyczne prezenty na święta: pralkę, lodówkę, kuchenkę. Na reklamie tego nie widać, ale w cenie są też generatory prądu: jak znalazł na wypadek awarii czy ograniczenia dostaw. Każdy hotel i każdy szpital ma własne zasilanie w prąd. A polska firma zbija kokosy, eksportując tu własne generatory prądu. To na tyle dobry biznes, że ową polską firmę stać, aby – co chwalebne – zostać sponsorem uroczystości w ambasadzie RP. Skoro już mowa o polskiej obecności gospodarczej w tym wschodnioafrykańskim państwie, to wymiana handlowa między Polską a Kenią w ostatnim roku wyniosła 90 mln dolarów amerykańskich. To może nie rzuca na

**WYMIANA HANDLOWA MIĘDZY POLSKĄ
A KENIĄ W OSTATNIM ROKU WYNIOSŁA
90 MLN DOLARÓW AMERYKAŃSKICH. TO
WIĘCEJ NIŻ WYMIANA HANDLOWA Z KENIĄ
CZECH, SŁOWACJI I WĘGIER ŁĄCZNIE!**

kolana, ale gwoździ ścisłości to więcej niż wymiana handlowa z Kenią Czech, Słowacji i Węgier łącznie! Praga tradycyjnie eksportuje tu broń, w dużym stopniu z Brna (zakłady „Zbrojovka”).

Korki w Nairobi spotęgowane są odbywającym się tu szczytem ONZ. Poświęcony on jest „prawom reprodukcyjnym”, aborcji itd. Stąd nie dziwi mnie ludzie, którzy spotykam, ubrani w koszulki „Condom this night saved my life”. Tu nie ma żadnych zahamowań. A z drugiej strony stojąc w korkach w wielu samochodach dostrzegam powieszzone różańce i napisy podkreślające związek z wartościami chrześcijańskimi.

Gdy stąd wyjeżdżam, żegnają mnie lew i tygrys, a raczej ich posągi umieszczone na wysepce zieleni na rondzie. Safari to afrykański biznes, podobnie jak parki narodowe. W tych ostatnich tubylcy nie płacą prawie nic, dyplomaci-rezydenci już całkiem sporo, ale dopiero zagranicznym turystom łupi się skórę.

Żegnaj, Kenio – kraju kontrastów: z pełnymi kościołami i z ponad 1,5 mln chorych zarażonych wirusem HIV...



Krzysztof Budka, ekspert RG SWS

Estońskie rozwiązania, czyli słuszny kierunek

Sercem nowoczesnej gospodarki jest przedsiębiorczość. Obowiązkiem państwa jest wspieranie przedsiębiorców, tworzenie im warunków do rozwoju, przewidywalnego prawa pozwalającego na planowanie inwestycji i systemu podatkowego motywującego do rozwoju. Wprowadzimy tzw. estoński podatek dla mikro- i małych firm – to jedna z deklaracji, jakie padły z ust premiera Mateusza Morawieckiego podczas jego exposé. Trzymamy za słowo. Tym bardziej że czas już najwyższy, by w Polsce wprowadzić „system podatkowy motywujący do rozwoju”. Ten, który jest obecnie, do niczego nie motywuje. Wręcz przeciwnie – zniechęca i odstrasza. System podatkowy, w którym grzęzną miliony przedsiębiorczych Polaków, to jeden z najbardziej skomplikowanych i jednocześnie skomplikowanych systemów podatków na świecie. Mam nadzieję, że tę lekcję premier i jego nowy rząd rzeczywiście odrobili, dlatego warto z jednej strony trzymać ich za słowo, z drugiej – wspierać i kibicować im w przeprowadzeniu tych zmian.

Dlaczego to takie ważne? Chociażby dlatego, że polski przedsiębiorca poświęca przeciętnie na rozliczenie podatku VAT 172 godziny rocznie, ponad trzy razy więcej niż wynosi średnia w UE. To dane na podstawie raportu International Tax Competitiveness Index, przygotowywanego przez amerykańską Tax Foundation. Gdy porówna się te wyniki już nie tylko ze Szwajcarią (8 godzin rocznie), ale nawet z Czechami (102), Słowacją (84) czy Litwą (47), to włos jeży się na głowie. Według innego rankingu – Doing Business publikowanego przez Bank Światowy – aby rozliczyć się z fiskusem, polski przedsiębiorca musi poświęcić w ciągu roku 334 godziny! W zestawieniu konkurencyjności systemów podatkowych wspomnianej Tax Foundation zajmujemy przedostatnie, 35. miejsce w OECD. W rankingu wolności gospodarczej Heritage jesteśmy za Rwandą, Bułgarią i Botsuaną. W ostatnich latach ustawa o PIT urosła z 250 do 320 stron, a ustawa o CIT z 204 do 264 stron. Mamy białe listy, czarne listy, Exit Tax i MDR (raportowanie schematów podatkowych), których najwyraźniej nie rozumie nawet samo Ministerstwo Finansów, bo do rozwiązań przez siebie stworzonych napisało odrębne, ponadstronicowe objaśnienia tych regulacji, z których finalnie

i tak nic nie wynika. Jak w tym wszystkim normalnie i uczciwie funkcjonować ma polski przedsiębiorca? Dlatego absolutnym priorytetem na kolejną kadencję dla obozu rządzącego powinno być uporządkowanie tej chaotycznej rzeczywistości i możliwie jak największe uproszczenie systemu podatkowego. Rozwiązanie estońskie to bardzo dobry przykład.

Ten nieduży północny kraj nie bez przyczyny nazywany jest „bałtyckim tygrysem”. Twórcy tamtejszego systemu podatkowego zdecydowanie wyszli naprzeciw oczekiwaniom przedsiębiorców. W Estonii moment powstania opodatkowania dochodów osób prawnych powstaje dopiero z momentem faktycznej dystrybucji tego zysku w postaci dywidendy. To oznacza de facto efektywną stawkę 0 proc. podatku CIT do momentu wypłacenia wygenerowanego dochodu przez spółkę. Konsekwentnie, pomnażając środki poprzez ciągłe reinwestycje, bogaci się dzięki temu i przedsiębiorca, i budżet państwa. Wysokość dochodu, który podlega opodatkowaniu w Estonii, ustalana jest na zasadzie kasowej. Co ważne, Estonia rozwiązała też odwieczny problem podwójnego opodatkowania spółek będących podatnikami – dywidenda wypłacana wspólnikowi nie podlega opodatkowaniu podatkiem PIT, gdyż wcześniej została opodatkowana podatkiem CIT. Podstawowa stawka podatku VAT w Estonii to 18 proc., a obniżona 5 proc. i 0 proc. Od kilku lat we wszystkich rankingach konkurencyjności systemów podatkowych ten nadbałtycki kraj zajmuje miejsce albo na samym szczycie zestawienia, albo w pierwszej trójce.

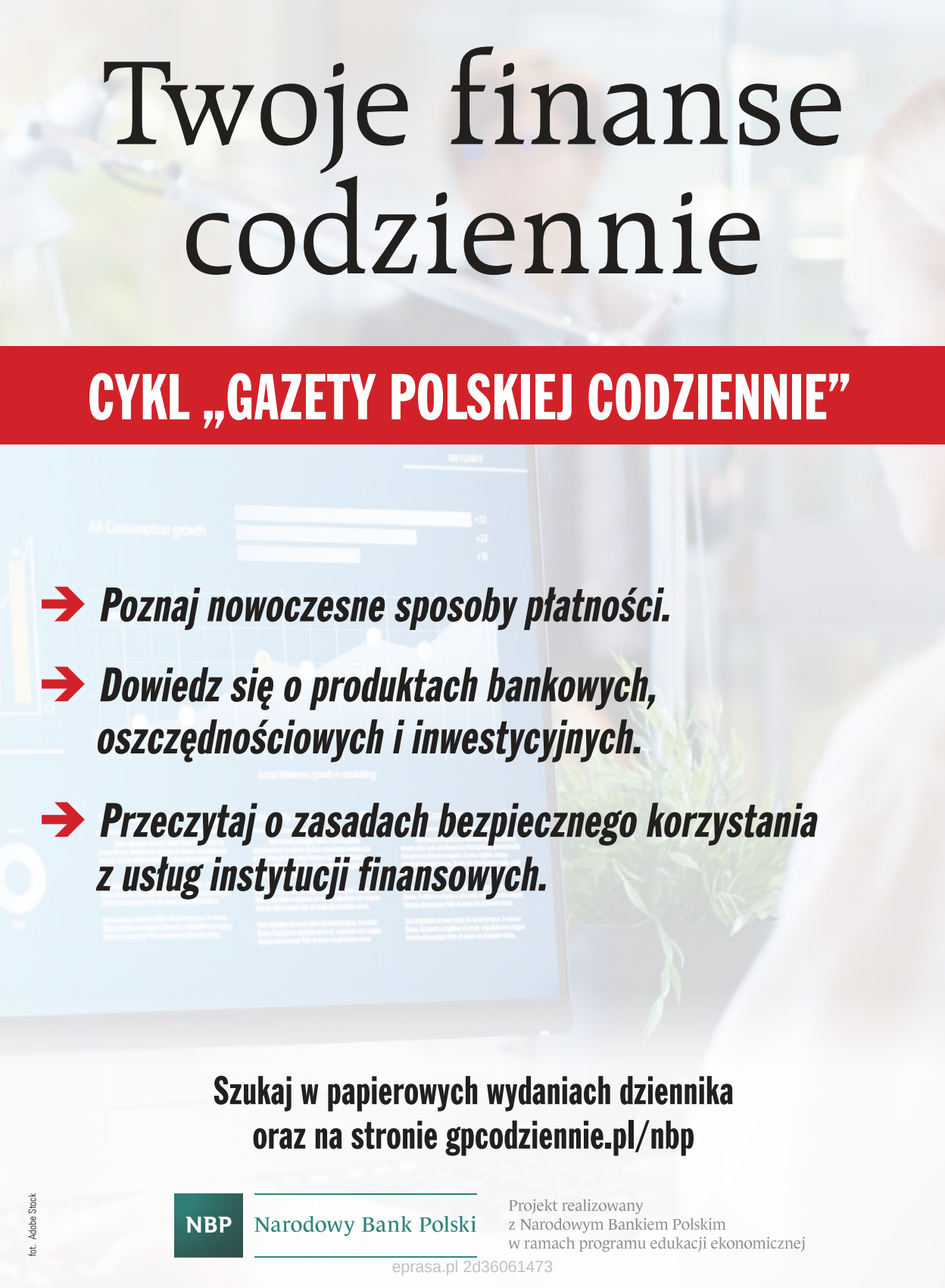
A skoro już przy Estonii jesteśmy, warto również wspomnieć, że ma kwotę wolną od podatku ponad 8 razy wyższą niż Polska (w przeliczeniu – 25 680 zł). U nas ta kwota dla większości podatników wynosi 3091 zł. To kolejna kwestia, którą bardzo szybko można i trzeba zmienić.

www.radagospodarcza-sws.pl

Rada Gospodarcza
STREFY WOLNEGO SŁOWA

Twoje finanse codziennie

CYKL „GAZETY POLSKIEJ CODZIENNIE”

- 
- ➔ **Poznaj nowoczesne sposoby płatności.**
 - ➔ **Dowiedz się o produktach bankowych, oszczędnościowych i inwestycyjnych.**
 - ➔ **Przeczytaj o zasadach bezpiecznego korzystania z usług instytucji finansowych.**

**Szukaj w papierowych wydaniach dziennika
oraz na stronie gpcodziennie.pl/nbp**

NBP

Narodowy Bank Polski

Projekt realizowany
z Narodowym Bankiem Polskim
w ramach programu edukacji ekonomicznej

eprasa.pl 2d36061473

Miasteczko, które dobrze, że jest



Stefan Czerniecki
czerniecki.net



Wychodzę na skąpaną w słońcu uliczkę.
W powietrzu czuć suchy zapach upału.
Nad miasteczkiem niebieskie niebo.
Gdy zapadnie zmrok, wyziebi wszystkie
zakamarki. W San Pedro de Atacama
przyzwyczajali się już do skrajności.
Z tego zresztą żyją. Bez tych skrajności
już dawno nie mieliby za co.





Gdziekolwiek w San Pedro de Atacama można jeszcze odnaleźć pozostałości po opuszczonych domostwach

Dalbyś wiarę, że był czas, kiedy tą ulicą pędziliśmy bydlę? – mężczyzna z czterodniowym zarostem, noszący wełnianą czapkę z wzorkiem w alpaka wskazuje ciemną dłoń na najszerszą ulicę swojej wioski. To Toconao Calle. Jedna z głównych ulic małego San Pedro de Atacama. Chińskiego miasteczka, w którym większość ulic jest niemal identyczna. Niewprawieni przybysze mogą mieć tu problemy z orientacją. Wystarczą jednak dwa dni pobytu, aby po dwupółtygodniowym miasteczku poruszać się jak po własnym.

– Antonio, spadaj do siebie. Klienta mi płoszysz! – korpulentna dziewczyna, u której kupuję właśnie jednodniowy tour po okolicznych pustyniach, najwidoczniej zna pana, który zapragnął podzielić się ze mną historią swojego życia.

– Tak. Tak właśnie było, señor – mężczyzna kontynuuje wywód, zupełnie nie przejmując się uwagami ekspedientki. – Jeszcze na początku XX wieku. A dziś...

Dziś rzeczywiście na Toconao Calle próżno szukać jakichkolwiek byków. Krów też nie ma. Zamiast nich są wałęsające się bezdomne psy. Raczej niegroźne. Szukające jedzenia. Czasem litości. Przenosząc się z jednego krawężnika na drugi, w tęsknocie za cieniem. Tego bowiem w jednym z najbardziej suchych miejsc na naszej planecie mają deficyt.

► Dla horyzontu

Północne Chile. I niespełna trzytysięczna, odcięta od reszty cywilizacji wioska. San Pedro de Atacama. Wyspa



Kupno obrazu wypalane światłem słonecznym to w turystycznym światku raczej rzadka okazja



Z dala od świata. Miotany pustynnym wiatrem

na pustyni. Do Boliwii jest stąd przysłowiowy rzut kamieniem. Ledwie 35 kilometrów. Do Argentyny też nie za daleko, tylko 120 kilometrów. W takim oto narożniku trzech państw znajduje się jedno z najbardziej suchych miejsc świata. Na pobliskiej Dolinie Księżycowej deszcz widzą raz na osiem lat. Nie lepiej wygląda sytuacja w nieodległej Dolinie Śmierci. Warunki są tu tak „nieziemskie”, że NASA testuje tu sprzęt, który ma być wysłany w kosmos. Nie ulega wątpliwości. Północno-wschodni skrawek Chile jest jednym z najmniej gościnnych na całym świecie. Tutaj nie da się żyć. Po prostu. Ciągła erozja wietrzna i słoneczna. Permanentne wystawienie na słońce grożące poparzeniami ciała. Za dnia trzydziestostopniowe upały, nocą kilkunastostopniowe mrozy. Żadnej wody. Żadnej roślinności. I tylko groźnie pomrukujące wulkany na horyzoncie. Tak, to dla niego chce się tu przyjechać. Bo horyzont Atakamy jest zawsze ciekawy. Inspirujący. Pociągający. Nieregularny. Wypukły. Do tego nieprawdopodobnie wręcz plastyczny. Troszkę niczym z obrazów Salvadora Dali. Brakuje jedynie porozwieszanych na drzewach zegarów. Zamiast nich są śniadopomarańczowe piachy. Potężne wydmy. Gigantyczna piaskownica zapraszająca, aby wejść po niej do swoich dziecięcych wyobrażeń. Gdy wszystko było bezkresne. Plastyczne. Czekające na finalne wykształcenie. A zarazem bezpieczne. Bo zawsze odległe. Jak te wulkaniczne stożki, które widać w tej chwili z San Pedro de Atacama. Które zawsze zdają się znajdować „gdzieś tam”. Zawsze w dystansie.

► Piasek i yareta

Jest zatem San Pedro de Atacama ostatnią przystanią cywilizacji, na jaką może się natknąć wędrowiec wybierający się na pustynię okolic chilijskiej części Altiplano. Idący za dziecięcymi wspomnieniami. Za młodzieńczą wyobraźnią. Gdy opuści mury miasteczka, będzie już tylko sam. Tam dalej nie znajdzie już nikogo. Oczywiście nie licząc kilkudziesięciu flamingów, które napotka na mijanych lagunach. I kołyszących się sporadycznie na nieboskłonach wielkich ptaszków. Ale poza nimi? Poza nimi nie spotka tu już nikogo.

Bo okolica San Pedro de Atacama nie jest ziemią przyjazną człowiekowi. Na tutejszej pustyni w cieniu rozgrzanych od słońca wulkanów dobrze może się czuć jedynie piasek. I yareta. Jedyna wiecznie zielona roślina, jaką przy odrobinie szczęścia napotka wędrowiec przybyły w te tereny. Roślina przypominająca kształtem twarde kule mchu. Paląca się lepiej niż węgiel. Ale za to rosnąca w tempie... 1,5 centymetra na rok.

I niech nie zrazi nas kolejny ból głowy, tak typowy dla tych wysokości. Ani napady nudności. Nierzadko kończące się wymiotami. To typowe objawy choroby wysokogórskiej u organizmów nieprzystosowanych do zbyt nagłej zmiany wysokości. Spokojnie. I przez to trzeba przebrnąć. Po takich przejściach nagroda powinna przynajmniej smakować niczym deser.



Północny kraniec Chile to bez wątpienia jeden z najbardziej egzotycznych widokowo zakątków w całym kraju

► Centrum antycznej cywilizacji

Jak więc to możliwe, że wśród tak nieprzychylnie nastawionych wobec ludzkiego życia warunków powstało niewielkie miasteczko? Co sprawiło, że pośrodku niczego kilkuset indiańskim osadnikom chciało się wznosić osadę? Wszystko przez obecność... wody. Odkryta na środku pustyni uczyniła z tej lokalizacji jedyną w promieniu kilkudziesięciu kilometrów oazę. Przez to miejsce bardzo szybko zyskiwało sławę. Jako punkt postoju i odpoczynku dla starożytnych plemion wędrujących przez pustynię. A plemion zamieszkujących okolicę było wbrew pozorom całkiem sporo. Pracujący na miejscu archeolodzy mówią dziś choćby o ludach Atacameňan i Kunza, których korzenie sięgają nawet 500 roku przed Chrystusem. Kilka minut jazdy od San Pedro de Atacama w Yervas Buenas odnaleziono z kolei ślady po kulturze Tiwanaku. Naścienne rysunki przedstawiają gwana i oraz pustynne lisy.

Wszystko to świadczy, że miasteczko od początku swego istnienia musiało odgrywać ważną rolę na handlowo-szlakowej mapie ówczesnej Ameryki Łacińskiej. Nie inaczej było także później. Szlak zyskał na znaczeniu zwłaszcza na początku XIX wieku. To właśnie wówczas w Chile nastąpił tzw. boom azotanowy. Związany z wydobywaniem na Atacama saletry. W ciągu kilku miesięcy na te tereny sprowadziły się setki robotników. By zapewnić pożywienie ludziom pracującym przy produkcji szeroko pojętej saletry, zarządzający przemysłem wydobywczym zaczęli sprowadzać do San Pedro de Atacama bydło. Między innymi to z argentyńskiej Salty i Cordoby. Szlak odżył na nowo.

Niestety, wszystko ma swój kres. Pod koniec lat 30. XX wieku opracowane zostały nowe metody masowej produkcji związków azotu. Chiński przemysł azotanowy będzie musiał upaść. I upadnie. A San Pedro de Atacama znów zostanie samo.

► Dom konkwistadora w miasteczku skrajności

„Bądź gotowy jutro około 3 w nocy. Ktoś po ciebie przyjdzie” – kobieta kończy omawianie sprawy naszej jutrzejszej wycieczki.

Wychodzę znów na skąpaną w słońcu uliczkę. W powietrzu czuć suchy zapach upału. Nad miasteczkiem niebieskie niebo. Gdy zapadnie zmrok, wyżebi wszystkie zakamarki. W San Pedro de Atacama przyzwyczaili się już do skrajności. Z tego zresztą żyją. Bez tych skrajności już dawno nie mieliby za co. Idę kolejną podobną do pozostałych alejek uliczką. Skręcam w prawo, po paru minutach odbijam w lewo. Mijane budynki są niewiele wyższe ode mnie. Każdy z nich jednakowo prosty. Jednokondygnacyjny. Z białej, czasem z brązowej cegły. Nie inaczej będzie z domem pamiętającym XVI wiek. Zlokalizowanym na końcu wspomnianej już uliczki Toconao. To dom Pedro de Valdivia, hiszpańskiego konkwistadora i pierwszego królewskiego gubernatora Chile. Białe ściany, brązowy dach. Tak mieszkał. Tak żył. W innym świecie. Dopiero co odkrytym.

Zabawne ilu ze stąpających po San Pedro de Atacama turystów ma świadomość tego, że oto zwiedzają miasteczko, które pamięta cywilizację sprzed 3000 lat? Kruche miasteczko z cegły opierające się ekspansywnej



Każdy mieszkaniec zarabia, jak umie

pustyni przez tyle już wieków. Zadziorne i słabe zarazem. Bogate w historię. Ubogie pieniędzem.

► Cztery w jednym

San Pedro de Atacama z powodzeniem mogłoby stanowić scenografię do jednego z amerykańskich westernów. Smukłe latarenki wystające z brązowych ścian okolicznych domostw. Puste ulice przecinające się pod kątem prostym. Szyldy podpięte pod wejścia. Nieskomplikowane bryły chat. Drewniane okiennice. I pokryte białą papką elewacje. Prostota i skromność. Tak smakuje historia.

Dziś nieco podliftowana. Uwspółcześniona. Z każdym dniem lepiej dopasowująca się do realiów otaczającego ją świata.

– Chcesz wypożyczyć rower? Dojedziesz, gdzie tylko będziesz chciał. Będiesz niezależny i wolny – zagaduje mnie opalający się na leżaku jegomość. Przy jego chatce z białej gliny stoją ustawione szeregowo rowery. Większość już dość zużyta. Ze śladami błota na ramach. Z piaskiem uroczym rzućącym w piaskie. Znak, że interes jednak się kręci.

– Ile za dzień?

– Jak dla ciebie... – mężczyzna przystawia palec do brody. Jakby chciał zasugerować, że właśnie liczy, ile może mi zejść z ceny. – 6000 peso. Ale już nie pytaj mnie, czy dam mniej. Bo nie dam.

Podobnych panów spotkam dziś jeszcze przynajmniej kilkunastu. Wypożyczalnie rowerów to w San Pedro de Atacama biznes tak popularny jak tutejsze hostele, restauracje czy przedstawicielstwa biur organizują-



Krajowa „dwudziestka-trójka” – jedyne okno na świat dla położonego na końcu świata San Pedro de Atacama

cych wycieczki na pustynię Atacama. Najczęściej każdy z mieszkańców próbuje łączyć wszystkie cztery w jednym. Przy barach ustawione są bardzo często gotowe do wypożyczenia rowery. A jeśli nie mamy już sił, wystarczy odebrać od sympatycznej pani zza lady kluczyk i pójść na pierwsze piętro, gdzie prawdopodobnie „właśnie okazynie zwolnił się pokój”. O klienta przecież trzeba walczyć. Choć tych z roku na rok u wrót najsuchszego miejsca Ziemi jest coraz więcej.

Pewnie przez to współczesny pejzaż San Pedro de Atacama odbiega nieco od tego, jaki każdy traper chciałby mieć w swojej głowie, gdy opuszcza to miejsce. By sztafażem do majaczących się w oddali stożków wulkanicznych obserwowanych przez rozedrgane od rozpalonego słońcem powietrza były opustoszałe uliczki. Z prostymi dachami, bez fikuśnych wykończeń. Z drewnianymi okiennicami. I niczym więcej. Ale tak już raczej nie będzie.



Uliczka Caracoles – jeden z nielicznych deptaków w miasteczku

► Bezlitosna egzotyka, która kusi

Wbrew pozorom nie ma już na świecie wiele takich miejsc jak San Pedro de Atacama. Gdzie komercja ściga się z tradycją. Gdzie obok naprawdę sympatycznego hostelu roztawia się zwykle hałaśliwa pani w kolorowej sukni, by każdego wychodzącego z hostelu gościa nagabywać o kupno pamiątki. Gdzie puste uliczki trafiają się tylko nocą. Gdzie przy wygaszonych latarenkach i tak już zresztą nic nie widać. Gdy już tylko nasza pamięć oraz intuicja będą podpowiadać, że gdzieś tam dalej pośród nocnych mroków powinien majaczyć srogi kształt wulkanu Láscar.

Nie ma wiele miejscowości, w których obecność rzeki warunkowałaby rzeczywistość tak jak tutaj. Przyjmując postać zero-jedynkową. Z rzeką wszystko: zieleni, życie, egzystencja. Bez rzeki: surowa pustynia i koniec absolutnie wszystkiego. Nie ma też na świecie wielu miejscowości, z których człowiek wyjeżdża tak mimowolnie uświadomiony o występującej w przyrodzie śmierci – w surowości wulkanów, w brutalności klimatu, w niebezpieczeństwie samotności i opuszczenia. Uświadomiony o pięknym, aczkolwiek bezdusznym pejzażu. Bezlitosnej egzotyce.

Egzotyce, która kusi. Bo kusić musi. Jak wszystko, co inne, odstające od normy. Co sprawia, że gdy w danych warunkach pobędziemy troszkę dłużej, mamy tego serdecznie dość i obiecujemy sobie, że nigdy więcej. Zaś po kilku miesiącach oglądając zdjęcia ze śniadobrunatnej pustki pokrytej dodatkową nicością, uświadomiamy sobie, że mimowolnie tęsknimy za tym miejscem. Że może jednak chętnie byśmy tam wrócili.

I wtedy przed oczami znów stanie ta osada. Miejscowość, która ujarzmiła śmiercionośne pejzaże. Która oswoiła groźną pustkę. Będziemy mieli po chwili gdzie wracać. Co zjeść. Czym się przykryć w mroźną noc. I co chyba najważniejsze: do kogo otworzyć zbolale od słonecznych oparzeń usta. Bo nie będziemy sami.

Tak. Dobrze, że istnieje takie San Pedro de Atacama. Przy niej można chcieć być bohaterem. Samotnikiem wytaczającym sobie kolejne cele. Herosem zadającym sobie ból. Bo to przecież tylko na kilka chwil. Na szczęście. ■

– To co? – wytrąca mnie z rozmyślań pan od rowerów. – Bierzysz?

– Chyba wezmę... – odpowiadam, przeliczając w portfelu resztę chilijskich peso.

– A dokąd ty właściwie chcesz nim pojechać?

– Myślałem o Valle de la Luna... – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– To zaledwie siedem kilometrów stąd. Bierz ten rower i jedź. Tylko pamiętaj o wodzie.

Hanna Shen



WYBORY NA TAJWANIE – gra o najwyższą stawkę

LET'S WIN!

W kwietniu tego roku doradca prezydenta Donalda Trumpa Steve Bannon zapytał starającego się o azyl w USA chińskiego miliardera Guo Wenguia, dlaczego wybory prezydenckie na Tajwanie w 2020 roku są ważne nie tylko dla mieszkańców wyspy. Guo nazwał tajwańskie głosowanie „symbolicznym wydarzeniem, które będzie miało głęboki wpływ na przyszłość i politykę świata”, bo ten, kto wygra, pokaże prawdziwą siłę Komunistycznej Partii Chin – wygrana kandydata popieranego przez Pekin utwierdzi chińskich komunistów w przekonaniu, że mogą wypchnąć Amerykanów z Azji i kontrolować nie tylko ten kontynent, lecz także cały świat...

11 stycznia 2020 roku Tajwańczycy będą wybierać swoich parlamentarzystów i prezydenta. Główne stracie rozegra się pomiędzy propekińską i będącą obecnie w opozycji partią Kuomintang (KMT) a określaną jako proniepodległościową i rządzącą obecnie na wyspie Demokratyczną Partią Postępu (DPP). Najbardziej zażarta walka toczyć się będzie o fotel prezydencki pomiędzy kandydatem KMT Han Kuo-yu a kandydatką DPP – ubiegającą się o reelekcję prezydent Tsai Ing-wen. Do wyborów prezydenckich jako kandydat Partii Najpierw Naród (PPF*) staje też James Soong. Będzie to już jego czwarta próba sięgnięcia po urząd prezydencki, ale sondaże i komentatorzy wskazują, że zakończy się ona raczej jak poprzednie trzy, czyli klęską.

► Pekin nie chce powtórki

W styczniowych wyborach na Tajwanie KPCh z pewnością nie chce powtórzenia scenariusza sprzed czterech lat, czyli wygranej wykształconej na Zachodzie prawniczki Tsai Ing-wen, która, choć sama nie głosi ostrych proniepodległościowych haseł, a raczej mówi o zachowaniu *status quo* wyspy, przez Pekin postrzegana jest jako twarz „separatystycznych dążeń Tajwańczyków”.

Tsai nie akceptuje tzw. Konsensusu 1992, czyli rzekomego porozumienia Tajwanu i ChRL stwierdzającego, że istnieją tylko jedno Chiny, jednak każda ze stron pozostaje przy własnej interpretacji tej jedności. Umowa ta miała być zawarta na spotkaniu przedstawicieli Tajpej i Pekinu w Hongkongu w 1992 roku. Zarówno ówczesny prezydent Tajwanu Lee Teng-hui, jak i politycy DPP wskazują na fakt, że podczas rozmów w Hongkongu nie podpisano żadnego dokumentu, który mówiłby, iż obie strony zgadzają się na istnienie jednych Chin; sam termin Konsensus 1992 ukuł osiem lat później prochiński polityk Kuomintangu, były szef tajwańskiej Rady ds. Chin Kontynentalnych (*Mainland Affairs Council*, MAC) – Su Chi. Konsensusu 1992 nie ma więc na papierze, ale Pekin nalega na jego uznawanie i mówi, że jest gotowy na rozmowy z Tajwanem na temat współpracy gospodarczej, kulturalnej i tej dotyczącej zjednoczenia, ale tylko z tymi politykami na wyspie, którzy uznają Konsensus 1992. Z Tsai Ing-wen KPCh rozmawiać nie chce i robi wszystko, by zaszkodzić jej polityce.

Przez ostatnie cztery lata rządzący w Chinach nie szczędzili wysiłków, by ograniczać pole działania i wpływów Tajwanu na arenie międzynarodowej m.in. poprzez zmuszanie państw, które oficjalnie utrzymują relacje dyplomatyczne z wyspą, do ich zrywania. Od momentu dojścia do władzy Tsai Ing-wen siedem krajów

* PPF tak jak KMT opowiada się za zjednoczeniem z Chinami.

zerwało stosunki z Tajwanem na rzecz komunistycznych Chin. W tej chwili tylko 15 państw oficjalnie utrzymuje relacje dyplomatyczne z wyspą.

Ale Pekin postanowił nie tylko naciskać na sojuszników dyplomatycznych Tajwanu. Wykorzystuje także swoje wpływy gospodarcze, by zmuszać zagraniczne firmy, aby nie traktowały Tajwanu jako państwa, lecz jako część Chin. I tak na przykład czołowe linie lotnicze są przymuszane do tego, by na przykład na swoich stronach internetowych nie używać określenia „Tajwan”, lecz „Tajwan, Chiny” jasno sugerującego, że wyspa nie jest niepodległym państwem, lecz częścią Chin.

Gdy w wyborach prezydenckich 2016 roku większość Tajwańczyków wskazała na kandydatkę proniepodległościowej DPP, KPCh postanowił też pogrozić palcem mieszkańcom wyspy i w związku z tym m.in. ogranicza liczbę turystów na Tajwan, licząc, że ruch ten uderzy w lokalną gospodarkę. Od 1 września tego roku Chińczycy nie mogą przybywać na Tajwan jako indywidualni turyści, lecz tylko jako uczestnicy grupowych wypraw organizowanych przez chińskie biura podróży. I tylko wybrane biura podróży mogą oferować takie wycieczki. Wśród tych przybywających indywidualnie na wyspę przed 1 września dominowali młodzi Chińczycy, którzy pragnęli doświadczyć, jakimi wolnościami cieszą się mieszkańcy na Tajwanie i jak to jest żyć w kraju chińskojęzycznym, lecz wolnym od rządowej inwigilacji i ograniczeń dla mediów społecznościowych.

► Kandydat Pekinu

Od kilku lat Kuomintang, który kiedyś walczył z chińskimi komunistami, jest sojusznikiem KPCh, traktując jako głównego wroga ruch proniepodległościowy na Tajwanie. Obecny kandydat KMT na stanowisko prezydenta Tajwanu Han Kuo-yu określił proniepodległościowców jako „gorszych od syfilisu”.

Dla Pekinu wygrana Hana w styczniowych wyborach to także zwycięstwo KPCh i odzyskanie wpływów na wyspie, które zmalały nie tylko z wyborem Tsai Ing-wen w 2016 roku, lecz także przez zacieśniającą się współpracę Tajwanu z USA pod rządami Trumpa.

Sam Han Kuo-yu był gwiazdą ostatnich wyborów lokalnych na wyspie. W listopadzie 2018 roku wygrał elekcję na stanowisko burmistrza Kaoshiung, drugiego co do wielkości miasta na Tajwanie będącego dotąd twierdzą proniepodległościowej partii DPP.

Han jako uznający Konsensus 1992 obiecuje poprawę relacji z Chinami. W marcu tego roku jako burmistrz podpisał umowy z czterema chińskimi miastami, w tym z Hongkongiem, aby sprzedawać tam tajwańskie produkty rolne o wartości 167 mln dolarów. Ale sami mieszkańcy Kaoshiungu przyznają, że poza umowami i podróżami Hana, miasto i oni sami nie doświadczyli

jakiegokolwiek „dobrej zmiany” po roku rządów nowego burmistrza. Kilka miesięcy po wyborze Hana na stanowisko burmistrza powstała nawet petycja w sprawie jego odwołania.

► Prochiński i ze skazami

Już w trakcie kampanii prezydenckiej Han Kuo-yu wziął urlop z urzędu sprawowanego w Kaoshiungu, czym jeszcze bardziej zirytował mieszkańców miasta. Ci jeszcze przed tą decyzją nazywali go „rzadko pojawiającym się w pracy burmistrzem”.

Polityk KMT coraz częściej gubi się też w swoich wyjaśnieniach co do zgromadzonego majątku. Zarówno w kampanii w 2018 roku, jak i teraz Han mówił o sobie, że jest „typowym Kowalskim”, że żyje jak przeciętny Tajwańczyk. Kilka dni temu tajwańskie czasopismo „Next Magazine” ujawniło, że od 1996 do 2009 roku Han z rodziną mieszkał w jednym z najdroższych apartamentowców w Tajpej. W tym samym czasie Han, jego żona, a także jej rodzina mieli też duże korzyści materialne, sprzedając i kupując nieruchomości w Tajpej i okolicy. Jak podkreślają dziennikarze i komentatorzy polityczni, na Tajwanie prawdziwy obraz Hana daleko odbiega od wizerunku przeciętnego Tajwańczyka, jaki wykreował. Han mieszkał w luksusowych apartamentowcach, jeździł drogimi samochodami i spekulował na rynku nieruchomości, m.in. uzyskując kredyty dzięki politycznym koneksjom w KMT. To nie jest przeciętny tajwański Kowalski.

Lewicowe media na Zachodzie próbują przedstawiać Han Kuo-yu jako populistę, tajwańskiego Trumpa. To błędna analogia. Jest to bardziej taki tajwański Korwin-Mikke, też prochiński, ale i łatwo obrażający różne grupy społeczne. I tak na przykład na jednym z wieców wyborczych w listopadzie tego roku Han Kuo-yu powiedział, że podczas gdy mężczyźni mogą stać z bronią w rękę przez dwie godziny, kobiety tyle samo czasu spędzają na makijażu, a dalsza część wypowiedzi sugerowała, że kobiety, aby odnieść sukces w życiu, muszą polegać na urodzie. Stwierdzenie to zostało odebrane przez wiele kobiet na wyspie jako obraźliwe.

Han w kampanii mówi o potrzebie uznania Konsensusu 1992, aby wznowić rozmowy z Pekinem. Na jednym ze spotkań ze studentami kandydat KMT powiedział, że ciągle mówienie o suwerenności Tajwanu jest „nudne”, a Chiny rządzone przez KPCh określił w relacji do wyspy jako „tatusia”. Dyskutujący w internecie po spotkaniu młodzi ludzie nazwali to „lizaniem tylnych części ciała KPCh” i „kłękaniem przed Pekinem”.

► Co ratuje Tsai

Ostatnie sondaże dają pewne zwycięstwo kandydatce DPP, obecnej prezydent Tsai Ing-wen. Ale to nie

było jeszcze takie oczywiste kilka miesięcy temu. Tsai krytykowana jest za powolne działania w celu naprawienia tajwańskiej gospodarki. Wielu nie podobało się jej poparcie dla małżeństw homoseksualnych, a pronepodległościowców irytowała częstym mówieniem o utrzymaniu *status quo* zamiast o niepodległości, używaniem nazwy Republika Chińska zamiast Tajwan czy zbyt wolnym procesem tzw. rozliczeń z przeszłości**, a także prac nad nową konstytucją***. Wielu też podziela opinię tajwańskiego publicysty Jin Heng-weia, że Tsai mimo iż mówi o reformie sądownictwa, to wcale nie ma ochoty jej przeprowadzić. W tajwańskich sądach nadal wpływy mają osoby – bądź ich rodziny – z okresu dyktatury Kuomintangu i Białego Terroru i wciąż w niektórych przypadkach obowiązują zapisy prawne z tego okresu.

A jednak duże drgnięcie w sondażach na rzecz Tsai przyniosły wydarzenia w Hongkongu. Tajwańczycy rozumieją, że to, co dzieje się w byłej kolonii brytyjskiej pod rządami Pekinu, może spotkać ich samych, gdyby poparli zjednoczenie. Mieszkańcy wyspy widzą ograniczanie wolności Hongkończyków. Ustawa dotycząca ekstradycji, którą władze w Hongkongu chciały przenieść, zezwoliłaby na wysyłanie do Chin osób krytykujących władze komunistyczne. Ogromne protesty ten zamiar rządu hongkońskiego powstrzymały, ale pokazały też, że pod rządami Pekinu Hongkończycy, by bronić swoich wolności, muszą wychodzić na ulice, są brutalnie bici przez hongkońską policję, a nawet tracą życie****.

Atak na drukarnię antykomunistycznej gazety „Epoch Times” w Hongkongu przez zamaskowane osoby mówiące po mandaryńsku (Hongkończycy mówią po kantońsku, a mandaryński to dialekt używany przez Chińczyków) z pałkami teleskopowymi w ręku (narzędzie często używane przez hongkońską policję), jaki miał miejsce nad ranem 19 listopada tego roku, uświadomił Tajwańczykom, jak niebezpieczne dla komunistów są wolne media. To, co wyróżnia Tajwan spośród wielu państw azjatyckich, to właśnie ogromna wolność wypowiedzi i wolne media. To pod rządami chińskich komunistów zostałyby Tajwańczykom szybko odebrane.

Ale Tsai Ing-wen nie może liczyć tylko na Hongkong i ufać w wygraną. Wiedziała dobrze, że musi udobru-

chać trochę już obrażony na nią elektorat zagorzałych pronepodległościowców. Nic więc dziwnego, że jako kandydata na stanowisko wiceprezydenta w przyszłorocznych wyborach wskazała polityka właśnie z tego środowiska – Williama Laia. Lai z wykształcenia lekarz, był premier Tajwanu, brał udział w tegorocznych prawyborach prezydenckich w DPP – walczył wtedy przeciwko Tsai i był to pierwszy przypadek w historii wyspy, gdy ktoś rzucił wyzwanie w partii urzędującemu prezydentowi. Lai przegrał, ale Tsai wiedziała, że potrzebuje go na swoim pokładzie, by zapewnić sobie głosy konserwatywnych pronepodległościowców.

17 listopada tego roku, gdy chiński lotniskowiec przeszedł przez Cieśninę Tajwańską*****, prezydent Tsai oficjalnie ogłosiła kandydaturę Williama Laia, który mówi o sobie, że jest po prostu działaczem na rzecz niepodległości wyspy. Pekin był wściekły i straszy, że wygrana Tsai i Laia będzie „katastrofą dla Tajwanu”.

► Chińska wojna informacyjna

Do wyborów jeszcze trochę czasu, a Pekin nasila wojnę informacyjną na Tajwanie i stara się m.in. za pomocą tzw. fake newsów dotyczących Tsai Ing-wen i polityki jej rządu wpływać na tajwańskich wyborców. Narzędziem w tej wojnie stają się także zachodnie media społecznościowe, które w samych Chinach nie mogą działać, bo nie zezwala na to komunistyczna cenzura.

11 listopada tego roku prof. Wang Tai-li z Instytutu Dziennikarstwa na National Taiwan University napisała w tajwańskiej gazecie „Liberty Times, że to na przykład YouTube (YT) jest wykorzystywany przez chińskich komunistów w wojnie informacyjnej w okresie kampanii wyborczej na Tajwanie. Od końca sierpnia do końca października na YT powstało co najmniej 10 kanałów szerzących fake newsy *à propos* sytuacji na Tajwanie i atakujących prezydent Tsai Ing-wen. Kilka dni temu Ministerstwo Sprawiedliwości na wyspie ujawniło, że gospodarz jednego z takich kanałów to dziennikarz Chińskiego Państwowego Radia (CNR), tuby propagandy KPCh.

Przed falą dezinformacyjną w najbliższych tygodniach ostrzegają Tajwańczyków ich władze. Mówią o tym także Amerykanie. „Zdajemy sobie sprawę, że Chiny próbują wywierać presję różnymi środkami na Tajwan. Oczywiście te próby wpłyną na demokratyczny proces wyborczy na Tajwanie będą obawy [...] Uważamy, że wrogie czynniki stosują kampanię dezinformacyjną, aby ludzie tracili wiarę w instytucje demokratyczne” – powiedział Brent Christensen, *de facto* ambasador USA na Tajwanie. ■

**Chodzi tu o zbrodnie i wykroczenia Kuomintangu w czasie tzw. białego terroru, czyli okresu od końca lat 40. do roku 1987, kiedy to zniesiony został na wyspie stan wojenny na Tajwanie.

*** Obecnie obowiązująca na wyspie konstytucja powstała jeszcze w Chinach w 1947 roku.

**** W okresie od czerwca do września tego roku w Hongkongu miało miejsce 256 samobójstw, znaleziono też 2537 zwłok.

***** Przed wyborami Pekin często straszy Tajwańczyków swoją siłą militarną.

Ostatni rok w Mołdawii to prawdziwy polityczny kalejdoskop. Najpierw nierozstrzygnięte wybory, potem impas w budowaniu koalicji, wreszcie zaskakujący sojusz prozachodniego obozu z obozem prorosyjskim i w efekcie odsunięcie od władzy potężnego oligarchy. Egzotyczna koalicja przetrwała tylko pięć miesięcy i pełnię rządów przejęli socjaliści, a tak naprawdę przyjazny Kremlowi prezydent. Wydarzenia w Mołdawii potwierdzają, że próba współpracy Zachodu z Rosją nie może przynieść nic dobrego. Nie da się reformować państwa wspólnie z politykami prorosyjskimi. Mołdawski eksperyment, unikalna współpraca Rosji z Zachodem, zakończył się bardzo szybko – już w pierwszym momencie realnego zagrożenia dla skorumpowanych elit. Na mołdawskim poligonie Zachód wykazał się naiwnością i może za to słono zapłacić.

Mołdawski eksperyment

Antoni Rybczyński





fot. ROBERT GHEMENT/PAP/EPA

Gruzja i Mołdawia – te dwie postsowieckie republiki łączy nie tylko problem tzw. zamrożonych konfliktów, czyli separatystycznych części terytorium, od początku lat 90. XX wieku nieuznających zwierzchnictwa legalnych władz i związanych ściśle z Rosją (Abchazja i Osetia Południowa oraz Naddniestrze). W ostatnich latach oba te państwa, niekryjące zresztą swych zachodnich aspiracji (Gruzja do NATO, Mołdawia do UE), łączył też model rządów. Dokładniej zaś wszechwładza oligarchów, niesprawujących oficjalnych funkcji państwowych, lecz rządzących z tylnego siedzenia: Bidziny Iwaniszwilego w Gruzji oraz Vladimira Plahotniuca w Mołdawii. Plahotniuc niepodzielnie rządził krajem od 2015 roku, nie zajmując przy tym państwowych stanowisk, zbudował system, w którym każda ważniejsza decyzja zależała od niego. Ważnym elementem trwania tego oligarchicznego modelu rządów były łapówki – po koperty urzędnicy, sędziowie i siłowicy osobiście stawiali się w siedzibie Partii Demokratycznej (PDM). Plahotniuc nie odpowiadał Moskwie, która zbudowała silny prorosyjski obóz w Mołdawii, bo był bardzo bogaty i niezależny. Długi czas oligarcha nie musiał się obawiać Moskwy, bo miał poparcie Zachodu. Przedstawiał się jako zwolennik reform i integracji z UE. Tyle że w kraju kwitła korupcja, zaś reformy były tak naprawdę tylko pozorowane. W Brukseli i Waszyngtonie zaczęli tracić cierpliwość, ale Plahotniuc wciąż był pewien ich poparcia – wychodząc z założenia, że skoro Zachód (zwłaszcza USA) jest w ostrym konflikcie z Rosją, to nie będzie podejmował kroków, które mogłyby umocnić rosyjskie wpływy w Mołdawii, jednym z tych postsowieckich krajów, gdzie od lat toczy się walka między orientacją zachodnią a orientacją wschodnią.

► Jesień (wiosną) oligarchy

Wybory w lutym 2019 roku przyniosły parlament podzielony mniej więcej po równo między trzy ugrupowania: Partię Demokratyczną (PDM) oligarchy Władza Plahotniuca, prorosyjską Partię Socjalistyczną (PSRM) prezydenta Igora Dodona oraz prozachodni blok ACUM. Do uzyskania większości i sformowania rządu wystarczył sojusz między dwiema z nich. Jednak ACUM z góry wykluczył koalicję z Plahotniucem, zaś z socjalistami dzieliły prozachodni blok poglądy na politykę zagraniczną i bezpieczeństwa. W tej sytuacji najbardziej prawdopodobny był układ PDM z PSRM, już zresztą faktycznie działający przed wyborami (socjaliści formalnie w opozycji, często w głosowaniach wspierali rząd związany z oligarchą). Sek w tym, że w lutym głosowaniu PSRM wypadła lepiej niż PDM, więc mogła już stawiać warunki Plahotniucowi. Rozmowy utknęły

w martwym punkcie, więc krajem administrował nadal dotychczasowy rząd PDM z premierem Pavlem Filipem na czele.

Jednak konstytucja przewiduje określony czas po inauguracji nowego parlamentu, po upływie którego prezydent może tenże parlament rozwiązać – jeśli nie uda się do tego momentu zbudować większości rządzącej. O losach Mołdawii miało w końcu rozstrzygnąć spotkanie dwóch najważniejszych ludzi w państwie: lidera PDM Plahotniuca i prezydenta Dodona. Oczywiście w tajemnicy. Dodon od dawna jest człowiekiem Putina i z nim Moskwa wiąże duże nadzieje na przyszłość. W rozmowie z Plahotniucem prezydent tak naprawdę reprezentował oczekiwania Rosji. Zażądał dla socjalistów kontroli nad kluczowymi resortami w rządzie, m.in. MSZ, obrony, MSW i finansów, szefostwa wywiadu oraz miejsc w Sądzie Konstytucyjnym. Nie docenił jednak przebiegłości rozmówcy, który całą rozmowę... potajemnie nagrywał. A Dodon odkrył karty zupełnie. Przyznał się na przykład, że socjaliści co miesiąc dostają po 600–700 tys. dolarów „wsparcia” od wysokich urzędników rosyjskich (finansowanie ze źródeł zagranicznych partii politycznych w Mołdawii jest nielegalne). Co więcej, Dodon powiedział, że Moskwa chce być de facto stroną w porozumieniu rządowym PSRM z PDM. W tym celu Dodon i Plahotniuc mieliby podpisać tajne porozumienie w obecności ambasadora Rosji. Jednym z kluczowych zapisów w tym tajnym „aneksie” do umowy koalicyjnej miała być federalizacja państwa – czyli realizacja forsowanego od lat przez Kreml scenariusza, w którym Naddniestrze formalnie uznaje zwierzchnictwo Kiszyniowa, ale posiadając ogromną autonomię i ściśle związki z Rosją, zyskuje wpływ na politykę całej Mołdawii (to oznacza ostateczne zamknięcie drogi do struktur zachodnich i pozostanie w rosyjskiej strefie wpływów). Plahotniuc odmówił zaakceptowania słowa „federalizacja”, na co Dodon zasugerował słowo „specjalny status”. I miałyby on dotyczyć nie tylko Naddniestrza, lecz także autonomicznej obecnie, ale uznającej zwierzchność Kiszyniowa, Gagauzji. W zamian, jak mówił Dodon, Putin miałby dać osobiste gwarancje, że kryminalne dochodzenia wszczęte w Rosji przeciwko Plahotniucowi zostaną umorzone.

Oligarcha wyciągnął więc z prezydenta kompromitując socjalistów informację, które następnie ujawnił (nagranie!). Plahotniuc liczył, że w ten sposób ograł Dodona i oczyścił drogę do koalicji z dominującą rolą PDM. Albo ze skompromitowanymi socjalistami, którzy nie powinni już stawiać twardych warunków, albo z ACUM, który wybrałby mniejsze zło, zapobiegając dojściu do władzy partii prorosyjskiej. Plahotniuc nie zorientował się jednak, że Zachód postanowił go skreślić... Kluczowy okazał się 3 czerwca, gdy w Kiszynio-

wie pojawili się jednocześnie wysłannicy USA (Bradley Freden, dyrektor biura ds. Wschodniej Europy w Departamencie Stanu), Unii Europejskiej (Johannes Hahn, komisarz ds. Europejskiej Polityki Sąsiedztwa) i Rosji (Dmitrij Kozak, wicepremier i specjalny przedstawiciel prezydenta ds. współpracy ekonomicznej z Mołdawią). Choć spotykali się – oczywiście nie wspólnie – ze wszystkimi głównymi graczami, od prezydenta Dodona przez liderów ACUM po p.o. premiera i Plahotniuca, to prawdziwym celem ich misji było namówienie socjalistów i ACUM do zawarcia sojuszu przeciwko Plahotniucowi. Z Dodonem, który jest posłusznym wykonawcą rozkazów z Kremla, nie było kłopotu. Więcej wysiłku musieli włożyć zachodni dyplomaci w przekonanie polityków ACUM do współpracy z obozem prorosyjskim. Ale i to się udało. Powstała koalicja i nowy rząd z prozachodnią premier Maią Sandu na czele. Ale Plahotniuc i Partia Demokratyczna nie zamierzali się poddawać. Mieli wciąż Sąd Konstytucyjny, policję i służby specjalne. Po kilku dniach impasu grożącego wręcz wybuchem wojny domowej, siedzibę PDM odwiedził ambasador USA Derek J. Hogan. Zaraz potem oligarcha skapitulował i w pośpiechu opuścił Mołdawię.

► Mołdawski poligon

Wspólnym mianownikiem dla egzotycznej koalicji prorosyjskiej lewicy z prozachodnią centroprawicą było obalenie Plahotniuca i deoligarchizacja Mołdawii. Szybko okazało się, że jednej ze stron nie chodzi o demonataż systemu zbudowanego przez Plahotniuca ani tym bardziej o prawdziwe reformy mające Mołdawię nadać oblicze bardziej europejskiego państwa niżli postsowietckiego, wschodniego. Socjaliści chcieli po prostu przejąć narzędzia po oligarsze. Jednak większość mediów na Zachodzie odebrała zmianę władzy w Kiszyniowie jako wielki sukces demokracji. Cieszą się, że premierem została znana z prozachodnich i reformatorskich poglądów Maia Sandu, zaś ACUM dostała się większość resortów, choć w parlamencie blok miał mniej mandatów niż socjaliści. Kreml jednak wiedział, co robi. ACUM oddał bowiem socjalistom kontrolę nad resortem odpowiedzialnym za negocjacje z Naddniestrzem oraz nad służbą specjalną SIS (Służba Bezpieczeństwa i Wywiadu). Sytuacja przypominała nieco pierwsze powojenne lata w kilku krajach środkowoeuropejskich, choćby Czechosłowacji, gdzie koalicyjny rząd miał premiera „demokratę”, ale siłowe resorty od początku kontrolowali komuniści. By stopniowo przejąć pełnię władzy. To samo wydarzyło się w Mołdawii, w drugiej dekadzie XXI wieku, i nie w rok czy dwa lata, a zaledwie w parę miesięcy. Ale jeszcze ważniejsze w tym wszystkim było coś innego – oto po pięciu latach

nowej zimnej wojny Zachód uznał, że spróbuje z Rosją realizować wspólny projekt. Takim projektem była koalicja w Mołdawii. W Brukseli i Waszyngtonie jakby zapomnieli, że wcześniej socjaliści współpracowali z Plahotniucem w umacnianiu państwa oligarchicznego. Więcej nawet, Dodon prezydenturę zawdzięczał właśnie nieformalnemu porozumieniu z szefem PDM. Ta krótka pamięć miała się zemścić, choć początkowo mołdawski eksperyment wyglądał obiecująco.

Rząd złożony z PSRM i ACUM miał bezpieczną większość parlamentarną 62 mandatów (36+26). Przede wszystkim zaś głęboko zakopał główne różnice. Należy przyznać, że ACUM i PSRM potrafiły schować do szuflady zasadniczy między nimi spór o kurs polityki zagranicznej Mołdawii. Dodon, wcześniej opowiadający się za zerwaniem umowy stowarzyszeniowej z UE, pojechał do Brukseli i opowiedział się za jej implementacją. Z kolei Sandu przygotowywała się już do wizyty w Moskwie. Obaj koalicjanci kwestie polityki zagranicznej odsunęli na bok, zawierając tu daleko idący kompromis, który pozwalał na jednoczesne zbliżenie z Moskwą i współpracę z UE. Od początku było jednak jasne, że to sytuacyjna koalicja. Do najbliższych wyborów, najpewniej przedterminowych. Ale mało kto się spodziewał, że krach nastąpi tak szybko. O co poszło?

► Moskwa broni swoich

Cztery miesiące po zmianie władzy socjaliści postanowili przejąć kluczowe stanowiska w sądownictwie i prokuraturze. Po prostu swoimi ludźmi zastępując nominatów Plahotniuca, a nie reformując system – co było jednym z głównych punktów programu deoligarchizacji. W efekcie socjalistyczny deputowany stanął na czele Sądu Konstytucyjnego, zaś doradca prezydenta Dodona objął funkcję szefa Narodowego Centrum Antykorupcyjnego. Współpracując z obsadzoną wciąż przez ludzi Plahotniuca, nietkniętą kadrowo Narodową Radą Audiowizualną (regulator mediów), socjaliści dostali nowe licencje dla kilku powiązanych z partią mediów, w tym kanału telewizyjnego, który retransmituje w Mołdawii rosyjski Kanał Pierwszy. Accent TV dostał prawo retransmitowania Pierwszego Kanału, zmieniając przy okazji nazwę na Primul in Moldova (Pierwszy w Mołdawii). Biorąc pod uwagę popularność rosyjskich mediów w kraju, socjaliści zyskali potężne narzędzie wpływu.

Nastąpiło zderzenie z postulatami ACUM, wzywającego do uwolnienia sądownictwa, prokuratury i organów regulujących rynek spod wpływów politycznych. W tej kryzysowej sytuacji rząd Sandu postanowił doprowadzić do przesilenia – powiedzieć „sprawdzam”. Okazją stał się wybór nowego szefa Biura Prokuratora Generalnego. ACUM chciał odpolitycznić urząd. Rząd

zorganizował otwarty konkurs na krótką listę kandydatów na stanowisko. Ale to stoperował socjalista zasiadający w komisji konkursowej. Dawał drastycznie wysokie lub niskie oceny kandydatom, zależnie od ich politycznych preferencji. W ten sposób skompromitowano całą ideę konkursu. Podobnego schematu socjaliści użyli w konkursie na stanowisko szefa Narodowego Centrum Antykorupcyjnego (CNA). Został nim były doradca prezydenta Dodona, Ruslan Flocea – mimo że media donosiły o nieprawidłowościach w jego zeznaniach majątkowych. Minister sprawiedliwości anulowała wyniki konkursu, zaś rząd wniósł do ustawy o prokuraturze poprawki likwidujące procedurę konkursową i przekazujące w ręce premiera prawo do wysuwania kandydatur i przedstawiania ich Najwyższej Radzie Prokuratorów. Sandu postanowiła wykorzystać konstytucyjny zapis, który mówi, że decyzja rządu może stać się prawem bez aprobaty parlamentu – chyba że parlament w ciągu 72 godzin uchwali wotum nieufności dla rządu. To był prawdziwy test intencji socjalistów – a ci wspólnie z PDM uchwalili wotum nieufności. W głosowaniu przeciwko gabinetowi Mai Sandu opowiedziało się 63 deputowanych w 101-osobowym parlamencie. „Niestety niektórzy złodzieje z parlamentu przestraszyli się reform, które przygotowujemy” – powiedziała Sandu. Kilka dni później powołano nowy rząd premiera Iona Chicu. Złożony głównie z doradców Dodona, popierany przez socjalistów. Uzyskał większość w parlamencie dzięki głosom PDM.

To koniec realnych, strukturalnych reform rozpoczętych w czerwcu przez rząd Mai Sandu. Nowy gabinet będzie tylko symulował reformy, aby zagwarantować sobie utrzymanie chociaż części zachodniej pomocy finansowej, którą Mołdawia uzyskuje w czasie rządów Sandu. ACUM z 26 deputowanymi znalazł się w opozycji. Zgodnie z kalendarzem wybory odbyć się mają dopiero w 2023 roku, ale niewykluczone, że Dodon zorganizuje je wraz z prezydenckimi już w 2020 roku – celem jest uzyskanie takiej większości przez socjalistów, by już nie byli zależni od innych. Także prezydent liczy na reelekcję. Jego głównym rywalem będzie najpewniej Sandu. Była już premier ma dobrą pozycję wyjściową. Okazała się politykiem walczącym o czystość reguł, wrogiem korupcji, zwolennikiem reformy wymiaru sprawiedliwości. Politykiem pryncypialnym, nieustępującym w najważniejszych sprawach. Pytanie, czy UE i USA wykażą się dojrzałością polityczną, wyciągną wnioski z dotychczasowych porażek i mocno poprą kandydatkę prozachodniego obozu? Jeśli bowiem Dodon znów wygra, a socjaliści umocnią władzę, Mołdawia na dobre stoczy się do rosyjskiej strefy wpływów. Dojdzie do federalizacji oznaczającej zablokowanie dążenia kraju do Europy, a prorosyjska Mołdawia stanie się problemem zarówno dla Rumunii, jak i Ukrainy. ■

Olga Doleśniak-Harczuk



Zdławiona rewolucja na 100-lecie rewolucji

Hasło: Niemieckie kobiety. Jeżeli wierzyć statystykom, trzy czwarte z nich nie wie, czym jest miłość od pierwszego wejrzenia, co trzecia wybrała życie w pojedynkę. Same remontują swoje mieszkania i taszczą walizki, na parapecie storczyk, na kanapie kot. Tyle badania.

A co z polityką? W Niemczech 2019 rok upłynął pod znakiem świętowania stulecia przyznania kobietom praw wyborczych. I kończy się, przynajmniej dla części z nich, ciekawą konkluzją.

Marie Behnke, rocznik 1880, służąca z Wilhelmshaven. Nieślubne dziecko służącej, Wilhelminy Rosenbohm, żona robotnika stoczni cesarskiej. Marie Baum, urodzona w 1874 roku w Gdańsku, córka ordynatora szpitala miejskiego i działaczki ruchu feministycznego, potomkini słynnego rodu Mendelssohnów-Bartholdych, jedna z pierwszych Niemek, która uzyskała dyplom uczelni wyższej. Na szwajcarskiej akademii, bo u siebie nie było wolno.

Marie Juchacz, rocznik 1879, krawcowa, służąca, pracownica fabryki i pierwsza kobieta, która wygłosiła mowę w niemieckim parlamencie. To wyliczanka okolicznościowa. Na koniec roku jubileuszowego.

W styczniu 1919 roku Niemki po raz pierwszy w historii wzięły udział w wyborach do Niemieckiego Zgromadzenia Narodowego. 82 procent uprawnionych do głosowania poszło do wyborów. Z 423 mandatów 37 przypadło wtedy kobietom. Nieźle jak na polityczny

debiut. Najwięcej, bo aż 19 z nich, należało do SPD, do dziś zresztą to socjaldemokraci, w ślad za Zielonymi, najlepiej potrafili zagospodarować żeński elektorat. I to mimo ostatnich docinków pod ich adresem ze strony federalnej minister do spraw rolnictwa Julii Klöckner, o czym później.

► Angela Cindy nierówna

Frau Behnke, Baum i Juchacz 100 lat temu przetrąli szlak, którym dziś z taką oczywistością poruszają się Angela Merkel, Annegret Kramp-Karrenbauer, Ursula von der Leyen i wiele innych. W Bundestagu A.D. 2019 na 709 deputowanych – 221 to kobiety. Sto lat kobiecego marszu przez instytucje, łamanie reguł, rozbijania szklanych sufitów przyniosło owoce. Niby tak. Patrząc z perspektywy 1919 roku. Sto lat później sytuacja już wygląda inaczej. W ostatnich wyborach (2017 rok) udział kobiet w Bundestagu spadł o 5,6 proc. i wynosi dziś 30,9 proc., co jest najsłabszym wynikiem od 1989 roku. Liczba kobiet w CDU spada, aktualnie wynosi 26,3 proc., podczas gdy u Zielonych jest to 40,5 proc., a w SPD 32,6 proc. Z drugiej strony to w końcu kobieta kanclerz trzyma krótko swoich męskich kolegów, jej była zastępczyni, Ursula von der Leyen, właśnie objęła stanowisko szefowej Komisji Europejskiej, a na czele niemieckiego MON-u stoi przewodnicząca CDU, Annegret Kramp-Karrenbauer. Mało tego, jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, najdalej za dwa lata pierwsza Niemka polecą w kosmos. Kobiety stoją na czele koncernów medialnych i gigantów wydawniczych, Friede Springer, wdowa po Axelu Springerze, i Elisabeth Mohn, zawiadująca m.in. Fundacją Bertelsmanna, to najbardziej prominentne nazwiska branży. Susanne Klatten, z domu Quandt, kojarzonego głównie z BMW, to najbogatsza kobieta Niemiec, jej majątek szacuje się na ponad 21 mld dolarów. A to zaledwie kilka przykładów. Z najwyższej półki. I zdaniem krytyków – zbyt krótkiej. Zwłaszcza że na przeciwnym biegunie vegetują dziewczyny z Marzahn, różne Cindy i Mandy, których edukacja zatrzymała się wcześniej niż powinna, a luksus mierzy się długością paznokci i trzepotem sztucznych rzęs. Między Friede ze Springera, Angielą z Kanclerzamt i Ursulą z Komisji a różowym proletariatem z niemieckich Marzahnów rozciąga się taśma z setką innych kobiecych scenariuszy na siebie. Niemek, które wygrały na emancypacji i potrafiły ją obrócić na swoją korzyść, i takich, które nie umiały udźwignąć jej zdobyczy w sposób – nazwijmy to – zrównoważony. Emancypacja niemieckich kobiet, niezależnie od tego, czy w swoich początkach nosiła znamiona umiarkowania (Lily Braun), czy marksistowskiej nadgorliwości (Clara Zetkin), to proces podobno zakończony. Podobno. Po-

nieważ rewolucja nie ustaje, tylko zmienia hasła. Tylko że z rewolucjami też różnie bywa, czasem są podcinane przez siły im teoretycznie przyjazne.

► Tego się nie spodziewały

Przed zjazdem CDU w Lipsku (22–23 listopada 2019 roku) pojawiła się informacja, że chadecy zamierzają zacząć się na poważnie parytetami na listach wyborczych. Postulat wpisania parytetów na agendę zaistniał w mediach na krótko przed zjazdem. W wywiadzie dla magazynu „Cicero” Sylvia Pantel, która w Bundestagu zasiada od 2013 roku i należy do Unii Kobiet CDU, skarżyła się, że: kobiet w polityce jest za mało, przegrywają z mężczyznami już na starcie, ponieważ są podwójnie obciążone (dom plus praca) i niezależnie od tego, jak fantastyczne by były, to i tak nikt ich nie wybiera. Tak się bowiem składa, że co trzecie miejsce na listach wyborczych musi być przyznane kobietom, ale wyborcy chadeków i tak jakoś bardziej są skłonni stawiać na mężczyzn. Sylvia Pantel nie ma pomysłu, jak to zmienić, jedyny, który przychodzi jej do głowy, to ustalenie sztywnego parytetu. Powagi sytuacji nie dostrzegł najwidoczniej przewodniczący Komisji Wniosków (podczas zjazdu chadecy rozpatrują mnóstwo przeróżnych wniosków, podczas lipskiego zjazdu księga z wnioskami i rekomendowanymi tematami osiągnęła objętość 363 strony) i sekretarz generalny CDU, Paul Ziemiak. Polityk zaproponował, by sprawę priorytetów na razie przekazać „innym gremiom”, które mają się im przyrzec w pierwszej kolejności. Unia Kobiet posłusznie się zgodziła, chociaż nie ukrywano rozczarowania. Chadecy mają większe problemy niż nadające posłanki. A kobiety na szczytach CDU, czyli te, którym udało się tam wdrapać bez parytetów, z pewną pobłażliwością nawet spoglądają na kobiece doły partyjne. A ponieważ najlepszą obroną jest atak, a chadeckie panie polityk nie są pozbawione genu walki, sprawa kobieca na lipskim zjeździe przyjęła ciekawy obrót. Julia Klöckner, minister rolnictwa i polityki żywnościowej, miała mówić o rolnictwie i lasach i nawet sporo powiedziała, ale pod koniec skrzyła w stronę krytyki SPD. Klöckner nawiązała do plebiscytu na szefów SPD, który odbywa się parami. Polityk, który chce ubiegać się o kierowanie partią, musi podzielić się władzą z jakąś koleżanką partyjną. Duety kobieco-męskie walczą o władzę na wzór Zielonych. – U nas kobiety nie potrzebują mężczyzn, by kandydować na szefa partii! – oznajmiła Klöckner. Czy można bardziej uroczco zadać śmierć parytetowym fanaberiom? Członkinie Unii Kobiet, te same, które w zeszłym roku w Hamburgu tak mocno wsparły Annegret Kramp-Karrenbauer, miały nietęgę miny. Tak, mówiąc językiem portali internetowych: tego się nie spodziewały. ■

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

► Chiny–Czechy

Uniwersytet Karola w Pradze zamknął istniejące na uczelni Centrum Czesko-Chińskie w związku z tajnymi chińskimi płatnościami na rzecz pracowników Centrum. Wcześniej uczelnia zwolniła Milosa Balabana, do niedawna kierownika uniwersyteckiego Centrum Polityki Bezpieczeństwa, oraz dwóch innych członków wydziału nauk społecznych, którzy założyli Centrum. „W świetle obecnych ustaleń możemy zobaczyć, jak bardzo uczelnie są narażone na wpływy zagraniczne” – powiedział rzecznik wydziału Jakub Riman. „Uważamy, że jest to poważne ryzyko i chcemy zapobiec powtórzeniu się czegoś takiego w przyszłości, docierając do źródła sprawy”.

Odnosząc się do skandalu Jakub Janda, dyrektor czeskiego think tanku Europejskie Centrum Wartości, powiedział, że „w niektórych zachodnich krajach o dużej liczbie imigrantów Komunistyczna Partia Chin może liczyć na wsparcie ze strony lokalnej chińskiej diaspory w celu budowania swoich wpływów. W Europie Środkowej nie ma zbyt wielu chińskich imigrantów, więc partia musi się skupić na nawiązywaniu relacji z lokalnymi elitami. Gdy będą już w stanie wpływać na kolejne pokolenia akademików, będą także mogli kreować korzystną dla siebie narrację na każdej płaszczyźnie”.

Wydarzenie na Uniwersytecie Karola to niejedyny w ostatnim czasie spięcie na linii Praga–Pekin. W październiku tego roku stolicy Czech i ChRL zerwały umowę o wzajemnej współpracy, ponieważ burmistrz Pragi Zdenek Hrib domagał się usunięcia z umowy zapisu o „jednych Chinach”.

Hrib od dawna nie kłania się chińskim komunistom i wspiera tybetańskich dysydentów oraz odwiedził Tajwan uważany przez Chiny za zbuntowaną prowincję. Na początku marca tego roku w budynku rady miejskiej Pragi wywieszono flagę tybetańską, a burmistrz Hrib wręczył symboliczne klucze do miasta Lobsangowi Sangay-

owi, tybetańskiemu premierowi na uchodźstwie. „Nasz kraj doświadczył dwóch reżimów totalitarnych i właśnie dlatego przekazujemy nasze wsparcie Tybetowi” – powiedział Hrib. Dodał, że chce okazać solidarność z narodem tybetańskim, który został „przed 60 laty pozbawiony wolności w niezwykle brutalny sposób”. Pod koniec marca burmistrz Pragi polecił na Tajwan, gdzie spotkał się z prezydent Tsai Ing-wen oraz innymi wysokimi rangą politykami. Przez władze Tajpej został odznaczony honorowym obywatelstwem.

► Chiny–Tajwan–Hongkong

W wywiadzie dla tajwańskiej gazety „Liberty Times” hongkoński wydawca Lam Wing-kei, który uciekł z Hongkongu na Tajwan, stwierdził, że „wolny Tajwan musi nie tylko posiadać armię, która byłaby w stanie oprzeć się autokratycznym Chinom, lecz także używać książek, by przeciwstawić się wszechobecnemu praniu mózgu chińskiej dyktatury”.

W Hongkongu Lam prowadził wydawnictwo i księgarnię, gdzie ukazywały się książki krytyczne wobec komunistycznych władz Chin. W 2015 roku wydawca został porwany przez agentów chińskiej bezpieki do Chin, gdzie był więziony i – jak twierdzi – poddany psychicznym torturom. W czerwcu 2016 roku Lam wrócił do Hongkongu, a w kwietniu 2019 roku zdecydował się uciec na Tajwan, ponieważ obawiał się, że może zostać wydany do Chin na mocy proponowanego przez Hongkong projektu ustawy o ekstradycji. Mimo że w wyniku protestów władze Hongkongu ostatecznie zrezygnowały z wprowadzenia ustawy w życie, Lam Wing-kei nie zdecydował się wrócić do byłej kolonii brytyjskiej i w Tajpej otworzył księgarnię. W wywiadzie określił Hongkong jako „niebezpieczne miejsce”, ponieważ tamtejsza policja niszczyła rządy prawa, a rząd Hongkongu na to pozwolił. Według Lama Pekinowi zależy na

tym, by Hongkong stał się jak najszybciej w pełni kontrolowany przez chińskich komunistów.

Wydawca uważa też, że Tajwan jest najbardziej zagrożony przez własnych mieszkańców, którzy ignorują chińską infiltrację społeczeństwa, oraz przez tych, którzy wykorzystują swoje prawo głosowania na wyspie, by popierać kandydatów przyjaznych autorytarnym Chinom. Lam powiedział ponadto, że Chiny wcale nie muszą bezpośrednio „prać mózgow” Tajwańczykom, ponieważ mieszkańcy wyspy już są poddani indoktrynacji „przez chińskie elementy kulturowe w społeczeństwie”. Jako przykład podał obecność w księgarniach i bibliotekach na Tajwanie wielu pozycji „wychwalających chińską kulturę”.

Lam stwierdził, że kultura tajwańska jest nadal pod silnym wpływem chińskiej kultury konfucjańskiej, która wychwała władców i bardzo różni się od zachodniej koncepcji uniwersalnej równości. Hongkoński wydawca uznał też zaślepienie tradycyjną kulturą chińską i akceptację jej na Tajwanie za największe źródłem niestabilności dla wyspy. „Jeśli to pokolenie Tajwańczyków nie będzie w stanie pokonać tego zaślepienia, nie będzie w stanie uwolnić się od destabilizującego zagrożenia” – skwitował Lam.

► Wietnam

W połowie listopada sąd w prowincji Nghe An w północnym Wietnamie skazał 43-letniego Nguyna Nang Tinha, nauczyciela i katolickiego aktywistę, na 11 lat więzienia za „rozpowszechnianie antyrządowych informacji i materiałów” na Facebooku. Nguyen nie przyznał się do winy i twierdził, że konto na portalu społecznościowym, choć prowadzone pod jego imieniem i nazwiskiem, nie należało do niego. Według organizacji Human Right Watch aresztowanie Nguyna Nang Tinha to część represji wobec zwolenników demokracji i polityki wielopartyjnej, wśród których jest wielu katolików.

Wietnam nazywany jest najstarszą córką Kościoła katolickiego w Azji. Jednak wyznawcy Chrystusa represjonowani byli przez miejscowych władców od chwili pojawienia się w XVI wieku pierwszych misjonarzy. Dziś katolicka społeczność liczy około 8 mln osób (całkowita liczba ludności to 82 mln) i jest najliczniejszą, po filipińskiej, katolicką wspólnotą w Azji Południowo-Wschodniej. Jednak Kościół wietnamski nadal przeżywa trudne chwile. Rządzący Wietnamem komuniści ingerują w wewnętrzne sprawy lokalnego Kościoła, kwestionując na przykład dokonywane przez Rzym nominacje biskupie. Prowadzona jest bardzo restrykcyjna polityka wobec prasy czy edukacji katolickiej. Organizuje się oblawy policyjne na parafie, podczas których niszczone są figury świętych i księgi. Katolicy domagający się zwrotu tere-

nów należących do Kościoła, które teraz często padają łupem partyjnych aparatczyków bogacących się na sprzedaży nieswojej własności, są aresztowani i nieradko poddawani torturom.

Jednak mimo okrutnych represji w Wietnamie i nieudanej próby stworzenia Kościoła patriotycznego na wzór chiński (uznającego partię) rośnie liczba wiernych i powołań. W ciągu ostatnich 10 lat liczba powołań do kapłaństwa zwiększyła się o 50 proc., a obecnie w Wietnamie istnieje siedem wyższych seminariów duchownych.

► Sri Lanka

Wybory prezydenckie w Sri Lance wygrał prochiński polityk Gotabaya Rajapaksa. Był kandydatem opozycyjnej syngaleskiej partii Front Ludowy Sri Lanki, której liderem jest jego brat, były prezydent Mahinda Rajapaksa. Pod rządami brata Gotabaya Rajapaksa był ministrem obrony.

Według agencji AP zwycięstwo Rajapaksy oznacza powrót do władzy rodziny, którą odsunięto w wyborach w 2015 roku, bo oskarżano ją o nepotyzm, zarabianie na umowach z Chinami, które doprowadziły do powstania kosztownych i niepotrzebnych inwestycji, a także łamanie praw człowieka podczas wojny domowej na Sri Lance.

W czasie rządów Mahida Rajapaksa uzależnienie od Chin i ich pożyczek doprowadziły do tego, że następny rząd musiał przekazać w dzierżawę na 99 lat Port Hambantota chińskim firmom kontrolowanym przez komunistyczne władze Chin, bo nie był w stanie spłacić rat kredytów. Port okazał się komercyjnym fiaskiem, ale uważa się, że w przyszłości infrastruktura ta będzie wykorzystywana przez Chiny militarnie.

W połowie 2019 roku marynarka wojenna Sri Lanki oficjalnie odebrała fregatę, która cztery lata wcześniej została wycofana z chińskich sił morskich. Był to dar komunistycznych Chin, które chcą uzależnić wojskowo Sri Lankę, uzyskując punkt oparcia i sojusznika na środku Oceanu Indyjskiego.

Za rządów Mahinda Rajapaksa w zamian za wpływy Pekin oferował władzom Sri Lanki m.in. międzynarodową ochronę dyplomatyczną przed krytyką za łamanie praw człowieka.

Tuż po ogłoszeniu wyników wyborów Gotabaya Rajapaksa powiedział, że będzie przywódcą wszystkich Lankijczyków, niezależnie od ich przynależności etnicznej czy religijnej. „Zrozumiałem, że jestem prezydentem wszystkich obywateli, nie tylko tych, którzy zagłosowali na mnie, lecz także tych, którzy głosowali przeciw mnie. Mam świadomość, że muszę służyć każdemu Lankijczykowi” – stwierdził zwycięzca wyborów prezydenckich w Sri Lance. ■

TLUMACZENIE I OPRACOWANIE
Antoni Rybczyński

Służby specjalne, które przejęły władzę w Rosji, nie są przez nikogo kontrolowane

Tej jesieni minęło równo 20 lat od serii zamachów bombowych na bloki mieszkalne w Rosji. Blisko dwa lata później Aleksandr Litwinienko i Jurij Felsztinski wydali książkę, w której twierdzili, że zamachy to prowokacja FSB i Putina. Litwinienko zamordowali w 2006 roku agenci rosyjscy. Felsztinski nadal żyje na emigracji. Niedawno udzielił wywiadu czeskiemu dziennikowi „Denik N”. Treść tego wywiadu zamieszczono też 19 października 2019 roku na stronie internetowej Echo Rosji. Publikujemy jego obszernie fragmenty.

► **Po przeczytaniu Pańskiej książki „FSB wysadza Rosję” [polskie wydanie ma tytuł „Wysadzić Rosję” – przyp. tłum.], można już do końca życia nie zasnąć. Pan śpi dobrze?**

Z poprawką na wiek – tak. Inna sprawa, że napisałem dużo książek. Zwykle z momentem publikacji temat się kończy. Stawiasz kropkę i w bezpośrednim sensie, i w przenośni. A z „FSB wysadza Rosję” było inaczej. Postawiliśmy kropkę, opublikowaliśmy książkę – w Rosji w sierpniu 2001 roku w specjalnym wydaniu „Nowej Gazety” – i wtedy wszystko się zaczęło.

► **Dlaczego czytelnik powinien wierzyć we wszystko, co piszecie w książce? Niektóre twierdzenia przypominają konspirologię, a nie dowody.**

Napisaliśmy książkę w 2001 roku. Minęło blisko 20 lat, i 20 lat od momentu wysadzenia w Rosji domów we wrześniu 1999 roku, czemu poświęcona była książka. W tym czasie nie pojawiły się jakiekolwiek dowody zaprzeczające naszej teorii i naszym twierdzeniom. Nawet według wersji FSB w zamachach nie uczestniczył ani jeden Czeczen. A przecież wojnę zaczęli w odpowiedzi na zamachy właśnie przeciwko Czeczenii! [...] Ale główny dowód na potwierdzenie naszej teorii rosyjskie władze dostarczyły w 2006 roku, gdy 1 listopada w Londynie otruły współautora książki radioaktywną trucizną. Kiedy i gdzie w Rosji zabijali za kłamstwo? W Rosji zabijają tylko za prawdę.

[...]

► **Wydaje się, że metody rosyjskich służb chyba najbardziej przypominają te stosowane przez mafie, świat podziemny... Ale liczni Czesi powiedzą: tak działają wszystkie specsłużby na świecie, w tym amerykańskie i izraelskie...**

Wydaje mi się, że to nie tak. Tak, służby specjalną są we wszystkich krajach. Gotów jestem nawet zgodzić się, że wiele z nich dopuszcza się zabójstw swoich wrogów. Ale nie znamy przypadków – przynajmniej ja nie mogę sobie teraz takich przypomnieć – kiedy przeciwnika truto radioaktywną substancją, skażając przy tym całe rejony miasta, w tym przypadku Londynu, lub paraliżującym gazem zakazanym międzynarodowym prawem, zabijając lub trując przy tym niewinnych przechodniów i policjantów. To specyfika rosyjskich służb, które w ogóle nie przejmują się światową opinią publiczną, bo wiedzą, że mogą działać

z całkowitą bezkarnością. Rosyjscy terroryści wiedzą, że jeśli wpadną, to koniec końców i tak zostaną uwolnieni lub wymienieni. A jeśli nie zostaną zatrzymani – mogą liczyć na nagrodę zaraz po powrocie do kraju, tak jak wynagrodzono zabójcę Litwinienki Andrieja Ługowoja, który stał się jednocześnie deputowanym parlamentu i skutecznym biznesmenem. Jest to możliwe tylko dzięki temu, że za rosyjskimi specsłużbami stoi całe rosyjskie państwo i przede wszystkim prezydent Władimir Putin – sam były oficer KGB i były dyrektor FSB.

► **Litwinienko nie był jedyną ofiarą – podobno – rosyjskich służb. Rosjanie za granicą umierali gwałtownie także potem. Widzi Pan jednego zleceńodawcę? Jeśli tak, to kim on jest?**

W pytaniu jest jedno niepotrzebne słowo: „podobno”. Jeśli chodzi o zabójstwo Litwinienki, wiemy absolutnie wszystko. Brytyjska policja przeprowadziła śledztwo w sprawie tego otrucia i udowodniła, że Litwinienko padł ofiarą rosyjskich służb. Oczywiście tego, że rozkaz wydał osobiście Putin, udowodnić się nie da. Ale to jedyna nieudowodniona rzecz. Powtórzę, że najważniejsze dowody zaangażowania kierownictwa służb w zabójstwo Litwinienki dostarczyły nam rosyjskie władze, które nagrodziły Ługowoja i orderem, i miejscem w parlamencie, i pieniędzmi. Jeśli Ługowej nie zabił Litwinienki, to za co go tak nagradzali? Tak więc w przypadku Litwinienki zleceńodawca to bez wątpienia FSB uważająca Litwinienkę za „zdrajcę”. W przypadku Siergieja Skripala na udział rosyjskich służb w otruciu wskazuje wybór broni – gaz paralityczno-drgawkowy produkowany w Rosji. Nie w Czechach, jak powiedział wasz prezydent Mirosław Zeman, aby wprowadzić w błąd światową opinię, a w Rosji. Za otruciem Skripalów stoi GRU rosyjskiej armii, bo Skripał służył w GRU i „zdrady” dokonał wobec GRU. Nie przypadkiem ludzie, którzy przybyli do Anglii, aby go otruć, byli właśnie z GRU, a nie z FSB. Wcześniej, w lutym 2004 roku, w Katarze został zabity były prezydent Czeczenii Zelimchan Jandarbijew. Zabójcy zostali zatrzymani i okazali się oficerami GRU. *Pro forma* przetrzymano ich krótko w więzieniu i odesłano do Rosji. Prasa pisała, że Putin ich wykupił. Do szeregu zabójstw za granicą doszło na zlecenie obecnego prezydenta Czeczenii Kadyrowa. Tak czy inaczej, to zawsze służby specjalne Federacji Rosyjskiej.

► **Jaką rolę we wszystkich operacjach rosyjskich służb poza granicami Rosji odgrywa Putin? Zawsze wie o każdej akcji?**

To złożony problem. Nie znam odpowiedzi. Wydaje mi się, że Putin nie ceni ludzi niezależnych i źle

postrzega nieuzgodnione z nim decyzje. Lubi być w temacie i wszystko trzymać pod kontrolą. Z tego powodu wydaje mi się, że w dzisiejszej Rosji nikt nie ośmieli się zabijać za granicą, i to jeszcze z wykorzystaniem niestandardowej broni typu polon lub nowiczok, nie uzgodniwszy tego z Putinem. Ale wielu moich znajomych, poważnych specjalistów lub byłych pracowników sowieckich służb, uważa inaczej. Dlatego nie mogę jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie.

► Gdzie świat, UE i USA, popełniają błąd? Jak powinniśmy działać, jak przeciwstawiać się rosyjskim wpływom?

Przede wszystkim chcę zauważyć, że UE i USA nie mają za zadanie zapobiegać rozwojowi rosyjskich wpływów. Celem jest układanie relacji z Rosją, a nie „przeciwdziałanie” jej lub Putinowi. Z mojego punktu widzenia to jest właśnie główny strategiczny błąd Zachodu. W czasach ZSRS wszyscy wiedzieli, że Związek Sowiecki to wróg. Obecnie nikt (lub prawie nikt) nie uważa Putina za wroga. Tymczasem jest on zagrożeniem dużo poważniejszym i podstępniejszym niż Związek Sowiecki. Dlatego że ZSRS miał do dyspozycji KGB, nad którym istniała polityczna kontrola partii. Obecnie Federacja Rosyjska ma KGB (FSB), nad którym nie ma żadnej politycznej kontroli. Innymi słowy, specsłużby, które przechwyciły władzę w Rosji, nie są przez nikogo kontrolowane. To śmiertelne zagrożenie dla całej ludzkości. Aby się z tym zmierzyć, trzeba rozumieć, czemu i komu się przeciwstawia i z jakiej przyczyny. W UE i USA nie ma niestety takiego zrozumienia. Jednak Rosja jako państwo przejęte przez FSB jest dziś wrogiem zachodniej demokracji. Im szybciej dojdziemy do tego wniosku, tym łatwiej będzie walczyć ze wspólnym przeciwnikiem.

► Kim tak naprawdę był Aleksandr Litwinienko? Jakim był człowiekiem, co się stało, że przejrzał na oczy – wcześniej nie działał tylko na korzyść swego narodu?

O tym można by napisać książkę. Litwinienko uważał, że do 1991 roku KGB służyła Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego. A po 1991 roku służby powinny służyć nowej kapitalistycznej Rosji. Stare kierownictwo KGB i FSB we wszystkich biznesmenach widziało złodziei. Litwinienko dostrzegał w nich biznesmenów nowego zachodniego typu. Ale on nie przejrzał na oczy, on po prostu rozumiał wcześniej niż inni, że zmieniły się czasy, a FSB powinna obsługiwać interesy nowej klasy rządzącej, a nie stać się tą nową

klasą rządzącą, podporządkowującą sobie biznes i całą Rosję – jak to się z czasem stało.

► Za niewystarczającą liczbę dowodów krytykowały Pana takie osoby jak Siergiej Kowaliow i Julia Łatynina... Nigdy z nimi na ten temat Pan nie rozmawiał?

Latem 1998 roku w Nowym Jorku po raz pierwszy spotkałem się z Borysem Bieriezowskim i dogadałem się z nim, że przylecę do Moskwy, żeby pisać jego biografię. To było bardzo dziwne porozumienie, o którym i on, i ja zapomnieliśmy, gdy tylko przyleciałem do Moskwy we wrześniu 1998 roku, dlatego że zaczęło się zupełnie inne życie. W tym czasie cała Rosja była zahipnotyzowana i uważała, że Rosją rządzi Bieriezowski. Niestety, z jednej strony ten mit podtrzymywała FSB, a z drugiej – sam Bieriezowski, który uważał, że w Rosji jest bardzo wygodnie, gdy wszyscy uważają cię za wpływowego i bogatego. Ta wiara we wszechwładzę Bieriezowskiego była absolutna, ale nie miała żadnego odzwierciedlenia w rzeczywistości. Bieriezowskiego nikt nie lubił, nawet był znienawidzony, nikt mu nie wierzył, ani jednemu jego słowu, uważano go za jakiegoś demona współczesnej Rosji. I kiedy we wrześniu 1999 roku w Rosji doszło do zamachów, jedna z wersji mówiła, że organizował je Bieriezowski – dlatego że taki z niego geniusz zła – jeśli coś się dzieje, to znaczy, że zrobił to Bieriezowski. Nie żartuję i nie przesadzam. W to wierzył prawie cały kraj. Niestety Kowaliow i Łatynina należeli do tych ludzi, dla których najważniejsze było wykazać, że za zamachami stał Bieriezowski. Dlatego że on był dla nich straszniejszy niż Putin. Pamiętam, jak powołano komisję z Siergiejem Kowaliowem na czele mającą badać zamachy z września 1999 roku. Para członków tej komisji z przewodniczącym przylecieli do Londynu porozmawiać ze mną, Litwinienką i Bieriezowskim. Podeszedłem do Kowaliowa i poprosiłem o rozmowę w cztery oczy, podkreślając, że odpowiem na wszystkie jego pytania i wszystko mu opowiem i wyjaśnię. Kowaliow tego nie zrobił, spotykać się z mną w cztery oczy nie chciał. Zaprosił do wspólnej rozmowy mnie i Litwinienkę. Na tym spotkaniu nie powiedziałem ani słowa, bo Kowaliow o nic mnie nie pytał. Dość szybko poleciał z powrotem do Moskwy i oświadczył, że przeprowadził dochodzenie i że Bieriezowski „zwykajnie kłamie”. Nazajutrz taka informacja pojawiła się na czołówkach gazet w Rosji. W rzeczywistości Bieriezowski w ogóle nie miał nic wspólnego z książką „FSB wysadza Rosję” i nie zajmował się wyjaśnianiem okoliczności zamachów z września 1999 roku. Na temat wybuchów Kowaliow był zobowiązany porozmawiać ze mną, a nie z Bieriezowskim i nawet nie z Litwinienką,

dlatego że książkę pisałem ja, a nie Litwinienko. Kowaliowa interesował Bierzowski, a nie wysadzanie domów. Było zresztą inne interesujące oświadczenie Kowaliowa. Powiedział coś w stylu: „jeśli przyznam, że domy wysadzały służby, jak ja po tym będę mógł żyć w Rosji? A ja chcę żyć w Rosji”. To była odpowiedź na pytanie: dlaczego Kowaliow nie wierzył, że budynki mieszkalne wysadziły służby. Nie był gotów uznać Putina za złodzieja. Prościej i bezpieczniej było przypisać to Bierzowskiemu, tym bardziej że podobnie uważała połowa Rosji. Jeśli chodzi o Julię Łatyninę, to i ona uważała, że operację 1999 roku organizował Bierzowski. Ale jest bardzo poważny argument, że tak nie było. [...] Uwierzyć, gdyby Bierzowski rzeczywiście organizował zamachy, dostałby od Putina nagrodę i zostałby albo premierem, albo szefem MSZ. A on trafił na emigrację. [...]

► **Śmierć Bierzowskiego to również robota FSB?**

twiniemki zaplanować jego ucieczkę z Rosji. Tydzień później, 1 października 2000 roku, udanie przekroczył granicę z Gruzją i dotarł do Tbilisi, gdzie też poleciałem. 1 listopada 2000 roku wylądował w Londynie. 1 listopada 2006 roku został otruty, równo po sześciu latach. Nie wiem, czy to przypadek, czy nie. Tym niemniej uważam, że rosyjskie służby zabijają swych przeciwników w trzech przypadkach. Po pierwsze – gdy ci przeciwnicy, zdaniem władz rosyjskich lub służb, dopuszczają się zdrady. To przypadek Litwinienki, Skripala i nawet Bierzowskiego (jeśli przyjmujemy, że go zabito). Po drugie – gdy przeciwnik pretenduje do władzy. To przypadek Niemcowa i Politkowskiej. Ta druga – o czym niemal nikt nie wiedział, ale Kadyrow, myślę, wiedział – zamierzała startować w wyborach na prezydenta Czeczenii w 2004 roku. Wiem o tym, bo uczestniczyłem w omawianiu tej kwestii i nawet organizowałem wtedy przyjazd Politkowskiej do Londynu na

ROSYJSKIE SŁUŻBY ZABIJAJĄ SWYCH PRZECIWNİKÓW W TRZECH PRZYPADKACH. PO PIERWSZE – GDY CI PRZECIWNICY, ZDANIEM WŁADZ ROSYJSKICH LUB SŁUŻB, DOPUSZCZAJĄ SIĘ ZDRADY. PO DRUGIE – GDY PRZECIWNIK PRETENDUJE DO WŁADZY. PO TRZECIE – W GRĘ WCHODZĄ DUŻE PIENIĄDZE.

Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Litwinienkę otruli w 2006 roku. W 2008 roku zmarł w Londynie Badri Patarkaciszwili – partner i przyjaciel Bierzowskiego, na którego zapisane były wszystkie aktywa Borysa. Tego dnia Bierzowski stracił wszystkie swoje pieniądze. Dosłownie – wszystkie pieniądze. Stał się nikim. W sprawie śmierci Patarkaciszwilego nie było śledztwa. Widziałem go trzy dni przed śmiercią i wyglądał absolutnie zdrowo. W 2013 roku znaleźli powieszzonego Bierzowskiego. W 2018 roku w Londynie ze śladami uduszenia znaleziono jeszcze jedno zwłoki: Nikołaja Gluszkowa, partnera Bierzowskiego i Patarkaciszwilego. Całkiem sporo śmierci w krótkim czasie, żeby wszystko zrzucić na naturalne przyczyny.

► **Pan nie obawia się o swe życie?**

Nie dramatyzujemy. Jedyne ograniczenie, jakie na mnie nałożono za książkę i po zabójstwie Litwinienki, to zakaz wjazdu do Rosji. Ostatni raz byłem tam 23 września 2000 roku, gdy przyleciałem do Li-

rozмовы z czeczeńską opozycją. Politkowska ostatecznie wycofała się z pomysłu, bo w Londynie czeczeńska opozycja wyjaśniła jej i nam wszystkim, że to śmiertelnie niebezpieczne, że ją po prostu zabiją. Nie zdecydowała się wówczas startować przeciwko Ału Alchanowowi. Ale w 2006 roku Kadyrow za zgodą Putina postanowił odsunąć Alchanowa i przejąć władzę w Czeczenii. Politkowska w tym planie była śmiertelnym zagrożeniem dla Kadyrowa i jako jego krytyczka, i jako konkurentka do władzy. I w urodziny Putina, 7 października 2006 roku, Politkowską zabili. A 15 lutego 2007 roku Kadyrow został prezydentem. Uważam, że samego zabójstwa dokonał znany i wysoko postawiony agent rosyjskich i czeczeńskich służb Chodź-Achmed Nuchajew. Wreszcie, trzecia kategoria zabójstw związana jest z dużymi pieniędzmi. Ja nie kwalifikuję się do żadnej z tych trzech kategorii. Piję herbatę w restauracjach, nie myślę, żeby mnie śledzono, nie boję się tego. Ale z ostrożności, dopóki Putin jest prezydentem Rosji, nie latam tam. ■



Marcin Wolski

DWIE DROGI

Niezależnie od tego, czy jesteśmy zadowoleni z wyników wyborów bardzo czy średnio, przed polską prawicą stają dziś dwie drogi. I nie chodzi wcale o to, czy uda się wygrać następne wybory za cztery lata. Sytuacja robi się bardziej nieprzewidywalna, a jutro nieznane. Moim zdaniem kończy się duopol PiS i nie-PiS, idą czasy sporów programowych, koalicji wokół spraw, a nie ludzi. Obecna gra nie może polegać wyłącznie na podnoszeniu stopy życiowej czy jakości rządzenia. Najważniejszy problem stojący przed Polską polega na tym, czy wypracowane zmiany będą trwałe, słowem: czy po kolejnej kadencji nie da się wszystkiego odwrócić – „by było, jak było”. Oczywiście można się zastanawiać, czy buńczuczne pokrzykiwania typu: „zlikwidujemy IPN, rozpędzimy CBA” mają jeszcze racjonalne podstawy. Na przykład Trybunału Konstytucyjnego, który w przyszłym roku stanie się stu-

procentowo „dobrozmianowy”, pewnie nie uda się zlikwidować, ale co z resztą? Co do nastawienia elit – naukowych i kulturalnych – większych złudzeń nie ma, ale sądy? Wiele zależy od tego, na ile okazemy się wytrzymali na naciski zewnętrzne. Pani Gersdorf odejdzie, ale na ile uda się stworzyć poprawnie funkcjonujący Sąd Najwyższy? Czy Izbie Dyscyplinarnej uda się zdyscyplinować panujące bezhołowie i uświadomić wyjątkowej kaście, że i ona musi podlegać kontroli społeczeństwa? A co z mediami – można się cieszyć z działania tych publicznych, ale co zostanie w wypadku zmiany władzy – wątlutka TRWAM i Republika, plus kilka telewizji internetowych? Czy naprawdę stworzenie prawicowej telewizji prywatnej było poza naszymi możliwościami? Skądinąd najważniejsze, czy potrafimy zwyciężyć w wielkiej wojnie kulturowej, czy nasza prawica podzieli los tej zachodnioeuropejskiej, zniewolonej poprawnością polityczną, ideologią gender i terrorem mniejszości? W dodatku na to wszystko nie mamy pełnej kadencji – czuję, że pierwsze pół roku ze względu na wybory prezydenckie będzie lightowe, bez zdecydowanych rozstrzygnięć. Pytanie tylko, czy chcąc uniknąć porażki, uda się wygrać? ■

OGŁOSZENIE REDAKCYJNE

Pociąg Życia

BAJKI DLA KOSTKA I MATEUSZKA



TOMASZ SAKIEWICZ

Pociąg życia. Bajki dla Kostka i Mateuszka

to już drugi tom niezwykłych historii. Autor zachęca młodych czytelników do optymizmu i podejmowania nawet trudnych wyzwań z pogodą ducha, a przy tym – budowania dobrych relacji.

Wspólna lektura wciągających i pełnych życiowej mądrości historii może stać się miłym wieczornym rytuałem, a także pretekstem do rozmowy z dzieckiem, o tym, co jest dla człowieka najważniejsze.



TYLKO
29,90 zł
zamów już
dzis



Tomasz Sakiewicz

Siła Polonii

Zastanawiałem się nad pewnym przykrym fenomenem, który najlepiej obrazuje sytuację w amerykańskiej Polonii. Mieszka tam od 10 do 12 mln ludzi pochodzenia polskiego. Tymczasem w wyborach polskich bierze udział góra kilkadziesiąt tysięcy wyborców zza oceanu. To mniej niż jeden procent. Czy ci ludzie są praktycznie nieaktywni politycznie? Warto sprawdzić, jak głosują w wyborach amerykańskich. Nie widziałem oficjalnych statystyk dla całej Polonii, ale z przecieków rozmaitych danych wynika, że nie różnią się oni od przeciętnych wyborców amerykańskich, czyli co drugi uprawniony do oddania głosu – robi to. Skąd ta dramatyczna różnica? Problem jest często czysto formalny. Zdecydowana większość z nich nie posiada polskich paszportów. Dotyczy to przede wszystkim kolejnych pokoleń mieszkających w USA. W wielu przypadkach trzeba by było jakichś specjalnych starań, by udowodnić prawo do polskiego obywatelstwa. Ale jest też spora grupa ludzi, która takich problemów nie ma. Pojawia się za to praktyczny kłopot z załatwieniem nowego paszportu. Brakuje też polskich konsulatów, nawet w stanach, w których zamieszkuje milionowa Polonia, jak w Michigan. Nie ma też wiedzy o tym, jakie z tego mogą być korzyści i w jaki sposób załatwia się polski paszport. Wreszcie widoczne jest zniechęcenie sprawami polskimi.

Do zmiany tej sytuacji niezbędne jest zaangażowanie polskiego państwa. We wspomnianym Michigan nie tylko nie ma polskiego konsultatu. Brakuje innych instytucji związanych z Polską, poza Kościołem katolickim. Ten jest tam na szczęście widoczny. Ale choćby podróż do Polski jest niesamowicie skomplikowana. Najbliższe bezpośrednie połączenie to lotnisko w Chicago, a to kilkaset mil, czyli jak z Krakowa do Szczecina. Nie zachęca to do kontaktów z Polską. Mimo to tysiące ludzi biorą udział w Mszach św. w polskich kościołach. Bo kościół jest blisko. Nie zmienia to faktu, że większość Polonii nie przejawia żadnych – poza prywatną agendą – chęci wpływania na polskie sprawy. Jest oczywiście problem realnego związku z Polską i definicji Polonii. Jeżeli czyjś przodek wyjechał w XIX wieku, to polskość jest w jego przypadku często swoistym wspomnieniem. Nie-

rzadko śladem po owym antenacie jest po prostu polskie nazwisko. Należy dbać, by owe wspomnienia o Polsce ludzi mających nasze korzenie były jak najlepsze. Ich rodziny pozyskały w kolejnych generacjach przodków również z innych narodowości i naszym zadaniem jest przede wszystkim dopilnowanie, by byli dumni z Polski.

Jest też powód bardziej przykry małej aktywności Polonii. W głównych skupiskach Polaków za granicą, czyli przede wszystkim w Chicago i Nowym Jorku, najbardziej widoczne są postacie, które nie są w stanie reprezentować większych grup. Chodzi tu o bardzo kontrowersyjny sposób prezentowania swoich poglądów zrażający większość ludzi zajętych zwyczajnym życiem. Z drugiej strony często zostają sami na placu boju i przez to mimo ogromnych kontrowersji są w stanie przyciągnąć na spotkanie kilkadziesiąt czy nawet kilkaset osób. To dla przyjeżdżającego polityka z Polski wystarczy, by odnieść wrażenie, że mają jakąś siłę. Jaka to siła, można było zobaczyć w ostatnich wyborach. Większość poparła Konfederację. Zdobyła na całe Stany parę tysięcy głosów. Postacie, o których piszę, bardzo chętnie mówią o sobie, że reprezentują całą Polonię, gdy tak naprawdę nie mają nawet jednego promila poparcia. Każdego, kto z nimi się nie zgadza, oskarżają o rozbijanie Polonii, podczas gdy większość z nich zwiedziła już wiele organizacji, rozsadzając te, w których była poprzednio. Oczywiście zawsze odbywa się to w atmosferze totalnej awantury i absurdalnych oskarżeń. To zraża niemal wszystkich i zamyka Polonię w kłoszu kilkusetosobowych grupiek w jej największych skupiskach. Pozostali trzymają się od tego z daleka. Tu szczególna rola dla polskiej klasy politycznej, by próbować znaleźć ludzi do współpracy w USA, którzy z jednej strony mają silną formację patriotyczną, z drugiej odrobinę pragmatyzmu czy po prostu zdrowego rozsądku. Takich ludzi jest sporo, ale nie mogli się do tej pory przebić. Trzy lata temu pod tym kątem dokonaliśmy zmian w klubach „GP” i dzisiaj zaczyna to przynosić owoce. Oczywiście minie jeszcze sporo czasu, by Polonia odróżniła ich od dotychczasowych liderów, ale lata zaniedbań i błędów całej naszej klasy politycznej w sprawie Polonii niełatwo nadrobić. ■

Najlepszy sport, filmy i bajki!

TV na start 3 MIESIĄCE BEZ OPŁAT!



TELEWIZJA
SATELITARNĄ



TELEWIZJA
KABLOWA



TELEWIZJA
INTERNETOWA

